



JANOSIK NĘDZA LITMANOWSKI



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

# JANOSIK NĘDZA LITMANOWSKI

„LEGENDY TATR“ CZĘŚĆ DRUGA

Miejska Biblioteka Publiczna  
w Nowym Targu

XIII/3



000-020282-00-0

BIBLIOTEKA POLSKA WARSZAWA



20282



XIII/3  
Tet  
Jan

45481

XIII/3  
Proz

Ciupaga Sobka Topora, w mig ciupagą Janosika ztyłu poderwana, stał pod osadzenie, zastanowiła się w powietrzu; siepnął Sobek toporzyskiem, ale Janosik Nędza Litmanowski dzierżył jego siekierę na uwięzi.

Obudzeni krzykiem Sobka Sieniawski i Maryna, zerwali się ze snu i usiedli na łożu.

— Bracie! — krzyknęła Maryna Toporówna.

Ale nim Sieniawski do pistoletów, co obok łoża na stole leżały, ręką sięgnąć zdołał, Sobek, nie zdarłszy ciupagi swojej z ciupagi Janosika, z gołemi rękoma nań się rzucił i pod gardło chwyciwszy na poduszkę go obalił, a ciupaga z brzękiem na ziemię padła.

Charczęć począł Sieniawski zdławiony. Moc mu zaraz członki odeszła.

Maryna nie wiedziała snąć, co czynić, chwyciła przecież ręce Sobka i odrywać je jeła od szyi wojewodzica; dopiero jednak czterech przywołanych przez Janosika górali uwolnić go z Toporowego uścisku zdołało.

— Sobek — rzekł Janosik, który stał z boku w izbie — nie rób mu nic! On mój, nie twój.

— Mój! — ryknął Sobek. — On mi dziadka zabił, dom okradł!

— Sobek — rzekł Janosik spokojnie — abo mie słuhać musis, abo sie wróc, skądeś prziseł.

Sieniawskiego, bladego i wysilonego, chłopci trzymali na łożu, w którego nogach Maryna w koszuli siadła.

Sobek patrzył na nią, jakby na widziadło po-glądał. Snać w głowie mu się mieszało. Trząsł się cały.

— Maryna!? — zdołał tylko wypowiedzieć.

— Kieby nie ja — rzekła Maryna — toby byli my i sytka Toporowie na Hrubém we krwi i w ogniu poginieni. Ja go sobom zatrzymała.

— Odruwałaś mi rence od jego garła! — krzyknął Sobek.

Ale Janosik zawołał: — Nie cas na to teraz! Hań bitka! Togo strzéc!

Wskazał chłopom trzymającym Sieniawskiego i wypadł w pole, skąd gwar walki go doszedł, chwyciwszy za rękę Sobka i ciągnąc go we drzwi.

Na podworcu i wokoło karczmy bito się, a raczej dworzanie i dragoni bronili się przewadze górali w ciemności.

Trudno było rozeznać człowieka od człowieka w nocy i we mgłach. Lecz Janosik kilkadziesiąt pochodni w kącie sieni stłoczonych spo-

strzegłszy, pochwycił jedną, drugą złapał Sobek — zapalili od kaganka.

— Podpalmy karcyme! — krzyknął Janosik. — Bedzie widnij!

Przytknęli więc pochodnie do słomy poszywającej dach karczmy, w której zaszli znienacka Sieniawskiego z Maryną i jego śpiących żołnierzy i pacholków. Płomień się dał ujrzyć prędko; poszycie było suche od spodu.

Skoczyli w drugie, w trzecie, w dziesiąte miejsce — ze wszystkich stron podpalany dach buchnął płomieniem. Rozległ się wrzask i lament żydów arendarzy.

Z płonącej karczmy wybiegła ledwo zaodziana Maryna i chłopci wywiedli Sieniawskiego. Maryna trzymała w ręku wojewodzica karabelę i z tą się między dragonów rzuciła.

Jak straszne odyńce, co kłami prują stado wilków z niemi sparte, mordowali dworzan i żołnierzy sieniawskich Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie, Janosikowi towarzysze, a obok nich gruchotali im ciupagami kości Sobek Topór i Franek Marduła. Karabelą rąbała Maryna.

Stary Sablik, gęśliki do rękawa od czuchy wpuściwszy, niedużą swoją na długiem toporzy-sku ciupagą raz wraz w łeb dragona czy dworzannina przebiegającego mimo szybko śmignął, a Krzyś z boku za płotem stał, skrzypce pod pazuchą, a ciupagę w garści trzymając i podziwiał.



Podziwiał on nieopodal walczącego Janosika Nędzę, który zdał mu się być djablem, nie chłopem. Janosik zresztą nie walczył żadną bronią — walił on ludzi człowiekiem. Ujawszy pod gardło i za brzuch dragona, grzmocił sieniawskich to nogami jego, to głową, jakby snopem bił. Padali sieniawczycy od uderzeń krwawego trupa żołnierza, któremu mózg na helmie czymś wyprysnął.

— Jezus Maryja! — myślał Krzyś w zachwycie. — Jedy by ten ciekem młóciół, jak drugi cepamil...

Niedługo bitka trwała. Janosik w łunie karczmy triumfował.

— Zbiérajcie zdrowyk! — krzyknął na górali.

Zabitych i ciężko rannych z pięćdziesięciu ludzi Sieniawskiego było przeszło dwudziestu; reszta się poddawała, broń rzucając.

— Ustawić zdrowyk i takik, co iść mozom — rozkazał Janosik. — Zamglonyk wodom lać!

Najwięcej zemdlonych od ciosu, ale zdrowych, lub lekko rannych, było tych, których on sam dragonem na ziem zwałił. Ci stanęli prawie wszyscy, gdy ich spędzano do kupy.

— Hłopy! — zawołał Janosik do sieniawczyków. — Icie sytka ślebodno i z panem wasym! Powicie światu, ze ja sie rusół z pod Tater, Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki z Nędzowego Gronika w Polanak!

Poczem obrócił się do obok stojącego Mocarnego i rzekł:

— Ja wiedział, cemuk ik nie biél ciupagom, jyno hłopem! Wyście ik pobabrali zelazem, a ci pudom i pedzom! Wtory zaś kie harnaś zbiójecki tak sie zwiastuje, jako ja!?

Kto szedł przy Janosiku, olśniewał. Albowiem nieporównany był to chód.

Na całą Małopolskę rozniosło się imię Janosika Litmanowskiego, a całe Podgórze trzęsło się od jego imienia. Mścił on się jak szatan, raz się z pod hal ruszywszy, za to, że szlachta karając chłopów za rebelję Kostkową w zemście „od zmysłów odchodziła“.

Janosik chciał, aby mówiono, że znalazł swój swego i za okrucieństwa panów na poddanych z nawiązką płacił. Dwory i stodoły szlacheckie płonęły, często gęsto, nazajutrz po napadzie rano zgłiszcza zabudowań, trupy szlacheckie w zgłiszczach znajdowano. Były pochody nocne, były i walki zęb w zęb, oko w oko.

Chłopi owisłe w rozpacz y głowy dźwigać zaczęli, a imię Janosika powtarzać jak święte.

Jak orzeł rzucał się na szlacheckich hajduków lub królewskich harników i żołnierzy Sobek, jak orlica rzucała się Maryna. Ale choć ten i ów z górali pobok pod mieczem, szablą, czy od kuli padał, ich się śmierć nie miała. A nie mówili do siebie nic.

Wesoły, swobodny, zuchwały i butny wojował Janosik. Nigdy przy nim nie brakło na obozowisku z pieśnią, gęśłami i opowiadką Sablika, nigdy ze skrzypcami Krzysia, a Gadeja, Mateja i Mocarny byli przy nim jak wichry przy płomieniu. I tak się w kupę zbili z Toporami z Hrubego, co nie mówili do siebie, i on ku nim, Franek Marduła.

Zarabiał on na pochwały Janosika. Bo bił się jak djabeł, a kradł jak lis, jastrząb i kuna razem wcielone w wilka.

I wszystko dobrze szło, póki chodził w Krzysowych portkach.

Ale że się z niego śmiano, że ciasne i krótkie, a i Krzyś, swoje starsze drąc, o zwrot się pożyczonych nowszych przymawiał, postanowił Marduła o portki się postarać.

Uszyć nie było czasu dać, nie pozostawało nic, tylko ukraść.

Tak też Marduła namyślił i tak się zdecydował. Ale że i wybredny był i nie wypadło jemu, tak pierwszorzędnemu rabusiowi i tak pierwszorzędnemu elegantowi byle czego kraść i w byle czym chodzić, ruszył na portki, od bandy się oddaliwszy, do samego bogacza sołtysa pod Kalwarją, gdzie się rzecz nie powiodła, gdyż Mardułę schwytano, obito i przeciągającym żołnierzom pana Rzeszowskiego, jako podejrzanego o należenie do nieopodal grasującej bandy Jano-

sika, choć się Marduła zapierał, oddano, aby go do Krakowa, do grodu zawiedli. Ale pan Rzeszowski lubił więźniów i Mardułę u siebie w zamku do lochu wrzucić kazał.

Gorzko i w smętku mu tam płynęły dni i noce.

Od strażnika jednego, człeka dobrego, dowiadywał się tylko od czasu do czasu, iż to w tej, to w innej okolicy Janosik Nędzia Litmanowski się pojawił, dwór spalił, szlachcica powiesił, zarażał, lub za piątą granicę wystraszył, a wówczas żalność niewypowiedziana ścisłała Marduły serce na myśl, ile się tam nabito, ile dobra złupić musiano i miano okazję.

Dni i noce biegły Mardule w smutku i strapieniu. Sam on nie wiedział, jak długo już świata Bożego nie oglądał. Siedział ze spuszczonemi między kolana rękami, albo przez małe zakratowane okienko w lochu na skraweczek widzialny nieba spozierał.

Że był poetą, począł wiersze składać. On to w przystępie autoironji uzdajał tę gorzką śpiewankę:

Dobry hłopiec, dobry zbój,  
padnie listek, to sie bój!

(bo las prześwieca).

Padnie listek bukowy,  
jużci zbójnik gotowy!

(bo z lasu zima wypędza).

Padnie listek z jawora,  
hybaj Janko do dwora!

(bo w jasnym lesie złapią).

Zrazu składał wiersze krótkie o swej niedoli,  
aż raz pewnej nocy począł nucić cicho, żałośli-  
wym głosem, — głośno nie było wolno — sam  
nie wiedząc, skąd się mu słowa i nuta snują:

Uświadczy teraz w więzieniu  
po swyk uciehak, radości...  
O jak w okropnem nudzeniu  
ozmyśla teraz o wolności...  
Stracilek wolność z młodości,  
jakze jej teraz załujem!  
Narzékać musem, bo cujem...  
Skowronek leci do góry,  
a słowik w gaju nuci,  
za coż mie kraty i mury  
odłacać majom od ludzi?...

O Boze, mój Boze, wyzwól ze mnie stela,  
wyzwól ze mnie stela, z białego kastela,  
cobyk tu niesiedział, nik o mnie niewiedział,  
jyno jeden Pan Bóg, Panienska Maryja...  
Dała mie tu wsadzić jedna kanalija...

Za portki — dodał z goryczą.

Pewnego dnia usłyszał Marduła jakiś gwar  
i ruch. Weszło do kaźni trzech hajduków z la-  
tarnią, kazali Mardule wstać i przeprowadziwszy  
go przez loch, wewiedli w inne miejsce, wepchnęli  
i zatrzasnęli za nim drzwi żelazne.

Ciemniej tam jeszcze było, niż uprzednio.

Słaby blask księżyca wmykał się skądś z pod sklepienia, zgóry. Mardułę taka rozpacz zdjęła, że miał płaczem wybuchnąć, gdy jakoby oddech czyjś posłyszał.

— Jest haw wto!? — zapytał pół z radością, że nie jest samotny, pół ze strachem: czy to nie duch sapi w ciemności.

Nic nie odpowiedziało.

— Jest haw wto? — powtórzył, ale również odpowiedzi nie otrzymał.

Zląkł się Marduła strasznie i począł pacierze odmawiać, do ściany przyciśnięty. I tak usnął.

Nazajutrz rano, gdy się obudził, dzień już był i było widniej w więzieniu. Marduła ujrzał w mroku starca z brodą białą do pasa, z włosami niżej ramion, siedzącego na wiązce słomy, rzuconej więźniom do spania. Odziany był łachmanami, przez które kościane ciało przeglądało.

Marduła wzdrygnął się na ten widok, ale i ucieszył. Nie był przynajmniej sam, co mu było straszne.

— Hej! — zawołał.

Starzec się nie odwrócił.

Głuchy je — pomyślał Marduła.

Zbliżył się ku starcowi, przed oczy mu przyszedł, ale starzec się nie ruszył.

I ślepy je jest — pomyślał.

Dotknął go ręką.

Starzec drgnął lekko, ale się nie ozwał.

Niemowa, cy co? — pomyślał Marduła.

Jaki jest, taki jest, zawdy lepsi, cok nie sam...

Poprzednio Mardule strażnik jeść przynosił, tu chleb i wodę na lince zgóry spuszczo. Starzec, który nieruchomo siedział, snąc porę i miejsce znał, bo równocześnie, gdy bochenek chleba i dzbanek z wodą przed nim się zakołysały, on ręce po nie wyciągnął. I Mardule podobnie strawę przysłano.

Probował Marduła zwrócić na siebie uwagę starca, ale nadaremnie. A gdy się dobry strażnik, który dbał o to, aby Marduła za żywa nie zgnił, pojawił, opowiedział, że gdy on do więzienia nastął, lat temu trzydzieści, już człowiek ów tu siedział tak dawno, że nikt nie pamiętał, kiedy go zamknięto, ani zaco. Podobno za dziada obecnego dziedzica do lochów go wtrącono. Skąd był, kto, już nie wiedziano. Panowie Rzeszowscy zawsze lubili więźniów.

— Nie słysy? Nie widzi? — pytał się Marduła.

— Zdaje się, że nie.

I znowu Mardule począł biec czas jednostajnie, tyle tylko, że na starca patrzył, który znać zupełnie sprawy sobie nie zdawał, iż towarzysza niewoli mu dano.

Aż raz Marduła z rozpaczy śpiewać na całe gardło zaczął. Nie śpiewał on, ale wył, ile mu

sił w piersiach starczyło. Chciał się zawyć na śmierć — skróś Krzysio wyk portek...

I wówczas wydało mu się, że starzec drgnął i głowę wznosił nieco.

Marduła śpiewał dalej: śpiewał o górach, o lasach, o zbójctwie i kochaniu, o bitkach, o kopalniach srebra i żelaza i o juhastwie w halach, o ptakach i zwierzętach, o wodzie i ogniu, o robotach w polu i ścinaniu drzewa — śpiewał wszystko, co było życiem górala i ubrało się w pieśń. Starzec jakoby słuchał i słyszał, a gdy Marduła, jak wilk raniony zawywszy na końcu, na garść swojej słomy się prasnął, starzec pół jęknął.

Zerwał się Marduła na równe nogi.

— Mówicie!? — krzyknął.

Lecz starzec milczał.

Marduła przypadł ku niemu, za ręce go uchwycił. Starzec zdawał się nie czuć. Jął teraz śpiewywać Marduła na cały głos często. Snać go z lochu nie słyszano, darł się więc wniebogłosy. I razu pewnego usłyszał słowo starca: dawno...

Wydało się Mardule, jakby mu kwiat na ucho padł. Przyskoczył ku starcowi i ujrzał dwie łzy, płynące mu po twarzy.

— Zyjecie!? Cujecie!? — wrzasnął rozradowany.

Starzec jakby mocował się z sobą i wykrztusił znów: dawno...



A potem wysilił ze siebie:

— Śpiéwaj...

I czas biegł, dni, tygodnie, miesiące, czy lata — — Marduła nie wiedział. Śpiewał w kaźni, a starzec śnać słuchał, na słomie siedząc.

Aż razu pewnego ozwał się chrapliwie:

— Skądés ty?

— Z gór! — krzyknął Marduła.

— Wiém — ale skąd?

— Z Olce.

— Z Olce... — powtórzył starzec. — Woda...

— Jest woda — zawołał Marduła.

— Las...

— Cy znacie?...

— Znam — wykrztusił starzec.

Marduła jak był długi do kolan mu przypadł.

— Dziadku! — krzyknął. — Wyście z gór!?

— Z pod Tater — odpowiedział starzec.

— Skąd!?

— Z Leśnice...

Więcej tego dnia nie mógł mówić. Śnać gardło odwykło od wydawania głosu i język od składania wyrazów. I po tym jednym momencie jęki tylko niezrozumiałe przez długi czas z ust starca się wydobywały, aż znów pewnego dnia ozwał się:

— Lato...

Rany Boskie! — pomyślał Marduła. — Cy ja

tu od jesieni jus do lata przesiedział!? Cy moze więcej roków!?

— Lato — powtórzył starzec — owce w halak...

— W halak...

— Dziewieńdziesiont roków...

— Tu siedzicie?

— Haj.

Mardule się tak serce ścisnęło, że nie zważając na wstrętne ciało starca, za kolana go objął.

— Dziewieńdziesiont roków nie gadałek.

— Nic!?

— Nic.

— Ja myślał, żeście niemowa i głuhy!

— Ja był głuhy i niemowa, aleś ty mie pieśniami obudziël... Ja sie słowa po słowie ucył... Jak dziecko...

— Boze jedyny!

— Haj. Ucyłek sie. Zrazu ja niémóg nic ozróźnić... Słysałek jyno głos... Alek nierozumiał nic... Takie usy były, jak ze zelaza... Pote słowo... Jedno... Drugie... Mąciło sie... A cosi sie mi zbacowało... Słowa sie mi zbacowały i świat... Las — drzewa... Słońce — jasno... Woda — plynie, sumi... Dzięwka — piękne, rumienne... Ciupaga — zbyrcy, rombie... Hala — owce, pies, juhasi, turnie... Tak sie mi zbacowało jedno po drugiém... Słowa i świat... Bo ja dawno nie sły-

sał i nie widział.. Dziewieńdziesiont roków...  
Haj...

— A widzicie?

— Widzem... Hałupe swojom... Wóz... Konie  
dwa — cisawe...

— Ale mnie haw? Przy was? Widzicie?

— Nié.

— A zaco was tu zaparli?

— Zaparli?... Do lochu?... Zaco?... Drzewo  
ścinać zgodzili... Dziewka była... Piékna... Pa-  
nowa miéłośnica... Zakohala mnie... Dawno...  
Juzek nie wróciéł do Leśnice...

— Kielo wam roków?

— Ja rahował cas... Dni... Po jadle... Raz do  
dnia... Cok urahował rok, tok dolicył... Pirsy  
dziewieńdziesionty idzie... Miałek trzi dwaścia...

— No to wam, pockajcie, sto trzynaście ro-  
ków?

— Bedzie...

— Jezus Maryja!

Mardułę przeszedł dreszcz lęku, jak od trupa.  
A starzec mówił:

— Ona była hań!... Za ścianom... My sie sły-  
seli... Płakała... Trzydzieści roków i dwa...

Umilkł starzec i Marduła umilkł od grozy.

I znów milczenie ogarnęło Mardułę, starzec  
mówić przestał, aż po paru tygodniach w nocy  
poczuł Marduła, że go coś za ramię ciągnie.

Zląkł się i krzyknął:

— Wto to?

— To ja — odpowiedział starzec w ciemnościach. — Gadaj...

— Co?

— Jak tam — — u nas... Ja tu dziewięćdziesiąt roków gnił... W lochu... Ja tu drzewo ścinać przysel... panu... Niewrócił... Jak tam... u nas?... Jaby hań na kolanak seł... Ziemie całował... Jaby na ziemi lóg, piersiami przywar... Jaby hań — — wode widzieć kciał... Drzewa sumiom — — jedle — — smreki — — lipy... Zwonki grajom... Gwary pełno... Sędyl ludzie — gadajom... Jaby na ziemi lezał, piersiami przywar... Jaby na kolanak hań seł... Ziemia cudowna... Świat...

Marduła jał płakać.

— Gadaj mi... Zielono... Trawa zielona... Otawa... kie pokosis... otawi sie... Jarzec siać... Pług... Jeździlimy do jarmaku na siacie... Zboze kupować... Zarno... Dawno...

Łuk... Strzélajom?... Z łuków?... Niedźwiedź w garło... Z proce w oko... Gęsie pierza na strzale... Ja umiał... Bez oko w mózg...

Gadaj... Kijaniom chusty prac... Peu, peu, peu, pacl pacl... Baby pierom... Piérujom?...

Biały rańtuch na niej... Kyrpocoski... Chustka jedwabna — — z odpustu... Gorset... Piersi... He... Dzięwcenta — — w polanie... Kie kwiaty...

Niebo — — hań... Turnie... Skały... Wysoko...  
Het...

Podniósł rękę nad głowę.

— Het... Wysoko... Słońce...

I runął na barłóg. Marduła poskoczył ku niemu. Starzec się rozśmiał i skończył.

Naówczas Marduła ukląkł nad nim, przeżegnał się i mówić począł:

— W Imie Ojca i Syna i Duha Świentego. Amen. Dziękuję Ci, Panie Boze, cok sie bez portki Krzisiowe tu dostał i ze skróś tyk portek ten stary człowiek śmiejący sie umar. W Imie Ojca i Syna i Duha Świentego. Amen.

---

Ksiądz opat tyniecki, biskup Pstrokoński, spokoju od śmierci Kostki Napierskiego nie miał.

Brzmiały mu i grzmiały w myśli słowa Kostkowe: kędyś trucizna jest, co duszę i ciało polskie zatrula... *a planta pedis usque ad verticem capitis non est sanitas* — od stóp do głowy rak toczy — Orzechowskiego słowa, przez Kostkę powtórzone onego wiosennego dnia w Tyńcu...

A rak toczył Rzeczpospolitą, toczył ją od podeszwy stopy do wierzchołka głowy. Aleksy Michajłowicz aby przeszkodzić, by Chmielnicki z kozakami miast jemu, nie poddał się sułtanowi, ruszył „w obronie wiary prawosławnej“ i pobity przez kniazia Czerkaskiego i kozaka Zolotarenkę hetmana polnego litewskiego pod Wilnem, do Wilna wjechał i wielkim księciem litewskim się nazwał. Wycięto Swisłocz i Kojdanów, zajęto Mińsk, Połock, Dyneburg, Kowno, Grodno; Chmielnicki z kniazem Buturlinem oblegli Lwów; Lublin zajęli kozacy.

Karolowi X Gustawowi poddali się i przysięgli bez zdobycia szabli wojewoda poznański,

satyryk Krzysztof Opaliński i wojewoda kaliski Grudziński pod Ujściem z dwudziestu dwu tysiącami pospolitego ruszenia przeciw siedemnastu tysiącom, które wiódł ze Szwecji graf Wittenberg i zdrajca Radziejowski. Owszem — gdy Poznań bronić się chciał, wojewodowie wymusili murów otwarcie. Radziwiłłowie na Litwie poddali się Karolowi Gustawowi i przysięgli. Warszawski magistrat zbudował nową bramę i ustawił na wałach dwadzieścia sześć armat, ale za trębaczem szwedzkim z listem wysłanym ruszył konno i woźno i za Wolą klęczący królowi szwedzkiemu się przedstawił. Stefan Czarniecki w Krakowie nie zginął, jak Leonidas, ale kapitulował. Koniępcowski, Dymitr Wiśniowiecki i Stanisław Rewera Potocki z piętnastoma tysiącami żołnierzy poddali się Szwedom i przysięgli.

Fryderyk Wilhelm II, elektor, za hołd, złożony w 1640-ym, Wielkopolskę chciał zabrać.

Jan Kazimierz uciekł na Śląsk z ojczyzny.

Rzeczpospolita ginęła w odmętach.

Zalali wrogowie kraj. Łupiono miasta, rabowano dwory i pałace, obdzierano mieszkania królewskie, nie było kąta ziemi polskiej niedeptanej stopą najeźdźcy. Lecz bronila się Jasna Góra i wieść o tem po ludzie szła. Lud dźwigać się począł.

Leżał Janosik Nędza Litmanowski z bandą

swoją w szałasach pasterskich w lasach pod Babią Górą.

Trzy lata wojował on ze szlachtą i ustać ta wojna nie chciała, ani nie mogła, bo Janosik na szlachtę napadał, szlachta na Janosika polowała. Ale mu dorównać nie mogli. Na złotogłowiach Janosik po lasach sypiał, małmazję pijał i słodkie ciasta jadał i śmiał się. Wesoło mu było, bo zwyciężał.

Banda jego, z kilkudziesięciu ludzi złożona, ciągle nowemi siłami odświeżana, mogła była regularnemu wojsku cesarza za wzór służyć karności i sprawności.

Migiem Janosik wydawał rozkazy, a rozumiano je i spełniano.

Toteż setki ludzi liczące chorągwie pańskie i biskupie i wojsko kwarciane nic mu uczynić nie mogły, owszem pod bokiem żołnierzom łupił, palił i wieszał, nie gorszy szlachty wróg od kozaków, Rosjan i Szwedów.

Ale chłopci polscy go błogosławili.

Gdzie się pojawił, tam kończyła się krzywda, bezprawie i ucisk, a nawet nędza i głód. Bo Janosik złych panów tłumił, a biednym ludziom hojną ręką sypał srebro i złoto złupione. I szeroko rozszły po Małopolsce białorucy hetman zbójecki, w pasie o złotych klamrach i złoconej czapce.



Ale cofnął się Janosik w lasy górskie, albowiem zagaściło się od szwedzkiego żołnierza.

Przypadł w lasach i czekał; w ostatku już i o powrocie pod hale czasem myślał. Czwarty rok toczył boje za krzywdy chłopskie. Pod naciskiem Szwedów już i na ciemństwo chłopów szlachcie sił braknąć zaczęło, a łup we dworach stawał się coraz marniejszy. Leżał w lasach babiogórskich, pił; grano mu i weselił się w puszczy.

---

Księdzu opatowi tynieckiemu brzmiały i grzymiały w uszach słowa Kostki: wstań! weź krzyż! pastorałem nową Polskę zbudź!...

I w celi swojej na Tyńcu, na śniegami pola przyprószone patrząc, rozmyślał on, coby dla Polski uczynić mógł. A w cudowną obronę Jasnej Góry patrząc, przeczucie miał, iż stamtąd zbawienie i ocalenie przyjdzie. I zrozumiał, że aby Rzeczpospolita się dźwignęła, głowy jej trza.

Głowa ta była na Śląsku, zagranicą, i sprowadzić ją trzeba było.

Lecz jak? Szlacheckie hufce jej nie zwioda, bo ich nie stało.

I znowu przypomniała mu się mowa Kostki: na jedno słowo wasze, biskupi, na widok krzyża we waszych rękach — my zwycięzce!...

Myślał ksiądz biskup Pstrokoński, że jeżeli kto króla ze Śląska do kraju powrócić może, to jeno chłopci, góralscy beskidowscy, że bez ich pomocy przez góry i wąwozy górskie nie przewiedzie go ze Śląska nikt.

I myślał ksiądz biskup Pstrokoński, że jeżeli głową Rzeczypospolitej jest król, ramionami magnaci i duchowieństwo, piersią szlachta rycerska, to brzuchem siłę członkom dającym i nogami, na których ciało Rzeczypospolitej stoi, są chłopci.

Dochodziły go wieści, że król pod wpływem cudownej obrony Jasnej Góry do kraju chce, że się doń rwie, że powiada, iż polegnie w ojczyźnie, ale jej więcej nie opuści; wiedział też, że uniwersał królewski, który za namową żony swojej i wielkiego marszałka koronnego, Jerzego Lubomirskiego, z Opolą na Śląsku dnia 20 listopada do Polski wysłał, a w którym między innemi pisał:

„Jeden do drugiego, trzeci do dwu, czwarty do trzech, piąty do czterech i tak *per consequens*, by też każdy z własnymi poddanymi zgromadzić się, a gdzie słuszna, na jaki odpór zwiedźcie się. Tam sobie wodza obierzcie. Jedna do drugiej kupy wiążcie się i słuszne już wojsko z siebie uczyniwszy, wodza nad nim wiadomego obrawszy, osoby naszej poczekajcie“ — wielkie uczynił wrażenie. Już tu i owdzie nawet chłopci zrywali się i pomniejszych oddziały szwedzkie znosili, już

ruch szedł po kraju, potrzeba było tylko jednego wstrząsu, aby kraj porwał się wzdłuż i wszerz, a tym wstrząsem potężnym byłby powrót Jana Kazimierza.

Wielekroć biskup Pstrokoński rozmyślał, czy dobrze uczynił, pomocy swej synowi Władysławowi Czwartego, Leonowi Kostce odmawiając? Czy nie byłoby to zbawieniem dla kraju, gdyby król taki chłopski, jakim się być Kostka zapowiadał i głosił, na jego tronie zasiadł, czy nie byłoby to zbawieniem dla kraju, gdyby owa ciężka i pono jedna ze straszliwych w Europie niedola chłopów polskiego skończyła się była? To niewątpliwem było, że ogromne masy chłopskie, raz przeciw szlachcie zbuntowane i ruszone, mimo zbroic i waleczności zalałyby ją były, jak ją zalał Chmielnicki na Ukrainie. I to pewnem było, że za królem, któryby był ich dobrym ojcem i przeciw okropnemu uciskowi szlachty idący chłopcy byłiby nietylko Chmielnickiemu piędzi ziemi urwać z granic z Rzeczypospolitej nie pozwolili, ale byłiby tych granic niezłomną ochroną się stali. Myślał ksiądz Pstrokoński, zali dobrze zrobił w on dzień wiosenny Kostki wysłuchać nie chcąc, zali nie było drogi połączyć posłuch dla Rzymu z nowatorstwem politycznym, niesłychanem, a jednak może dla Polski do gruntu, do podstaw zbawczem?... Zali może ów Kostka, ów nieprawy syn nieboszczyka króla, tyle chłopstwu

przychylnego, nie był zesłańcem Opatrzności, któremu marnie szesznąć dozwolono?

Cokolwiek bądź, królem polskim był Jan Kazimierz.

I szalona biskupowi myśl do głowy przysła: oto Janosika Nędzę w Beskidzie odszukać i zeń wprowadziciela królewskiego do granic ziemi polskiej uczynić.

Za natchnienie Boże to sobie później biskup miał i myślał, że Szaweł stał się Pawłem i że przez łotrów dzieje się wola Boska, a nawet i dzieją się rzeczy święte.

I nie mieszkając, jakoby jasnowidzeniem jakimś ten mąż pobożny i nad niedolą ojczyzny splakany, iż łzy mu, jako druga Wisła płynęły po licu, ujęty, do sanek pewnego grudniowego dnia zaprząc kazał, opactwo swoje na czas księdzu Silvie, Hiszpanowi, zdał i samotrzeć z pacholkiem woźnicą i strzelcem gajowym, rusznic od wilków, lub i ludzi do sań nabrawszy, ku Beskidowi ruszył.

Trudno się o Janosika dopytać było, jedno że on z lasów wychodził, ale gdzie w lasach przebywa, nikomu nie obwieszczał, drugie, że chłopci zdradzić jego pobytu nawet księdzu nie chcieli.

Podprowadził księdza Pstrokońskiego pod obozowisko Janosikowe leśny pana Zebrzydowskiego z Zawoi i ukazał kierunek, w którym się

udać trza, aby do obozowiska Janosikowego na polanie dotrzeć.

— Niech was Bóg prowadzi, jegomość — rzekł — dojedziecie tą leśną drogą, małe pół mili stąd. Ale wy to gorzej wilkowi — djabłu w gardło lezicie!

— Za wolą Pana naszego Jonasz z wnętrzości wieloryba, a Daniel z lwiej jamy wyszedł — odpowiedział mu biskup Pstrokoński i kazał ruszyć w górę.

Droga była leśna, którądy chłopci nawóz z polany w zimie na saniach z osłonami zważali, bo wozem przejechać byłoby niesposób. W jar wjechano, że często popod drzewo przezeń górą przewalone, jako pod „arcem triumphi“ przejeżdżać trzeba było.

Pachołek po lewej, gajowy po prawej ręce drogi przed saniami szli i śnieg kapcami deptali, bo konie na beztorze byłyby nie wyciągnęły, a w lic je, jeden przed drugim zaprzężono, aby zbyt bokami nie zapadały. Cugli trzymać nie było trzeba; jedna tylko droga była i konie za ludźmi szły, a biskup biczem śmigał i pokrzykiwał.

Straszny to las był i dziwował mu się biskup niepomiernie. Olbrzymie drzewa w nim rosły splecione gęstwą, igły z liśćmi, a najwięcej smreki z buczyną. Toteż nietylko tropy, ale i stada dzików i pojedyncze odyńce i wycinki zgoła na

bliskie oko jadący widzieli i nieraz konie spłoszone za uzdy łapać trzeba było. Wilki się ukazywały, ale je strzałami z pistoletów odganiano.

Zdawały się też znać mores przed ludźmi, co sobie biskup bliskością bandy Janosika, która pewnie nie żartowała z niemi, tłumaczył.

Niedźwiedzich śladów też moc wielką spotykali, ale te ślady na dawno nie kurzącym śniegu zatęgłe były i uważali, że niedźwiedzie już spać pod wykrotami dawno musiały.

Godziny całe jechali już i już popołudnie nadeszło, biskup się uspakajał w duszy, że przecie takie pół mili i pięciu krakowskim milom wyrówna.

Wtem chłop mu zastąpił wysoki, barczysty, a śmigły, a zanim trzech innych, zbrojni wszyscy w ciupagi, noże pistolety i rusznice.

Ścierpl biskup, choć poto, aby się ze zbójami zobaczyć, jechał.

— A ka to jadam? — zapytał wysoki chłop, przystępując zbliska.

Cóż za surowy widok! Włosy po ramiona, twarz od mrozów i wichrów zapiekła, dymem i żarem ognisk ogorzała, czapka na nim barankiem obszyta, z uszami, z suknianem granatowym dnem, z kutasem czerwonym u góry, ze złotemi czterema galonami na sukno dna w gwiazdę od kutasa naszytemi, kozuch rozchylony, krótki, a pod tem widno pas klamrzysty — portki w kap-

cach z sukna białego do kostek, a powyżej ponad nie prześliczne granatowo i czerwono wyszywane z białego sukna również „pończochy“ się wydobywały. Rękawice też białe, o jednym palcu, wielkim kunsztem z wełny białej, czerwonej i granatowej plecione.

Wszystko to jasno, choć las był, od śniegu odbijało i biskupowi w oczy wpadło.

— Ka jadam?

— Do Janosika Nędzy.

Zdumiał się chłop, jakby źle usłyszał.

— Ka? — powtórzył.

— Do hetmana, Sobku, powiadajom — ozwał się góral za przywódcą stojący.

— Do hetmana? Ze dy hań niwto niémoze iść.

— Jam ksiądz, opat tyniecki, biskup — rzekł ksiądz Pstrokoński — i samotrzeć, jako widzicie, jadę, a nie puścicie mnie nazad, choćbym zaprzyściągł, że nie wydam, to wasza wola.

Pozdejmowali chłopci czapki, popatrzyli na siebie.

— A poco?

— Prośbę mam.

— Do nas jyno hłopi prośby majom.

— Mam ją i ja.

Popatrzeli chłopci znowu na siebie, podejrzliwie i nieufnie, ale ten, co się wpierw odezwał, przemówił:

— Puśćmy ig jahać, Sobku, telom dal w las

wjehali, a i pewnie kajsi z precka jadom. Ze dy ig jyno trzok, a jak prośbe majom i za biskupa sie głosom —

— No to jedźcie — rzekł Sobek. — Idze ty Kuba ś niemi, coby wiedzieli na sałasie, jeze my sie widzieli.

Ruszył chłop owy przodem.

— Warta? — zapytał go gajowy biskupa.

— Hm — mruknął chłop. Pytać nie było poco.

— Wojskowy u nich moderunek — pomyślał biskup. — Grzeczna czata, że lepszejby i pan Jan Chryzostom Pasek z Gosławic nie sformował...

Rozwidniło się przed biskupem i dachy ujrzał.

— Tu to będzie — pomyślał i mimowolny dreszcz go przeszedł.

Niebawem też zobaczył szałas i szopy wielkie; dym bił nad dachy. Polana była szeroka, lasem dookoła otoczona.

Wysypali się chłopci naprzeciw w zdumieniu niezmiernem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił ich biskup.

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli. — Kuba, a to wto?

— Biskup.

Poodkrywali chłopci głowy, wraz też Janosik Nędza przed szałas bacowski wyszedł.

— Hej tam! Wto jedzie? — zapytał.

— Biskup!



— Biskup? Jaki? Skąd?

— Z Tyńca! — zawołał ksiądz Pstrokoński. —  
Opat benedyktyński, tyniecki!

— Witajcie! A cego sukajom?

— Janosika Nędzy Litmanowskiego.

— Ja haw — rzekł Janosik.

Biskup podjechał już popod szałas.

— Prosem, nieg racom. Jyno ostrożnie, bo próg wysoki, a ocap niski — zapraszał Janosik, pomagając biskupowi wysiąść. I do ludzi swoich wskazując konie i służących biskupich się zwrócił: wziąć, jeść i pić, postawić w ciepłe!

Wstąpił biskup do szałasów ponownie Pana Boga chwalać, a z szałasów mu „niegze bedzie“ stary Sablik, Krzyś, Maryna Toporówna i obsiedli koło ogniska chłopcy odpowiedzieli.

— Prosem. Nieg siednom — zapraszał Janosik, podając siedak samorodny, trójnożny.

Jeść i pić przed biskupem postawiono: mięsiwo, pieczeń jelenią i wino i miód, że lepszych i w Tenczynie za panów Tenczyńskich, co w złoty strzemionach jeździli, nie pijano.

— Z zacnych to piwnic zrabowane — pomyślał ksiądz Pstrokoński, smakując. Pił, jadł, gościnnie i godnie traktowany, i pozierał dokoła. Szalas zaopatrzono na zimę, mchem szpary utkano, a watra paliła się taka, że i w najtęższe mrozy można się było przy niej zagrzać. Na ścianach wisiała broń, po domach porabowana szlachec-

kich, i makaty stamtąd poznoszone. Ludzie zaś, którzy księdza otaczali, dziwne na nim czynili wrażenie: dzicz z jakąś górnością malowała się w ich twardo rzeźbionych twarzach, a obejście ich miało cechę rodzimej dworności, u prostaków nie spotykanej.

Patrzył ksiądz opat Pstrokoński na Janosika, ten się go zaś delikatnie nie pytał, poco go widzieć chciał, aż sam mówić zaczął.

Aż ksiądz Pstrokoński nagle wstał, przeżegnał krzyżem ponad głowami obecnych i rzekł podniesionym głosem:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen. Zbójcy wy jesteście!

Uczyliło się cicho w szalasio. Aż po chwili odparł Janosik, nie wstając z ławy pod ścianą, na której siedział nogi wyciągnąwszy ku ognisku:

— Księżo biskupie, cyście poto przyjahali?

— Zbójcy jesteście — wołał w uniesieniu ksiądz Pstrokoński — rabusie, podpalacze i morderce!

Nie potoż przyjechał, sam się owładnąć nie mógł, uniosło go oburzenie na łotrów.

Janosik zaś rzekł:

— A panowie Cikowscy, Lanckoroński, Stannicy, Bylina, Lesc, co z hłopów zywcem pasydarli, batami zabijali i dobytek hłopski psami gońcami zezerali, byli co?

Zmieszał się i stropił biskup, bo wiedział, że

Janosik prawdę mówił. Ów zaś wstał na całą wysokość swoją, głową pod pułap sięgając, śniady na orlej twarzy i potężnym głosem przemówił:

— Ja se w Polanak, we wiérhak siedział, a jagek zbójować seł, to na Węgry. I ludziom biédnym jek dawał, bo zbójnik świat równa i nato go Pan Bóg stworzél i opiekuje go. Ja tu do Polski nie seł. Ale przyšli ku mnie z płacem i lamentem, przyšli hłopi tacy, jako i ja haw, i na panów o pomstę wołali. Ja tu hłopów przed panami bronić i na panak za hłopskie krzywdy mścić sie prziseł. Rabusia, podpalowaca i morderce mi ksiądz biskup zadajom — no to bier krziz i przed hłopami stań i broń ik! Haj!

Grzmotem słów napelnił Janosik Litmanowski bacówkę zawojską.

Ksiądz Pstrokoński zaś wzniósł ręce do góry i zawołał:

— A jako Szawła w Pawła Pan zamienił, tak ja cię, zbójceki herszcie, w króla obrońcę chcę zmienić!

Pojrzeli na siebie chłopi; nie rozumieli mowy.

Biskup Pstrokoński wołał:

— Pan nasz i ojciec, nas wszystkich, król Jan Kazimierz na Śląsk przed Szwedami uszedł. Najświętsza Panna Marja klasztor Jasnogórski ocalała i duch w narodzie się dźwiga, otucha w zwątpiałe serce wstępuje. Już się miejscami nawet

chłopi ubodzy, prostaczkowie, podnoszą, wrogów wdzięcznie z pobożności ku Najświętszej Pannie biją. Król pan powrócić pragnie, na czele rewolucji przeciw najezdnikowi szwedzkiemu stanąć. Na Śląsku on cesarskim w Opolu siedzi, stąd niedaleko, za górami. Górale! I wyście chłopie! Króla do Polski przez wasze góry wprowadzić trzał

A na to Janosik, który był usiadł i nogi ku watrze wyciągnął, rzekł:

— A mnie do tego co?

— Jakto co!? — zawołał ksiądz Pstrokoński. — Wszakżeś ty Polak, Polski, Rzeczypospolitej syn!

— Ja jest Polak, a hań, za Tatrami, Luptacy i Węgrzy; a dołu Lafy.

— Jakie Lachy?

— Ci, co ku Krakowu i w Krakowie mieszkajom.

— To przecie właśnie Polacy! Bracia twoi!

— Moi bracia, górale, w kyrpcak hodzom. Lafy to odmienny naród.

— Wszakże mowa ta sama!

— Jedy ta i ryby majom mowe tensamom, zadna nic nijako inacy jako druga nie powie, a pstragowi głowac to brat? Abo łososiowi brzana?

— Ależ człowieku! Przecie król wspólny nad wszystkimi!

— No to i niedźwiedź gazda Tatrom, a bez to kozica z liskom wraz wody pić nie hodzujom.

— Nie kochacie króla waszego?

— Ja go nie widział.

— Nie chcecie potrzebującego pomocy wesprzeć?

— Jedy jek z Polan zeseł i śtyry roki potrzebującyk pomocy wspiéram.

W uniesieniu jał ksiądz biskup Pstrokoński o królu opowiadać. Jak w Warszawie na zamku żył, jak władał i panował, jak uciekać i tułać się musiał, aż Gadeja, który w kącie na ławie leżał, ozwał się:

— Zéj to tak, jakkieby gazde z hałupy wyścigali.

Na co rzekł Krzyś przez nos:

— Terazeście wej Tomasie mądrze pedzieli. Wy macie rozum!

Zaś Janosik, gazdowski syn, podniósł głowę i powiedział:

— Gazde nik z hałupy wyścigać nieśmié.

Zwrócił się ksiądz Pstrokoński na ten Janosikowy ruch.

— No ale tu właśnie tak, tu właśnie tak! — zawołał. — Szwedzi króla z kraju, jako gazdę z gazdowstwa wygnali!

— To nie jest w porzondku — rzekł Gadeja. — Król to król. Wyganiać go nik nie powinił. Tu niéma sprawiedliwości.

— Ani słychu o tém — dodał Krzyś sentencjonalnie.

— He! — ozwał się na to żywo Janosik. — Ja nie podzwole! Zbójnik świat równa! Tobymiało być!

— No widzisz, widzisz — zawołał biskup — a ono jest, jest! Widzisz!

— Gazdowi w takim niescyńściu sie godzi pomóc — rzekł Gadeja — nie dopięroz królowi.

— No — przytwierdził Mocarnego Wojtek, łupiąc ziemniak z łupy.

— Haj — przyświadczył Mateja po towarzysku.

Janosik spojrział po towarzyszach.

— Jakoz uwazujecie?

— Król to król — rzekł Gadeja.

— Polski — dodał Mocarny.

— Nas — Mateja.

Janosik pomyślał chwilę i odezwał się:

— To rzec. Gazde wyścigował nie bedzies. Kieby sie haw do mnie obróciél, jaby go bronieél. Jastrzab be bronieél jastrzaba, kiedy mu puhac młode biere. Hłop ku hłopu. Jakby na to padło, jaby króla na jego bronieć seł. I towarzisia za mnom.

Rzucił się ku niemu biskup Pstrokoński i w objęcia go chwycił.

— Zbawionym ty jeszcze będziesz! — krzy-

knął. — I pamięć twoja nie zaginie! I król nagrodził!

— Ja o nadgrode nie stojem — odpowiedział Janosik. — Mam swojego dość, jesce zwyse. Ba tu o inom rzec idzie. O prawo. Ja haw za styry roki hłopskiego prawa bronię, i królewskie prawo jest.

— Bo na kigoz by djabła, aj djabła, sytko wysło, jakby świat na gazdak nie stał! — zauważył adoracyjnie Krzyś.

— Jeden ma mało, drugi duzo — rzekł Mocarny.

— Ale kieś na swoim, to twoje — Mateja.

— Ludzie sie majom trzymać. Bo dziś tobie, jutro mnie — rzekł Gadeja.

— Dzisiok bryje na pomyje, a jutro je sam wypije! — przyśpiewał Krzyś.

— A i to rzec — odezwał się Sablik — coby ludzie ku sobie w równości béli, jeden drugiego godny.

Lecz Janosik, który myślał, przerwał mowy wstając i mówiąc:

— U mnie krótko. Jutro, lem świt, idziemé na Śwedów. Niek ig bedzie, kielo fce. A dziś, kie mamy gościa, a i jesce ig biskupiom miéłość, niek haw bedzie wesoło! Dorućcie na watre!

A gdy watra płomieniem dachu sięgać jęła, a wino złote, woniejące, z piwnicy pana Pongracza, pana na Mikułaszu Luptowskim, potokami

ze srebrnych, w kryształe rżniętych, złożonych i szczerozłotych szlacheckich puharów popłynęła i ochota okrutna, jako zwykle przed wyprawą, jeszcze tak straszną i niezwykłą, ludzi ogarnęła, poczęły się snuć opowieści jedna za drugą, osobliwie zaś starzy Sablik i Krzyś cuda prawili.

Ze zaś biskup był wesoly, jemu mogące być miłe opowiadki zbacowano.

Sablik mówił:

— Kie, prosem pięknie ig miéłość duhownom, Paniezus stworzél świat, to sie obezrał, ósmiał sie i tak se pedział:

Bars ja to syćko dobrze porobiél. Jyno nie wiem, cy sie Jadamowi nie bee kotwić, bo je sam, haj.

Trza mu końcem sprawić jakom zabawke, coby sie ś niom przy casie zabawiél, coby mu sie nie kotwiło.

Tak se pedział Paniezus.

I dobrze nie bardzo, zawołał:

Jadamie! Hybaj ze haw.

Jadam prziseł, ale sie mu strasnie łydki zacény trząść, bo sie Pana Jezusa strasnie bał, haj.

— Légaj! — pada mu Paniezus.

Jadam pilno lóg, ale se pomyślał:

— E, bedzie cosi, bedzie źle — i łydki zacény mu jesce mocniéj dygotać.

Paniezus porusał na pościeli ręcami nad nim, tozto pilno usnom. Wyjon pote, prosem pięknie,



składak z tórbki i wyrznon mu we śnie ziobro. Ale to béło strasnie brzydźkie i masne, tozto prasnon na brzyzek, coby oskło.

Djascy nadali psa. Zakradła sie kanalija, łap ziobro i w uciekaca ś nim do dźwierzy Raju.

Paniezus łap kija i dalój za nim.

Ale pies wartki, a Paniezus stary, i niémóg go doleciéc i hycić, coby mu ziobro wydar.

Lecom, lecom, jaze przilatujom do dźwierzy Raju, a pies juz béł we dźwierzak.

Toz to Paniezus telo ścignon, co wartko dźwierze kopnon.

Dźwierze sie na zaworke zaparły, ucieny psu ogon, ale pies uciók, haj.

I dobrze nie bardzo, co Paniezus nie robi, wzion ten ogon pote, obeźrał, zgniéwał sie i pedział tak:

Cekaj jyno ty! Ja ci i tak pokazem, zek cosi kajsi wart!

Tozto zgniéwał sie, łapił ogon i z tego ogona stworzél babe, haj!

Śmiał się ksiądz biskup Pstrokoński, pijąc wino wśród zbójów leśnych.

Zaś Krzyś, który był wielki zbereźnik, tak opowiadać począł:

— Nastaly raz strasnie złe roki. Nic róśc nie kciało i głód béł wielgi wsędy! Jaze béło dwók kumotrów i jeden drugiemu tak pada:

Wiécie co, kumotrze, ja mam jarzec, a wy

macie stajanie prózne, dajcie mi jedno stajanko, a ja wam siacia dam. Zasiejemy, urosnie nam. Kiby to djascy byli, coby nie urosło!

I tak zrobili.

Zaziérajom, hodzom, ale nie kciało róść, jyno taka biéda. Straśnie bél płony ten jarzec. Ale tego kumotra, co jarcu dał, jesce bél płońsy, mniejsy. Zgniéwał sie i pedział: bier djable taki jarzec!

Posel du domu i strasnie mu smutno bélo. Ale kie znova na jarzec posel zażréć, bél juz wielgi, więksy jako kumotrów. Wartko poleciał du domu, wyklepał kose i hybaj kosić!

Przychodzi na zagon, pobrusiél kose i zacion. Jaz tu w te razy wyskocy djaboł. Łap mu za kosisko i pada:

— Stój! Nie bees kosiél.

— A bez co?

— Bo jarzec mój.

— La cegos twój, kie ja go nasiał?

— Temu, ześ pedział „bier djable taki jarzec“, no to ja se go wzion. Kazalek mu róść i teraz se go bedem kosiél, a ty nie!

Wzieni sie za garła.

Hłop ze bél mądry gazda, djabła sie nie bał. Trzymał sie setnie na nogak, a strasnie go prał po pysku. Jaze mu djasek tak pada:

— Wiés co hłopie? Załózmy sie.

— Ja nje od tego,

— Wto na piękniejszej kobyle przyjedzie jarzec kosić, to jego.

Hłop przistał; co miał robić.

Zasł du domu, łeb zwiesił, bo jakoz to djabła kobyłom przebrać, kie ani konia w stajni nie było.

Baba jego smutek uźrała, ospytuje sie, cegoby taki smutny być miał.

Tak i tak — hłop jej powiada. A baba na to:

O dajze pokój, dajze pokój! Zej do jutra sie jesce nieraz namyślimé. Mamy cas.

No i co sie nie stało.

Raniućko, lemze świt, jehał djasek kosić jarzec na kobyle siwej, talarkowatej, co kwiatek, to bël na niéj iny.

Hłop se ta zaś jyno wyjehał na gołej babie.

Jaz go djabeł uźrał i zdaleka juz wołał:

Bier jarzec! Koś jarzec! Twój jarzec!

Bo ona, ta hłopowa kobyła, béła śmyśna.

Tam, ka miała mieć grzywe, to miała ogon, a ka miała mieć ogon, to miała grzywe. Haj.

Ksiądz biskup Pstrokoński, opat tyniecki, który Jana Kazimierza do kraju z ucieczki sprowadzać i kraj od Szwedów ratować pragnął, tak się śmiał, aż złocistem winem pana Pongracza szaty pokropił.

Jeszcze mu, gdy już spać miał na futrach zrabowanych lec, odmówił Mateja „ojczenasz góral-

ski“ i przeżegnał się: „Panie ojce, bądź w miłości, jako tako na prędkości!“

Ksiądz biskup go w łeb trzepnął, ale łzy ze śmiechu chustką jedwabną ocierał.

Tańczyli też chłopci w jednym miejscu, bo miejsca skąpo było, drepcąc i podskakując, a ksiądz Pstrokoński dziwił się zarówno dzikiej monotonnej, zapamiętałej muzyce, jak i równie dzikiemu, monotonnemu a zapamiętałemu tańcowi, do którego trzeba mieć było istotnie „nogi ze stali“, „abo komu djabli dali“. Dziwił się też niezrównanej lekkości, zgrabności i wytrzymałości tancerzy, a najbardziej podziwiał, gdy tancerz, na końcach palców u stóp stanąwszy z wyprężonemi nogami, niesłychaną ilość razy pięty w powietrzu umiał niezmiernie prędko zbliżyć jedna ku drugiej i oddalić od siebie, jednej o drugą nie uderzając, co się księdzu biskupowi widziało sztuką godną baletu francuskiego, o którym cuda opowiadano.

Zwano Marynę Toporzanę do tańca, ale pójść nie chciała. Siedziała posepną myślą trawiona w kącie szalasu, a gdy ją nagabywano, aby i babski taniec gościowi zaprezentowała, zabrała się i poszła.

— A to kto, ta kobieta? — zapytał ksiądz biskup Janosika.

— Siostra tego tu hawa hłopa — odpowiedział Janosik, wskazując głową Sobka Topora. — Orli-

ca zbójecka — dodał. — Za dwók dobryk hłopów obstanie.

— I rabuje?

— Rabować to ta ona nie rabuje, ale jój wse do działu dajem i oskrabinami niezbywam — rzekł Janosik.

— No więc co tu robi? Gotuje wam jeść i grzech z wami płodzi?

— Jeść ugotuje, ale grzyhu nijakiego nie płodzi. Sprógować tu jeden fciał, taki Juro z Lasku, juz nie zyje, bo go harnicy biskupa krakowskiego zastrzelili, ale sie odrazu nogami nakrył. Ona nie rabuje, ale sie bije, jak na to padnie, co ani ja, ani jej brat, ani tu zaden pomiędzy nas lepi nie zdolimy. Ona sie mści, bo jom ślalcie porwać fciał i w Ciorstynie jom przy panu Kostkowi buławom wycion, co na ziem spadła zamglona...

A gdy sen morzyć wszystkich poczał i spać się jedni porozchodzili po szopach, drudzy w szalasi poukładali, ksiądz biskup szparą, którą dla dymu w ścianie szalasu między drzewami zostawiono, odmawiając modlitwy, na świat Boży jął patrzeć. Gwiazdy widział tak wyiskrzone, jak nigdy w dolinach, na tak czystem, iż się zdawało szklannem, niebie. Zebrała go ochota i otuliwszy się we futro, siadł na progu przed szalaszem. Las stał dookoła niedowypowiedzenia cichy i spokojny. Niebo w nieskończoność rozesłane jasnozielonawo-błękitne wisiało ponad nim, jako ol-

brzymia rola gwiazdami uprawna i gwiazdom matka. Białe śniegi polany przed biskupem, otwarte szeroko, milczały tak samo, jak las i gwiazdy. O równej ciszy i równym spokoju nie miał ksiądz Pstrokoński pojęcia. I jeszcze go potęgowała i podnosiła jedna mgła, podobna do słupu dymu z ogniska, obłok nad lasem widny, nieruchomy, jakby lodem przemarzły. Zastój uroczysty i niezmacony, grozy ostępu pełny.

— Zaiste — rzekł ksiądz biskup w swojej duszy — gdybym teraz anioła przelatującego zobaczył, nie miałbym tego za cud, tylko za zwykłe w noc zimową w górach zjawisko...

Wrócił do szałasu i legł na przygotowanym dla siebie posłaniu przy wiatrze, którą od czasu do czasu któryś z leżących koło niej górali poprawiał.

Wtem drzwi skrzypnęły i weszła Maryna. Miała ona swoje łóżko w komorze przy szałasie, gdzie mleko w naczyniach stawianem bywa i rozmaity sprzęt się umieszcza.

— Nie śpisz to jeszcze? — zapytał ksiądz biskup.

— Dy prawie idem — odpowiedziała Maryna.

— Piękna noc — rzekł ksiądz.

— Nagodziel Panbóg.

— Aniołowie dusz pobożnych pilnują.

— To cemuz na świecie jest grzyhy?

— Tak Pan Bóg dał umyślnie, aby człowiek o zbawienie miał starość.

— Nie lepi bęło cęka całke nie stwarzać?

— Gdyby człowieka nie było, nie mógłby być zbawionym.

— No to cozby mu o to sło? Nie suka cyców to dziecko, co sie nie urodziło. Bo nie głodne.

— Rozumu i wole Boskiej niech człowiek nie przesądza.

— Ale ciérpieć mu wolno, haj?

— Nato człowiek żyje, aby cierpiał i wycierpiał koronę niebieską.

— Nie zaobsełby sie? Przez piekła i przez nieba?

— Boleść jakaś przez ciebie mówi.

— He, jegomość, boleść ta jako boleść; dusa ludzka beze mnie mówi, bo jom w piersiak mam, jako i drudzy.

— Do kościoła chodzisz?

— Edź jek ta bęła pare razy w Saflarak.

— Tu co robisz?

— Sukam, cego nie najdem, tracem, cego nie zbędem.

— Gadaj wyraźnie.

— E, jegomość, ma to dziewczka wyraźnie gadać, kie Panbóg nic wyraźnie nie pedział?

— Bluźniesz! Bóg ozwał się przez Ewangelję.

— Ja Go słyszała w pierunak i grzmiotak, alek Mu nie rozumiała, co gadze?

— Chcesz pójść ze mną?

— Ka?

— Boga poznać.

— Ka? W doliny? Cy Go hań wiećél, jako haw? Więcél hań świeći gwiazd, grubse lasy stojom, więcél wód? Cy sie hań jaśniej łyska, głośniej grzmi? Hurmawice hań więkse dujom i piékniej ptaki w lecie po gajak śpiéwajom? Zorza hań więcél radosna, a na odwiecerz więcél spokojności w serce ludzkie z ómom shodzi?

— Kto cię tak myśleć nauczył?

— Wto? Ze dy Panbóg, o wtorym gadacie. Kie syćko stworzél, to i mnie, a kie syćko, to i to, co we mnie jest.

Zamyślił się ksiądz biskup Pstrokoński.

— Jak ci to na imię? — spytał po chwili.

— Maryna.

— Maryna — rzekł — patrz jak to pięknie: na niebie Pan Bóg mieszka, Aniołowie koło Niego, Świeći Pańscy — chórem Mu śpiewają. Prawda, że pięknie i piękniej być nie może?

— A na ziemi co?

— Jakto co?

— Ze dy haw, na ziemi?

— Na ziemię patrzy Pan Bóg z Aniołami i Świątymi i czuwają nad nią.



— Straśnie dobrze sytka robiom — rzekła Maryna. — Ale ziem teraz pusta.

— Jakże to pusta?

— Kiebyście, jegomość, słyseli staryk ludzi. Kie haw jesce Światybór władał! Podany on bël na niedźwiedzia, kudłaty i wielgi, a na głowie miał jelenie rogi. Strzóg lasów z rąbanicom w ręcy. Kie seł bez las, na zadnik nogak, to jaze dudniało pod nim... Strasny bël, ale jyno na tego, co lasom skodziel. Cérwone ocy mu ze łba świeciły, w nocy, jak kaganki. Zedrzał niejednen lasowy złodziej, prasnon siekiére i uciók przed nim... Kie tu Pogoda bywała, pani złotego dnia i srybněj nocy... Skrzidła miała gołëbie, a bratki po nik kwitły... Kie tu bywała Wiesna, co jej skowronki z garzci wylatowały, a uśmiéhała sie tak, jako słońce na jaworowyk liściak... Kie Lelki pilnowały skarbów we ferecynie pohowane, kie Majki i Drzewice promieniste po lasak gonily... Kie tu kwiaty i drzewa i ptaki z ludziami gwarzyły, kieś seł bez las, to tak, jak kieby tyście zwonecków koło tobie zwońilo... Di-i-i-tirlu-tirlu-tirlu-don-don-din-don-don-din-ri-li-li-ri-li-lidin-don-din-don-din-don... Co drzewo, inom miało gware, co kwiat, co ziele, co ptak... Seł cłek mówięcy po lesie, bawiący sie ś nim, nie tak, jako teraz, co jyno ptaki śpiéwajom, ale im nic nijako nie wyrozumiés. Ka sie podziały Promiennice nocne, co koło stawów po halak sia-

dowały, jak kiebyś lelujami staw obsiał, i gwiazdami sie we wodzie bawiły? Ka som jest Mieściecne Panny we gmak nocnyk po wiérhak latające? Ka jest Zarnice, co rose siały i rose zbiérowały? Ka Ćmy z niebieskimi ocami, w cieniu leśnym popod splęciom konarów pohowane, jak zające? Ka Świt z ogniem na głowie i cérwonemi skrzydłami i ka Olbrzym, co słońce z nieba znosił na ramieniak, jak juhas owce w śtyrbnem miejscu z turnie? Ka som wodne duhy z trąbitami i fletami, co sie kiejsi dawno z capów i pasterek porodziły, kudłami obrośnione, z rogami koźlemi, na dwók nogak hipkające? Ka Polednice, co dziewczki za ramienia hytały i na kępy na grzibiecie kładły, co pote robiel ś niemi co wto fciał. Dawały. I Wiośnianki, co sie na błyskawicak po niebie woziły? Ka sie to sytko popodziało? Przyšli księdzowie z panami, poceni świente drzewa ciąc, dali krzize strugać i pospostawiali je i sytko przepadło... W jeziora pozapadowało, w dziury, w jamy podziemne — jyno sie case ozwiom tak jako płacem...

— Maryna — spytał biskup — umiesz ty pacierz?

— Eć mie ta ucyli misyjonarze, co u nas na Hrubém siedzieli, kiejek mała béła — odpowiedziała Maryna po chwili, jakby ze snu się budząc.

— Modlisz się codzien? — pytał dalej biskup.

— Modlem sie, kie modlitwa ku mnie przydzie.

— Jakto?

— Kie sie mi zafce, ty sie modlujem.

— Codzien modlic się trzeba.

— Cy sie fce, cy nie? Ze coz to za taka modlitwa sukana, co jom za nogi hytać trza?

— Jakto? Nierozumiem ciebie.

— Modlitwa sie mi widzi tak, jak głód. Kie sie mi fce hleba — jem, a kie sie mi fce Boga — modlem sie. Jyno dusa nie telo nienazarta, jako ciało; temu trza i trzi i štury razy do dnia dać pojeść.

— A duszy rano i wieczór Boga!

— Cy Panbóg nie jest tak, jak dysc? Kie leje, to leje, a kie nie, to nie? Przydzie ku dusy, to je haw, to sie módl, bo Go cujes blizo sobie. Modlitwy sie mi tak widzom jako kwiaty pachniące; nie noś ig za pazuhom, bo usknom, ba wte woniaj, kie z ogródka pachnom.

— Maryna — rzekł ksiądz biskup Pstrokoński zdumiony — Maryna, szkoda ciebie!

— Hej, jegomość — odpowiedziała Maryna — jesce okiść z lasa obleci i bedzie ciepło, wiesna. Miéjcie dobrom noc.

— Dobranoc ci. Módl się, Maryna, i przestań grzeszyć.

— Kie mi djaska zall — roześmiała się Maryna. — Cozby robiel, jakby my sytka w niebie

béli? Kie djabła Panbóg stworzél, to se zaraz pomésleć musiał: stworzem i grzyhy, bo po co-zyk djabła stwarzał? Kogo Panbóg stworzy, to go nieumorzy — padajom. Miéjcie dobrom noc.

I poszła za ścianę.

Zawinał się ksiądz biskup we futro. Jakże mu dziwnie było... W obcem miejscu, w dziczy, po-środku lasów ogromnych, wśród nietylko obcych ludzi, ale zbójów, wilków i niedźwiedzi... Groźne, potężne chłopy chrapały pozawijane w kozuchy, dery, futra porabowane i makaty wokoło niego. Dym z watry gryzł w oczy, piekł żar w jeden bok, gdy w drugi noc mroziła. Jakże daleko była wygodna cela klasztorna w Tyńcu, gdzie chłopak służebny drew do pieca dokładał, a łoże spokojne i wygodne było.

Ale oto jutro miał być dzień wielki... Miał król polski przez chłopów być wprowadzony w granice swego kraju...

Ach! — myślał ksiądz biskup Pstrokoński w drzemotę zapadając. — Zali jeszcze kiedy chłopi polscy większego, niżli ten i srożej i przez większych nieprzyjaciół wygnanego z królestwa swego króla na rękach swoich nazad do kraju nie wniosą? Zali nie przyjdzie czas, kiedy tak sroga opresja spadnie na Rzeczpospolitą, iż stan szlachecki nie starczy na jej obronę, ale ile rąk mocnych w niej, tylu do zbawienia swego potrzebować będzie? Zali w srogim terminie

szlachta nie będzie szukała chłopskiego hetmana, aby ratował, bo Rzeczpospolita tonąć będzie w morzu klęsk?

A klęski te i upadek przepowiadał wielki kaznodzieja ojca Jana Kazimierza, ksiądz Piotr Skarga Pawęski...

---

Janosik, przy nagromadzonych łupach straż w lesie babiogórskim na polanie zostawiwszy, ruszył o świcie na czele bandy. W pośrodku, na sankach, ksiądz biskup Pstrokoński, jadąc i pacierze ranne odmawiając, a Boga o powodzenie imprezy prosząc, podziwiał siłę, zwinność, lekkość Janosikowych opryszków, w każdym ruchu wśród ciężkiej drogi się objawiającą. Osobliwie zajął jego uwagę Sablik, siwy i stary, a tak zgrabny i lekki, że się raczej suwać po śniegu, niż stapać po nim zdawał. Gęślicki w rękaw od czuchy wraziwszy, podpierając się toporkiem, szedł narówni z młodymi, z twarzy do starego sępa podobny i zamyślony.

— Ociec! — krzyknął nań biskup, gdy się koło sanek znalazł.

Sablik przystąpił bliżej.

— Ociec, o czym se też tak dumacie? — zapytał biskup.

— E mėslem se, prosem ig miėlośc duhownom, cy tys ta hań w niebie, kie u nas zima, śniegi

kurzom? Bo jakby hań zimy niebóło, to skądzeby sie u nas brała i skądby śniegi leciały? Ja tak uwazujem, ze ona by hań miała być jesce lepsa, jako tu, coby im hań śniegu nie hybiło, ba sie musi to zwysać, co tu na ziem spada.

Uśmiechnął się biskup, ale we futro, aby staro nie urazić, i ozwał się:

— He, któż to wie, jak to w niebie może być?

— Oni niewiedzom? — zapytał, lekko dworując, Sablik. — Dyc som jest na to uconi? Po śmierzci sie ta sytka dowiemé i wte telo bedzie wiedział dziad, co i ociec święnty w Rzymie, nie bójmy sie.

— Tylko trzeba sprawiedliwym na ziemi być.

— To to wej, mądrze radzom. Kie ja do Luptaka pod Krzywaniem z ruśnice, abo z proce mierzem, a on do mnie, to my oba sprawiedliwi, hoć sie kazdemu inacy widzi.

Skonfundował się nieco biskup Pstrokoński.

— Sprawiedliwość Boska jedna jest — rzekł.

— Jyno ludzkiej telo, kielo ludzi na świecie — odpowiedział Sablik.

Zadumał się ksiądz biskup Pstrokoński nad ciemnem i grubem pogaństwem tego starca, a Sablik, pomilczawszy chwilę, naprzód poświstał zcicha starodawną nutę myśliwską, potem zamruczał:

Hej Sablicek zbójniczek,  
hej siekiérecka ostrza —

nie jedna dusycka  
bez niom w niebo posła...  
Hej Sablik se zaśpiewał,  
ej Krzywań mu odpedział,  
bo o jego sprawie  
nik iny niewiedział...

A twarz jego przeciągnęła się i mgliste siwe oczy wdał zamierzchłą pobiegły.

— He, to obieś! — ozwał się z pełną galanterji poufałością Krzyś do biskupa, gdy Sablik się nieco oddalił. — To obieś! Nie jednego on strzelca z Luptowa, abo z Orawy we wantak ostawił. Jemu nie zastempuj na dródzel! Strzeli do człowieka, jak do wilka.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wykrzyknął ksiądz Pstrokoński. — Gdzieżby zaś!?

— E bajto! Bêło ig trzok bratów, ten Jasiek, Józek i Jędrak. Kie na polowanie pošli, to kie jeden na Krzywaniu, drugi na Hrubym Wiérchu, a trzeci na Ostrej bël, to sie kapelusami, abo cuhami dogadowali. Ale jyno ten Jasiek ostał. Bo Józka zabił niedźwiedz, kajsi w Bobrowcu, a Jędrzka luptowski strzelec w Miegusowskiej Dolinie. He, to obieś, ten Sablik! Dość sie tu na Sąd Ostatecny nasukajom, kim te syćkie kości, co on je we wiérhak poostrzepał, najdom!

— Takiż to on?

— Taki. W rzeczy grzecny człowiek, muzyka, uśmieje sie, uradzi — e, ale hań, w lesie! Jyno



go juhasi radzi straśnie widzom, kie na polane zajńdzie, bo jak niedźwiedz woły bije, niémas nadeń! A na niedźwiedzia idzie sam, z ruśnicom, abo z łukem.

— Sam jeden?

— Sam. Worcek mąki weźnie, soli, abo i to nié, bo jemu jéj ta niekoniecznie, i idzie. Case go i trzi i štiry tyźnie niéma. Baba juz i na msom za duse cosi ze trzi razy dawać hodziła.

— I gdzie siedzi?

— Na polanie ka, przy juhasak, abo w lesie. Znajom go po halak na Luptowie, na Orawie, na Spisie i dalej, poza Matre, poza Fatre, poza Hocz, sędyl. Bacowie, panowie, panicowie, po nasemu leśni, a straśnie go radzi widzom, ze strzelec!

Zabawiał Krzyś księdza biskupa, aż i droga się wywinęła, któredy ku Krakowu wracać było można. Odpuścił ksiądz Pstrokoński bandzie Janosikowej grzechy i pobłogosławił, chłopci go w ręce całowali, a gdy się pożegnano, wziął się Janosik ku Spiżowi, któredy słuchy szły, iż król ma do Lubomli, do pana Jerzego Lubomirskiego, wielkiego marszałka koronnego, jechać, aby stamtąd akcję zaczepną przeciw Szwedom rozpocząć.

Ostrożnie postępował Janosik, szpiegów rozsyłając, aby królewskiego gazdę tem pewniej na gazdowstwo wawelskie wprowadzić. Im dalej ku

Wschodowi, tem śniegi były mniejsze, a twardsze, tak, że co pod Babią Górą po kolana zapadać trzeba było, to poza wytok Jaworowej Doliny raczej trza było raki żelazne pod kapce przygotować, bo się ślizgały. Gdy też Janosikowi Gadeja i Mateja wieści donieśli, iż Szwedzi, o przekradaniu się króla powiadomieni, w wąwozie nań pod Magórą Spiską czatować mieli, w mig Janosik plan walki powziął, a siła się już chłopów ku niemu po drodze przyłączyła. Cicho, jak żbiki, szli szpiegowie Janosika za rajtarami i szwedzką piechotą, a nim Szwedzi do wąwozu dotarli, już po obu stronach jego w lesie kilkuset chłopów na śniegach leżało.

Głazy olbrzymie na rozkaz Janosika ze zmarzłego gruntu chłopci nadludzkimi swemi siłami powydobywali i czekali przy nich nad uboczami, prawie nie pokrytemi śniegiem.

Czekali od rana, ale zimna nie czuli, tyle w nich było żądy tej okropnej, śmiertelnej, zbójeckiej psoty, jaką wyrządzić mieli. Każdy przy głazie leżał i patrzył pomiędzy drzewa wdół.

Wtem zabiły im serca: naprzód ze dwustu rajtarów z oficerami, potem paręset piechoty poczęło w wąwóz wkraczać.

Szli, niczego nie podejrzewając. I zaczęli się za zakrętem na króla, sparci w gromadę.

Co za piekielna uciecha! Zasadzka na tego, co sam zasadzkę urządza! Chłopi byliby rzeli

z uciechy, gdyby Janosik najmniejszego hałasu pod gardłem nie zakazał i gdyby się sami zepsuć sobie uciechy nie obawiali.

W żelezie jechała rajterja, w kirysach szła piechota — ale to proci kamieniom nanic...

Aż i z przeciwnej strony widno było zgóry, jeźdźcy zdala ukazywać się poczęli.

Na przodzie zrazu jak majak jechał we futro odziany człowiek, za nim orszak nieduży, koło pięćdziesięciu ludzi liczący.

Jechali spokojnie, śnać niczego złego nie przypuszczając. Owszem, widać było, że jadą wesoło, jeździec na przodzie zwracał się często śnać z mową do jadących za nim towarzyszy. Król, król — szeptali górale.

Wjechali w wąwóz. Orszak wydłużył się dla wąskości miejsca i posuwał powoli naprzód. Rajtarja i piechota szwedzka za zakrętem nasłuchiwać zaczęła.

Wtem wrzask straszliwy napełnił góry, od którego konie spłoszone dęba stanęły i na zadach przysiadły.

Z obu stron wąwozu na Szwedów zaczęła się toczyć lawina głazów.

Uczyliło się wśród nich okropne zamieszanie. Konie i ludzie miażdżeni przewalali się i z ciał i ścierw tworzyły się kłęby i zwały. Ze wszech stron leciały głazy. Przed siebie i za siebie jęli przerażeni do najwyższego stopnia Szwedzi ucie-

kać, ale w tej chwili gruchnął na nich grad kul z samopałów, strzał z łuków, kamieni z proc, a wślad wynurzyły się z mroku leśnego postacie i z niesłychaną szybkością zbiegając jak grad na dół, z ciupagami na szukających ratunku natarły.

Na hełmach i pancerzach szwedzkich zadzwoniły siekiery. Szwedom wydało się, że djabły, i prawie bronić się nie śmieli, zresztą furja nacierających, zręczność, siła i dzikość łamały wszelki opór. Czego nie zgmiotły głowy, rąbali chłopi. Zdała z za drzewa podziwiał Krzyś Janosika, Sobka Topora, Mateję, Gadeję i Mocarnego, którzy ciosami ciupag hełmy łupali, jak gonty, kiedyby się dach na domu palił. Ryk nie ludzki grzmiał w górach i szczęk jak w olbrzymiej kuźni.

— Djabli się wyzbiegajom z widłami — myślał Krzyś — bo bedom myśleć, ze haw strahotna kuźnia, co by im je posprascać, jak sie im pokrzywily od ognia, ka męcom...

Orszak królewski tak się tym nie ludzkim hałasem zastraszył i stropił i tak od niego osłupiał, że nawet do ucieczki się nie rzucił. Nuncjusz papieski i biskup krakowski Gębicki, którzy królowi towarzyszyli, krzyżem świętym przestrzeń przed sobą zegnać zaczęli. Dopiero gdy pierwsi Szwedzi w popłochu z poza zakrętu wypadli, król szpady dobył, za nim szlachty i żołnierzy kilkunastu, a inni do ucieczki się rwali.

Lecz widok ścigających Szwedów i spadających na nich górali do reszty orszak królewski zdumił i osłupił. W oczach króla i towarzyszących mu panów i żołnierzy zarąbano rajtarów i piechotników szwedzkich. Gdy się zaś śmielsi z orszaku wraz z królem naprzód na to widowisko końmi poparli, ujrzeni chłopów bijących w kupę Szwedów poprostu jako praczki kijaniami w kupę bielizny mokrej wałą.

— In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen! — zawołał król.

— Co to jest!?

I patrzył na rzeź zachwyconym wzrokiem. Jego to pogromców gromiono. Kto pardon wołał, nie darowano zdrowiem. W okrutnej zapamiętałości puszczeni na to górale kosili Szwedów, aż nuncjusz papieski oczy zakrył, a biskup krakowski wołać począł: Dosyć! Dosyć! Stójcie, chrześcijanie!

Ale dopóki ostatni stojący nie padł, ranny dobity nie został, straszna młóćba toporów nie ustawała; szalała dzicz o krwi bezlitosnej.

Król ujrzał przed sobą zagrodzoną drogę — ale trupami.

— Ludzie! Ktoście wy!? — zawołał.

— Górale! — odpowiedziały zdyszane, ochryple głosy.

— Skąd? Kto was nawiódl?

— Janosik Nędza Litmanowski z Polan!

— Dawaj go sam! — krzyknął król.

A biskup Gębicki zawołał:

— Chłopi! Król przed wami stoi!

Naówczas poczęli górale odkrywać głowy z czap wełnianych, kołpaków baranich i kapeluszy sukiennych, które się od tłuszczu zakrzepłego nieświadomemu oku jako skórzane wydawały. Wielu w uniesieniu przypadło do rąk i butów królewskich.

— Gdzież wasz wódz? Gdzież ów Janosik? — pytał Jan Kazimierz.

Wystąpił Nędza naprzód. Cały krwawy, od czapy po kerpce; z czerwonej ciupagi po toporzysku krew mu ciekła.

— Aleś to widzę z jatki przyszedł, rzeźniku! — zawołał wesóło król, jako był prędko skory do śmiechów.

Janosik czapką króla pozdrowił, nazad ją na głowę wdział, wsparł się na ciupadze i ręką w bok i rzekł:

— Jedźcie, panie królu, na gazdowstwo wase!

— Człeku! Czapeż ze łba! Do króla mówisz! — krzyknął biskup krakowski.

A któryś ze szlachty z orszaku wzburzonym głosem wrzasnął:

— Na kolana! Cham!

Z piorunami gniewu w oczach zwrócił się Jan

Kazimierz za siebie, ale nim usta otworzyć zdołał, pogardliwie, a wyniośle Janosik odpowiedział:

— My oba do sie i w capkak mozemy radzić, bo my na przodku. A klękać to mie jyno przed Pane Boge ucyli w kościele.

Nie śmiał się nikt nie ozwać na gniew królewski, na twarzy Janowi Kazimierzowi widny, ksiądz biskup Gębicki zaś, aby zło zażegnać, rzekł:

— Nim w Krakowie na Wawelu „Te Deum“ zaśpiewamy, tu „Ciebie Panie chwalimy“ zaśpiewajmy, a wy, chłopci, ziemskiemu swemu panu drogę przez trupy szwedzkie rozgrodziecie!

Wzięli się chłopci do roboty, Jan Kazimierz zaś Janosika pytał:

— Jakiej nagrody chcesz?

— Janosik myślał chwilę, śnać namyślał się, potem rzekł:

— Wytnijcie, królu, tego, co mi klękać przed wami kazował, w pysk.

— Może i to być! — zawołał wybuchając nieopatrzny śmiechem król. — A więcej czego chcesz?

— Nic — odpowiedział Janosik. — Ja wam pomóg, jak gazda gaździe. Wracajcie sie na gzdowstwo swoje.

Śmiał się król.

— Jakby ci trza było, Janosiku, z Krakowa z chorągwiami pancernemi pod Tatry przyjadę!

— Mnie hań nietrza bedzie. Ja se wse rade dam sam.

— Szpetnie nam przymówił — zwrócił się król do orszaku. — No, Janosiku, czem mogę, to ci dziękuję, w podróży!

I kiesę złota z za pasa wyciągnawszy, pod nogi Janosikowi rzucił. Za przykładem tym poszli biskupi, panowie i szlachta, towarzysząca królowi. Złoto potoczyło się na śnieg.

— Biercie, hłopczy, jak wam wola — ozwał się Janosik do górali, którym na widok sakiewek dusze i ręce trząść się poczęły, a którzy i Szwedów na gwałt obdzierali — a wy, panie królu, przymcie zaś ode mnie to!

I ciupagę swoją krwawą ku królowi wyciągnął.

— Bierz! — zawołał Jan Kazimierz na rękodajnego, który siedział na koniu w podle. — Bierz! Bo oto przez chłopską siekierę do królestwa mego wracam!

I ruszywszy koniem ku Janosikowi, za głowę go uścisnął i przez torowaną pomiędzy trupy rajtarskie drogę konia naprzód pchnął, a za nim posunął się orszak z głośnem śpiewaniem pieśni „Ciebie Panie chwalimy“, którą i poblížej kościołów mieszkający chłopci za biskupami i rycearzami śpiewali, otoczywszy orszak, aby go w razie ponownej napaści bronić i osłonić.

---



Po latach wojny i straszliwym spustoszeniu szwedzkim wybuchł głód. Gdy Janosik z towarzyszami do domu rodzicielskiego, w Polany, powrócił, zastał dokoła nędzę po wsiach. Trzymali się, a nawet nie czuli niedostatku bogaci gazdowie, Kojsowie w Chochołowie, Walczaki i Jarząbki w Zakopanem, Nowobilscy sołtysia na Białce, nie czuł go także Janosików ojciec, ale ogół górali głodem przymierał. Gdy Janosik powrócił do domu, po latach czterech bojów ze szlachtą i zwycięstwem nad Szwedami pod Spiską Magórą, łupy wioząc bogate, jał on ludzi ubogich wspomagać własnym dobytkiem i z pieniędzy sanie po żywność na Węgry słał. Ale ku końcu stycznia przywalały świat śniegi tak straszne, iż dachy chałup pokrywały i ludzie tunele i lochy kopać musieli. Poprostu zginęła ziemia pod śniegiem. Dzień po dniu i noc po nocy dał wichur i płatami olbrzymimi śniegu z poza Tatr od Zachodu rzucał. Czeladź Janosika i domowi na zmiany dzień i noc pracowali, aby przejścia od izb do stajni, chlewów i stodoły utrzy-

mać. Jedzenia nie brakowało, bo bydła grubego i drobnego statku, owiec, baranów, świń było dość, było też czem zimować żywinę, a i dREW na opał za czasu czeladź narąbała i nawiozła z lasu. Trzy tygodnie, aż do lutego dęły te śniegi, że i matka Janosika już wątpiła, czy ustaną kiedy i śmierć przewidywała w całunie.

Aż pewnego rana rozwidniło się niebo, jasny, szklisty pokazał się błękit, rażący oczy lśnieniem nieporównanem i nieprzetrzymanem i mróz okropny ściał świat, tak, iż zwały śniegowe stęgły w żelazo. Po drabinie wydrapał się Janosik od podwórza na dach i po drugiej jego stronie ujrzał białą równię.

Jak oko sięgnąć zdołało, nie było nic, tylko biała płaszczyzna, drzewa tylko koło domów wzdłuż potoków z Gubałówki płynących rosnące, jawory, jesiony, lipy sterczały ponad śnieg i lasy smrekowe białe i w lód ścięte. Jednego dachu nie było widać. Na Nędzowym Groniku, u Staników, u Czajków, u Staszłów, u Fakłów, Tyralów i Pitoniów, Gadejów, Mocarnych, Matejów dookoła jednego szczytu dachu znać nie było.

Wyginieni — pomyślał Janosik z okropnem uczuciem.

Ale tu i owdzie dojrzało jego oko nad śniegami, lub lasem dym błękitny — tu i owdzie więc byli żywi pod zawałą.

I długie znów tygodnie biegły tego jedno-

stajnego, śmiertelnego mrozu. Niebo iskrzyło się w dzień słońcem rażącym, w nocy gwiazdami, których moc ogromna zdawała się przybyć na stropie, a które tak świeciły, jak płomienie. Ludzie poczęli na nartach i karplach suwać się po skorupie otchłannego śniegu, a wilki nad dachami się ukazywały i bywały wypadki, że zgłodniałe rzucały się z nad dachów na podwórza wewnętrzne obejść domowych bez pamięci. Tam walczyć z nimi musiano, bo ich wygnać nie było któredy. Straszno było pojrzeć w nocy, gdy nad głową dookoła widziało się iskrzące się ślepie pośród gwiazd złowrogich i słychać było nad głową warczenie, lub wycia zajadłe. Taka sucha, druzgocąca mrozem zima trwała aż do końca marca. Kto umarł, to wykopywano jamę w kupie śniegu na dziedzińcu i tam go grzebano.

Wszystko wydawało się zaumarte. Cisza była w powietrzu nieprzegarniona i ani jeden ptak nie przelatował przez czyste przestwory. Wyginęły od śniegów i zimna, lub uleciały niżej, gdzie może nie tak twardo było. Raz jeden spostrzegł Janosik o fioletowym zmroku puhacza, wysoko, lecącego gdzieś ku Południowi, za Tatry.

Wtem przyszedł halny wiatr, tak ciepły, że cieplejszy w czerwcu niebywał i dał półtora dnia, a potem lić gwałtowna, ulewa przerażająca. Jak w styczniu wiało śniegiem, tak teraz deszcz ustać nie chciał. Wzięły śniegi topnieć po do-

linach. Ciepłe wiatry dęły i nawoziły chmur od Wschodu. Rozpływały się śniegi, topniały w oczach, nikły. Deszcze przeświecały piorunująca słońca, o gwałtowności i sile orkanu promieni. Zwały śniegowe zsuwały się podmokłe wdół z grzmotem i hukami dech zapierającemi. Wydobyły się nawierzch odmarzłe wody. Uczyniła się powódź, choć na Tatrach leżał jeszcze śnieg, który do lipca w nadmiernej nasypany grubości trwać wróżył.

Jakże straszne były widoki...

W niektórych chałupach znaleziono ludzi z głodu pomarłych, całe rodziny, indziej uduszonych pod zawałą śniegową. Toż zwierzęta domowe, konie, krowy, owce, psy, świny zdechłe i uduszone. Znajdowano ślady przerażających walk z wilkami, gdzie czasem wilki zażarły całe rody góralskie, lub też we wspólnej z napadniętymi pozostały mogile śródśnieżnej. Znajdowano domy zgniecione nawałą śniegu, zmiążdżone chałupy, stodoły, stajnie, a pod tem trupy i ścierwa Bóg wie odkąd, od miesięcy całych leżące. Tak zginęła cała rodzina Jana Fakli w Polanach, tak dwie familje Zychów w Witowie, Sieczka Stanisław z rodem swoim w Zakopanem i wielu, wielu innych. Na setki zmiążdżonych śniegiem liczyć było można.

Wilki bandami teraz grasować zaczęły, zeszyły z gór i niedźwiedzie, obudzone już, a nic

sobie w lasach znaleźć nie mogące. W biały dzień rzucał się zwierz leśny na ludzi i napadał wprost domy. Niedźwiedzie po trzy, cztery, pięć i więcej w stadzie rozwalaly stajnie, atakowały chałupy, lub na dachy po węglach uciekały przed goniącemi je hordami wilków.

I walki krew mrozące widywali ludzie dzikich bestyj, które się zażerały między sobą u progów i u ścian ludzkich.

Śniegi stopione gwałtownie wzdęły rzeki, powódź spłynęła na Podhale. Piekło się wściekło — mówił lud.

Teraz wybuchł głód w całej pełni potwornej, choroby niesłyszane, nędza przerażająca i śmiertelna.

U Walosów w Brzegach rodzice dzieci zabili i zjedli, w Szaflarach Król żonę własną z grobu wykopał na cmentarzu, zabrał do domu, gotował i jadł, aż w boleściach umarł.

Mnóstwo szalonych poczęło się snuć po dolinach. Przychodziły dzikie poczwary od Gorców i z Zagórza, kretyny wolowate, a ze wsi podhalańskich rozbiegali się w świat obłąkańcy, z pianą na wargach i gryźli się po polach z psami wściekłemi, lub ginęli szarpani przez wilki na sztuki.

Całe pasma wściekłych wilków włóczyły się, siejąc postrach, grozę, przerażenie nie do wypowiedzenia. Powietrze zaś nappełniło się chmu-

rami kruków, wron, jastrzębi, sępów i orłów, spadających stadami na ścierwa i zwłoki gnijące.

Świat fce zaginionć — mówili chłopi. Klęska była niesłychana i niepamiętna. Wyległy też z gór potwory, wilkołaki, strzygi, martwce, latawce, dziwożony, topielce. Widywali je ludzie rozognionemi od głodu i przerażenia oczyma. Okropne upiory jeździły na niedźwiedzicach i uganiały na wilkach z chychotem i piekielnym śmiechem. Wśród stad ptaków drapieżnych zlatywały gryfy i biły się z orłami i sępami. Wrzask, skwir nieraz słyszeli ludzie w powietrzu nieznanym i ptaki spadały pokrwawione, z poprzebijaniami kośćmi barkowemi na ziemię.

Widziano karły w siwych czapach baranich i portkach miejskich szerokich od kierpcy obutych i rzemieniami po wierzchu okręconych, jak siały pod lasami i w lasach grzyby trujące. Salkę od Słodyczków ze Zębu Mnich porwał, gdy po wodę wieczorem poszła i przepadła bez śladu choć blisko domu było. Wrzasnąć tylko zdołała.

Rozhukali się wśród tej zagrozy ludzie. Kto co miał w sobie, to się wydobywało z niego rozpasane. Bracia gwałcili siostry, teściowe synowe, cudze żony na nagiem polu oddawały się kochankom, dziewczki dwunastoletnie nierząd czyniły. Koniec świata przepowiadali starce i wróżowie i przyjsie Jancykrysta.

Mord jął się szerzyć. Zabijano się o kawałek

placka owsianego, o kwartę mąki. Lada kłótnia, lada spór krew wytaczały, a dawne zemsty wiały jak wichur. Ludzie się mścili na sobie, jakby lękając się, że umrą i nie zdążą.

Głupota, lekkomyślność rozpacz zresztą powodowały sprawy szalone. Jarząbek ze Zywcańskiego za obiad Hałę Jarząbczą nad Chochołowską Doliną sprzedał, Kojs wójt sołtysi z Chochołowa rolę pod trzydzieści korcy darował dziadowi Bartkowi z Łopusznych, bo „coz mu po niej“. A jego synowie jeszcze mu, temu dziadowi, siostrę swoją, cudowną Kasię sołtysiankę przez jakieś obłąkanie ducha w małżeństwo dać chcieli.

Ginęło Podhale.

Na to ginięcie zaś patrzyły spokojnie Tatry. A na Tatry patrzył Janosik Nędza Litmanowski.

W niemej głuchej zapamiętałości siedzieli wieczorem przed chałupą pod jaworem oboje rodzice Janosika i ponurzy Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie.

Im jeść niechybiało, bo na Węgry po zbóju chodzili, ale trapiło ich powszechne utrapienie góralskie. Siedzieli na ławie koło jaworów, popodpierali brody na rękach i kolanach i myśleli.

Pod domem zaś na ławie, wyciągnawszy bosc nogi przed siebie, choć dopiero kwiecień był, i założywszy ręce za przypory u portek, siedział

Janosik, obok Sablik stary na ławie siedząc pogwizdywał.

Obaj patrzyli przed siebie w górę na Tatry, gdzie słońce zachodziło, czerwono-fioletowe i chmurne.

Gdy oczy ich tam w przestrzeni, nad wierchami zeszły się i dusze zrozumiały — wydobył stary Sablik z rękawa od czuchy gęśliki i grać począł.

Grał stare odwieczne nuty, jakie strzelcy i zbójnicy niegdyś tam, w praczasie grywali.

A gdy jedna i druga godzina minęła i na niebie już wśród chmur gwiazdy świecić zaczęły, ozwał się Janosik do towarzyszy:

— Hłopy, pudziemé na wojne...



Już się ku wiosnie brało, śnieg w dolinach tatrzańskich ginał, w cieniu trwał jeszcze, a w słońcu w błoto się przeistoczył. Dziką i pustą doliną szedł stary Sablik z rusznicą przez prawe, łukiem przez lewe ramię, z ciupagą w ręku i nożem za pasem.

Czekał on od jesieni zimę całą na ten czas. Ani go straszliwa nędza Podhala, ani bieda we własnym domu od myśli nie odwodziły. Sablik pasem brzuch głodny ściągnął, na gęślikach brzęczał, gdzie się dało gorzałkę pił, śpiewał, gwizdał i wiosny czekał. A gdy się już ile tyle ociepliło, nie powiedziawszy nawet żonie: ostań s Pane Boge! — znikł samotnie.

Rozkosz niewypowiedzianą, radość niewypowiedzianą odczuł, gdy znowu rzemienie od kierpców potężnie przykręcał, nie na chód dzienny, ale na długie dni wędrówki; gdy znowu ciupagę w garści poczuł, która twardą stałą do twardej jego dłoni na długie dni przyrosnąć miała, gdy obuwał się w portki nato, aby może tygodnie całe ich nie ściągać; gdy to co miał na sobie i przy

sobie, na długi czas nieoddzielnie z nim być miało, być jego wszystkim i wystarczającym. Jego nóż doświadczony, jego dobrze obejrzone krzesiwo, które znajdowały się z nim tylekroć w pustkach górskich i znowu tam znaleźć się z nim miały, dawały mu rozkosz, jaką czuć może orzeł na szpony swoje spojierający. Z radością stanął na zawiązanych kierpcach nie poto, aby do karczmy, albo do sąsiadów zabiec, ale aby śliznąć się na nich, gdzie ludzkie oko często nie sięgło nigdy przedtem. Stanął na tęgich podszwach z twardej skóry, wesoły.

Znowu czekały go noce pod niebem gołym, watry ze wieżego rąbania, smolne, pełne dymu i trzasku wilgotnych gałęzi, owo samotne żywianie się strawą skąpą, lub obfite obłowy polowania, wody pite ustami z rwących potoków, lub ze strug, sączących się między głazami. Sablik cieszył się na ową smolną polepę, którą poróść mu miała twarz, szyja, kark, ręce, że stać się miał nieledwie częścią lasu, czemś dzikiem, odyńcom, jeleniom i smrekom pokrewnem i podobnem. Znowu oczy jego, ręce i nogi miały mu być wszystkim. Sablik miał znowu, jak od lat kilkudziesięciu, być sam z sobą, zupełnie i wyłącznie, i radował się na to, jak się cieszyć może orzeł o łowach swoich myślący.

Pogwizdując i pośpiewując oglądał swój sprzęt podróżno-strzelecki, badał go i próbował. Szedł

wyzywać pustacie, drogi błędne i straszne, lasy i gory, zwierza groźnego i ludzi wrogich, strzelców przeciwników z za Tatr niemniej niż sam groźnych; szedł żyć całą pełnią swej śmigłej, drapieżnej i rycerskiej duszy, zagrażyć się w Tatrach, które go wychowały.

Szedł na wichry, deszcze, śniegowe fujawice, spiekoty, mroki mgielne i nocne, na znój, pot, na trud swoich kolan, na ślizgie śpiczaste kamienie, zdradne upłazy trawne; ostre sęki drzew, spadziste utrudzające ubocze i turnie ziejące przepaściami. I śmiał się sam do siebie. Albowiem w tem wyrósł, to umiłował i nie rozumiał życia bez tego. Stary Sablik kochał zdyszenie się swych piersi, spojrzenie szukające oparcia dla stopy, kochał rozciągnięcie się swego ciała na palcach rąk trzymających się odłamków skały, i palcach stóp, opartych w szczelinie nad otchłanią; kochał szum piargów uwożących się mu z pod kierpców, kochał wysilony zarzut ciupagi na konar w nie chcącym puścić w górę gąszczu, krępującym głowę, ramiona, piersi; kochał wrąb jej w strom wyniosły, aby spocząć obok w kraju rysia i żbika, żmii i kuny leśnej. Droga mu była ojczyzna jego duszy myśliwskiej i wędrowniej, duszy skrzydlatej.

Szedł, aby mu wiatr w oczy i szyję gołą bił, na rozkosz nozdrzy i płuc do zimnego prądu powietrza nawykłych, szedł na radość rąk, gdy

w rękawy od koszuli wiatr się wmyka, na pełnię życia skóry, gdy w twarz rześny, bystry deszcz siecze i jedna jej cząstka niezmyta, nieprzenikniona wodą nie pozostanie. Szedł odwiedzać to, co znał, kąty lasów przypadłe, moczary skryte w gąszczu, spady wód szumiące i koleby myśliwskie, leże ciche i tajemne, gdzie długo po odejściu strzelców ostrożna liszka, albo kuna skalna, wietrząc i spozierając dookoła, resztek słońiny szuka.

W Dolinie Piardzystej, przy tym niżnim stawie, jest hań kolibecka wyrubana w skale...

Szedł znaleźć to, co zawsze było niespodziane, gdzieś rogi z kozicy przez rysia pożartej, lub lawiną strąconej, gdzieś ślady walki zimowej wilków z dzikami, lub pojedynku niedźwiedzia z odyńcem, po którym często dwa szkielety obgryzione przez drapieżników pozostawały; często z pod śniegów wytajał trup człowieka, strzelca, zabitego przez współzawodników, zaskoczonego kurniawą i zawalonego śniegami, czasem skarbów poszukiwacza, co z turni odpadł, z którym się turnia usunęła, że zginął, lub zabitego tajemną ręką złodzieja, albo ducha, co skarbów strzegł.

Całą historję strasznej, ponurej, niewładanej i nieowładniętej zimy tatrzańskiej czytał Sablik na wiosnę, gdy śniegi stopniały. Gdzie lody skałę

rozsadziły, gdzie śnieg las połamał, gdzie wichry w nim spustoszenie porobiły. Szlakował niedźwiedzia, gdzie spał, jelenia, gdzie ku źródłu chodził, rysia, kędy kwiaty do róż podobne rozwitych łap swoich odciskał.

Cieszył się na świst strzały swojej, na huk swej rusznicy, z której gładkiej lufy kula wartko i śmigle a celnie leciała. Cieszył się na mierność swej ręki, na przykład twarzy do kolby, oka zmrózenie. Cieszył się na stuk swego toporka w ciszy gór i lasów...

Hej! Ciupaga! Z wyostrzonej stali!...

Sablik czuł się cały w sobie, cały przez siebie, skończoną czuł się istnością, tak wcięty w Tatry, jak bywa wbity słup w dno rzeki, nad którem jedna powierzchnia przepływa.

Tak nikał z wiosną od pół wieku, a gdy po tygodniu, dwóch, trzech, czasem po miesiącach całych do domu wrócił, znowu z Janosikiem Nędzą na wyprawy, lub na przespiegi szedł.

Jak gazdowstwo się wiedło, jak sobie żona, niegdyś piękna Tereska od Walczaków ze Skibówki, dawała rady, on o to nie dbał. To nie było jego życie.

Rusznicę Sablik wziął, ale prochu tylko na kilka nabić w rogu, bo go koło domu wypsuł, łuk niechybny starodawny przez schylone wiekiem barki przewiesił i ruszył w góry, orzeł stary na łowy.

Szedł ku dzikiej, pustej dolinie Kościelisk. Ledwo minął las, co ją zasłaniał i drogę nad Dunajcem, kędy owce na hale, na Smytnią, w Ornak, w Tomanową, do Smreczyn, na Pyszną szły, kędy z hal siano i nawóz zwożono, a za królów Zygmunatów górniczy do kopalni srebra i żelaza trakt był, pośród odcisniętych na śniegu tropów sarn, jeleni, lisów, kun, wiewiórek, wyder i wilków ujrzał ślad przechodniego dzika, który snać złamaną od kuli lewą nogę zadnią powłóczył i ślady czterech niedźwiedzi, dwa wielkie, zwłaszcza jeden ogromny, i dwa mniejsze, z tych jeden większy.

Popatrzył i ozwał się sam do siebie:

— Dwa stare, niedźwiedzica z młodym i piastun.

Przypatrzył się baczniej odciskom największych łap na wilgotnym śniegu.

— On!

Poznał go Sablik. Ta sama pięta, te same palce, te same pazdury. Przyłożył do śniegu ciupagę, gdzie miał naznaczony znak długości i szerokości tych łap zdłużyć i syrzc. On był.

He, Boze, dajze sie ś nim zejść!

Siem djasków zjadło aj zjadło, zėj dy sie mi widzi, ze jesce uróst. Hoć temu bedzie moze telo, jako mnie...

Sablik nie pamiętał już dokładnie, odkąd za

nim chodził; zdawało mu się, że od samej wczesnej młodości, odkąd polować zaczął.

Sablik go widział i uznał, że nie było godniejszego w Tatrach niedźwiedzia, ani nie będzie, chyba za trzysta lat.

Jak się Janosik Nędzów trafił jeden na całe Tatry i od czasu Toporów Łamiskały i Walilasa z Hrubego chłopą takiego pod Tatrami nie było, tak się i teraz niedźwiedź trafił i drugiego takiego niemasz. Na chłopą i na niedźwiedzia trza czekać. Gawiedzi zawsze jest dość, ale chłop coby był, jak się patrzy, a i niedźwiedź, czas minie! O bo minie!

Widział go Sablik kilka razy i strzelał doń. Ale czy chybiał zawsze, czy tylko po kudłach kulą osmędził, nie mógł poznać, bo nigdy kropli farby na śniegu, ani na rosie, czy mchu znać nie było.

Sablik w bądź co nie wierzył, ale już czasem przypuszczał, że niedźwiedź przysady, sposoby miał, jak czarnoksiężnik.

Znali go i inni strzelcy, Jędrzej Wala, Sieczka Maciek, Sobczak Staszek i jego ojciec Sobanek, Samek Wojtek, Symcio Tatar, Jarząbek Jasiek ze Zywcańskiego, znali go Tyrałowie, Marduła Józek z Polan, Wojtek Bukowski z Pająkówki, strzelcy najślawniejsi, ale nie radzi nawet mówili o nim. Bo to potwora była tak straszna, że im serce w piersiach miękło i nieraz go koło siebie puścili, nie strzelając, a z widłami myśliwskimi

i toporem, czy maczugą żadenby się przed nim stanąć nie ważył. Woły on najpotężniejsze ciosem łapy zabijał, a tak zuchwały i odważny był, że gdy go w Zuberskiej Dolinie za Rohaczami woły gonić zaczęły i na sporą skałę nagnały, stamtąd ze skały na nie skoczył i po grzbietach im, jak po moście wichrem przeleciał, straszliwe tylko krwawe bruzdy na mięsie zostawiwszy. W ten sposób do lasu uciekł i tej jeszcze nocy dwa woły z tego stada ubił.

Czyniono na niego sieci, stawiano oklepce żelazne, kopano doły — obchodził.

Sabluka myśliwska dusza płonęła do tego niedźwiedzia. Abo ja twój, abo ty mój — myślał. A choć towarzystwo myśliwskie lubił, z tym niedźwiedziem samotnie się tylko spotkać pragnął, aby z nim nikt rozkoszy walki i chwały zwycięstwa nie dzielił, a jeśli ulegnie — dziś, czy jutro: to jedność.

A nie wątpił, że przyjdzie taki dzień i taka godzina, kiedy się oko w oko zewrą — na śmierć i życie.

Stary Sablik nie bał się potwora, bo wogóle nie bał się śmierci. Urodzisz się bez twojej woli, żyjesz i umrzeć musisz. A co potem, o to się nie kłopotcz, bo to darmo, nie dowiesz się, a potem będziesz wiedział. Nie było o czem myśleć. Zwierz zdechnie, drzewo zgnije, człowiek umrze. Tak musi być.



Dziką pustą doliną Kościelisk nad wodą, aż ku źródłu, gdzie się woda w dwie strony dzieli, Sablik, tropem niedźwiedzim postępował, a trop to był z nocy. Ale nieopodal za źródłem tropy się dzieliły: niedźwiedzica z młodemi poszła w górę na prawo, w ubocz, on poszedł samotnie dalej doliną. I Sablik poszedł za nim.

Dzień był cichy i mgła góry przysiadła, lecz tak cieńka, że słońce świeciło przez nią przyćmione i ponad niemi wysoko widać było koło światła w szezodze, w oćmie i zatajeniu, jakby w usidleniu zmroku.

Niedźwiedź skręcił na Smytnią, na lewo przeszedł tuż koło pustych jeszcze szop juhaskich, wstąpił na ubocze lesiste i drąc się między wykroty, przełaząc przez skały sterczące ze śniegów i w śniegi zapadając, przebrał się ku wieczorowi już do Doliny Kamiennej pod Czerwone Wierchy. Sablik zmiarkował, że człowieka zaczął i ucieka przed nim.

Uradował się jego duch i miał to sobie za dobrą przepowiedź.

W Kamiennej Dolinie trzeba było nocować.

Sablik wynalazł kamień wielki z małym wydrążeniem na wierzchu, ułożył chróstu i drzewa kosodrzewinowego na ognisko, skrzesał ogień i w płonąca wiatrę włożył skałkę, do dołka zaś w głazie nalał wody i nasypał mąki, której odrobinę z domu wziął do woreczka, a gdy się skałka

rozpaliła, wsunął ją we wodę. I była kluska, którą gorzałką popił.

O sól nie pytał.

Potem watrę nabił tęgą, kosodrzewiny naciął na zapas na noc i legł przy ogniu na mchu.

Nad nim zapaliła się noc tysiącem gwiazd i sierpem miesiąca, co z za turni się dobył. Wokoło zaś były olbrzymie kamienne ściany, korytarze i zakręty, nad którymi się piętrzyły pod niebo mury, podobne do twierdz i baszt wapiennych turni. Myśl Sablikowa mimowiednie błąkała się po tych korytarzach, przepaściach, grotach odsłoniętych i pieczarach bez sklepienia niezmiernej wielkości, gdzie mogły spoczywać od prawieków żyły złota i srebra, lub skarby, zakopane przez zbójników. A gdy go wśród cichego szumu nocy górskiej i grzmiącego od czasu do czasu huku urwanych głazów i spadających lawin śnieżnych kędyś we wysokościach naszedł sen: śniło mu się, iż ze skrzydłami u ramion wędruje po Kamiennej Dolinie i ciupagą skały rąbiąc złoto z nich wyrąbuje i pod nogi sobie zgarnia.

Gdy się obudził, jeszcze ciemno było, lecz po zimnie poznał, iż ku dniowi się zmienia. Dorzucił patyków i gałęzi kosodrzewinowych na watrę i ręce zabijać zaczął, by się ogrzać.

A już olbrzymie ciemno-modro-fioletowe cienie zaczęły się ślać po skałach i mrok nocny

tajać zaczął, tak, iż gwiazdy zwolna w oczach gasły, a niebo szarzało.

Napił się Sablik gorzałki i świsnął lekko przez zęby.

Warzyć jeść czasu nie było, co zostało z wczorajszej kluski na zimno zjadł, proch pod krzemień podsypał i z pierwszym brzaskiem ruszył z legowiska.

Wiedział on, że niedźwiedź w dolinie nie nocował, ale śnieg nie prószył i oślady nie zakurzył, łatwo ją znalazł.

Het popod turnie Małołączniaka drzeć się Sablik nad przepaściami wisząc po śniegach musiał, ale sobie powtarzał: kiedy nie urwał się on, nie urwiem się i ja, dy ja ciężejsy, a kie się jemu w głowie nie zawracało, to się i mnie nie musi — i koło południa za niedźwiedziem, który znowu na południe ku Węgrom wykrecił, między Małołączniakiem a Kopą Kondracką przez Jaworową Dolinę do Wierchcichej zszedł.

Tu otoczył go tak ogromny las, że niebo ponad nim zniknęło.

Ale dzień był słoneczny, gorący prawie i wiatr ciepły od Liptowa wiał, tak, iż las pachnąć już zaczął, a i śniegu mało w nim było. Rozszerzały się Sablikowe płuca radośnie, że znowu po długich miesiącach na węgierskiej stronie Tatr się znalazł, na tej stronie pięknej i do miodu podobnej.

Głód był, dało się jednak strzałą śmigłą jarząbka ze smreka strącić, Sablik obdarł pierze i surowo piersi zjadł i barki i udka obgryzł — nie było czasu piec. Albowiem niedźwiedź w las się wszął i Sablik czuł, że nie jest daleko i że poza dolinę nie wyszedł.

Rysim więc chodem za ośladą popod konary często na brzuchu się sunąc nagle zatrzymał się. O jakie pięćdziesiąt kroków w kotlinie niedźwiedź na zadnich łapach wspięty stał i jarzębinę zeszłoroczną zmarzniętą łapami do kupy z gałęzi zgarniał.

Sablik patrzył chwilę z gęstwiny.

Potwornego ogromu, czarny, wyciągnięty prosto zwierz wydawał się jak drzewo. Zasłonił sobą kęs przestrzeni, bo kotlinka była nie zabita smrekami, lecz wolna nieco od lasu. Tram tylko ją przewalił napoprzek spróchniały.

Niedźwiedź nie czuł człowieka; stał poniżej Sablika i wiatr od niego ku Sablikowi zaciągał.

Sablik odwiódł pocichu kurek, proch świeży podsypał na panewkę i kolbę do twarzy przycisnął, pod łopatkę na komorę wymierzywszy.

Ale nie strzelał. Wiedział on, że drugi raz w życiu tej rozkoszy mieć już nie będzie, jak nie miał jej nigdy dotąd, pół wieku życia przepolowawszy. Rozśpiewała się w nim dusza hymnem mordy, zwycięstwa, triumfu, potęgi. Z lufą wymierzoną przed siebie pod nawałą konarów do

ziemi obrosłego smreka leżąc, przez muszkę na lufie patrzył i był jakoby pijany widokiem niedźwiedzia i świadomością prochu, pakułów i kuli w rusznicy.

Starość od niego odeszła.

Wtem niedźwiedź zwrócił ku niemu głowę. Małe jego skośne ślepia zamigotały, przestał jarzębinę zgarniać i łapy zatrzymał w ruchu na gałęziach — w tej chwili Sablik za cyngiel pociągnął.

Niedźwiedź wzdrygnął się, beknął i na przednie łapy spadł.

— Dostał, bo zbecał — przemknęło przez głowę Sablika.

W tym momencie zasłonił mu się przed oczyma świat — olbrzymia czarna masa waliła się ku niemu, łamiąc konary. Ale Sablik z lekkością ptaka z pod gęstwy się wysunął i gałęzi sąsiedniego smreka dłońmi się uchwyciwszy, w susie między nie się dźwignął i wspinać zaczął. Z rykiem niedźwiedź dęba stanął, lecz go już nie pochwycił. Rzucił się więc na pień i sapiąc włączyć zaczął.

Sablik wspinał się coraz wyżej, myśląc: kim sie ty ta wygramodlas, to ja jus bede na wiérhu...

A duszę jego przenikała radość walki.

Gdy niedźwiedź w połowie drzewa był, trzasnął pod nim konar i zwierz runął na trawę.

Jak wściekły obiegał drzewo, wspinał się na

zadnie łapy, ryczał i pianę z krwią z pyska toczył. Sablik miarkował, że go niedobrze, choć ciężko trafił. Mógł długo żyć.

Rusznicę Sablik zostawił w gąszczu, ciupagę pod drzewem. Ale zdjął łuk z ramienia, strzałę z pod boku ze skórzanej pochwy wyciągnął i wymierzywszy w kark niedźwiedzia ugodził.

Raz po raz z piętnastu strzał, które wziął z domu, trzynaście w cielsku niedźwiedzia utopił, dwie sobie zostawiając, aż wreszcie zwierz, czy raną zmożony, czy pragnieniem spieczony, czy od bólu od strzał z pod drzewa odstąpił i w las zapadł.

Sablik natychmiast zsuwać się ze smreka zaczął.

— Pockaj weredo — mrucał — wlazbyś mi ka, zdechnon byś i zgnił... Nie nato my sie pół wieku sukali... Ckaj!

Chwycił naprzód ciupagę, poczekał chwilę, poczem rzucił się ku rusznicy i nabijać ją począł.

— Na niedźwiedzia kula gaździna — mrucał przybijając ją lekko stemplem. — Na niedźwiedzia niémas nad kule...

I odnalazłszy farbę, jął kroczyć za nią.

Szedł ostrożnie, raczej skradał się, czujny na każdy szmer, na każde drgnienie gałązek, pomiędzy którymi się przeciskał, z oczyma w ziemię wbitemi, by farby nie stracić. Śmierć była koło

niego, bo niedźwiedź mógł w każdym miejscu zapaść w gęstwie, z każdego miejsca dźwignąć się z rykiem na zadnie łapy i zwalić się nań, jak piorun. Więc stawał, nasłuchiwał, wietrzył ostremi wiatr chwytającymi nozdrzami. Kilkakroć kolbę już ku piersiom schylił, niosąc strzelbę przed sobą oburącz, lufą do góry kurkiem blisko pachy. Wtem zobaczył niedźwiedzia.

Przy wodzie, poniżej w jarze stał i ranę brocząca ziemią z mchem darta zaciskał. Lecz gdy Sablika ujrzał, ryknął straszliwie i przed siebie się rzucił. Odskoczył Sablik wtył. Nie strzelał zgóry, bo w pędzie bał się nie trafić w krzyż, albo w mały u niedźwiedzi mózg, po którego czerepie kula ześlizgnąć się mogła.

Stanął i czekał, aż niedźwiedź wzniesie się przed nim na zadnie łapy.

— Teraz abo ty mój, abo ja twój — myślał, przyłożywszy strzelbę ku żuchwom.

Jak kiedy płomień podczas pożaru dach przeżre i z kłębem czarnego dymu z wichrem ponadem wybuchnie, tak z czerwonym błyskającym biało-krwawymi kłami pyskiem, z jęzorem krwa-wo-spienionym i ślepiami lśniącymi wypadł ów czarny niedźwiedź na brzeg, rwąc z pod łap kamienie i widząc strzelca przed sobą, na tylne nogi się wspiał; a w tej chwili z rury Sablikowej rusznicy prysnął ogień i dym i w grzmocie strzału

bestja zwała się na pierś i jęzor wysunawszy, rozszerzyła łapy bezwładnie.

Krew buchnęła z paszczyki, posoka spie-  
kła — — konać począł.

Naówczas Sablik, o kilkanaście kroków sto-  
jąc, oparł rusznicę o smreka, ciupagę na konarze  
zawiesił, wyjął z rękawa czuchy gęśle, kołki za-  
wilgłe popłuł i zębami przykręcił, smykiem i pal-  
cem popróbował i o bok lewy niżej ramienia  
oparłszy, grać niedźwiedziowi począł.

Napełnił się cichy, nieprzejrzany, samotny las  
chrapaniem konającego zwierza i Sablikowem  
graniem. Dzikie, rwane, zgrzypiące, ostre tony  
drgały i plątały się z sobą ponad głową zwalczo-  
nego potwora. Huczała w wąwozie rzeka po gła-  
zach, jakoby tło do tej muzyki poddająca.

Zwierz chrapał i charczał okropnie, krew  
z pyska wylewając, Sablik zaś grał. Oczy jego  
utopiły się w kudłatym łbie zwierza, jako mgli-  
ste gwiazdy w jesień toną w czarnym stawie  
tatrzańskim.

Idzie se Sablicek, drózeckom sie wiedzie,  
budzie sie prugował z luptoskim niedźwiedzie,  
z luptoskim niedźwiedziem, z śpiskom niedźwiedzicom,  
w lesie pod Furkotem, popod Krzesanicom.  
Niedźwiedzica śpiska swe młode ucyla:  
waruj sie Sablika, on gorsy jak stryla!  
Co ja sie nahodziel, potokow nabrodziel,  
za kielak niedźwiedzia na serce ugodziel.



Co ja sie nahodziel i tom i tom stronom,  
zakiel my sie zešli w ciasném miejscu oba.  
Hucala dolina, dygotał wirsycek,  
kie poseł za pasy z niedźwiedziem Sablicek.  
Słońce sie pytało, w doline patrzyło,  
cy sie hań za pasy biere skała z skałom?  
Hmury sie pytały, niebe uciekały,  
bo sie im widziało: świat sie wali cały!  
Pan Jezus sie patrzy — pre Boha żyweho!  
Sablik to poluje, chroniem go od zlegol...

Lekcej się niedźwiedziowi konało.

Zapamiętał się Sablik w swej grze. Jakoby duchy wszystkich pomordowanych przez siebie niedźwiedzi zwoływał na pogrzeb króla Tatr, z nowotarskich Gorców, od Babiej Góry, z śpińskiej Kralowej Hali i przepastnego liptowskiego Dziumbiru o leśnych szczytach, gdzie polował. Z pod Rohaczów i Wołowca, z Jarzabczej, z Pysznej, z Tomanowy Polskiej, ze Strążysk i dalej z lasów Roztoki, z Pięciu Stawów, z Koprowej, z Ciemnych Śmreczyn, z Pod Wysokiej, zewsząd z Tatr wołał duchy pobitych przez się potworów. I otoczyły kołem swego brata, straszne, groźne, posępne.

Przybywały jeden po drugim, bo Sablik wierzył, że duchy ich tam pozostają i krążą po pustkach, kędy śmierć im zadano. Przybywały i wieńcem otaczały ostatniego, który do nich przybywał. Piąty, dziesiąty, piętnasty i dwu-

dziesty, dwadzieścia jeden widm z czerwonymi ranami w piersiach, na łbach, na grzbietach i w brzuchach poczwarnych.

Witajom go — myślał Sablik.

I zegna go las...

Wtem niedźwiedziowi pysk posunął się po ziemi.

Naówczas Sablik wyprostował się, schował gęśle do rękawa, poczekał chwilę, a potem duży kamień podjawszy, w łeb nim niedźwiedziowi gruchnął.

Zwierz nie drgnął.

Więc ciupagę z gałęzi Sablik zdjął i młodego smreczka ściąwszy i okrzesawszy, śmiało przystąpił i z niesłychanym trudem tyle olbrzyma podważył, aby mu nożem brzuch spruć i parę z cielska wypuścić. Poczem szybko watrę złożył, ognia skrzesał i wyciąwszy z boku sztukę, na patyk ją nadział i piec nad ogniem począł, podstawiając kapelusz, by doń sadło kapało. A gdy się naskwarzyło pełno, sadło wypił i jeść nożem przy ustach urzynając mięso począł.

Poczem tęgi płat mięsa skórę obdzierając, nożem i palcami i zębami ją przytrzymując, iż koszulę i pas krwią ubroczył, z pod grzbietu wyciął i do torby wrzucił, olbrzymie zaś niedźwiedzie ścierwo łamanym i ciętym chróstem, gałęziami, mchem przykrył, aby go ni strzelcy, ni żaden zwierz dziki nie znalazł. Urosła nad zwierzem

mogła. Do wsi się Sablik z powrotem zabrał, by z Tyrałami i Bukowskim powrócić i poćwiartowane mięso, oraz skórę zabrać.

Aby jednak ślady zmylić i strzelcom innym drogi do niedźwiedzia nie wskazać, głazami potoku z pod śniegów i z lodów skalnych płynącego iść począł, kierując się ku przełęczy Goryczkowej, co Polskę od Węgier dzieliła doliną Cichą od Hali Kondratowej i Kalatowej, w przełęcz wyniosłą między trawiastymi kopicami i szczytami położoną, kędy świstki kopały gniazda i gdzie się lubił pasać jelen z lasów węgierskich, lub z pustek z pod Giewontu i Kopy Magóry wyszły.

Długi czas potokiem, z głazu na głaz skacząc, z kawałem niedźwiedziny we worku szedł, aż się w las wkroczyć zdecydował.

Wola péc w gęstwie go wiodła, gdy głos ludzki usłyszał. Zatrzymał się, strzałę i łuk w ręce ujął i w gęstwinę się wkulił.

Nie mylił go słuch wyćwiczony — ludzie mówili. Zbliźali się dróżką leśną, wskos z percią się schodzącą.

Sablik przyczał się. Już odróżniał głośną gwara — to byli strzelcy liptowscy.

Serce poczęło mu bić mocno, lecz powoli uspokoiło się. Oparł strzałę na cięciwie i czekał. Było ich tylko dwóch.

— Abo ja twój, abo ty mój...

Niedługo wyszli. Sablika w gąszczu nie zauważyli, minęli go i szli dalej. Rusznice mieli na plecach. Szli na kozice, jelenie, lub sarny.

Sablik mógł ich przepuścić i poczekawszy ruszyć w przeciwną drogę, by się nie spotkać. Ale wąska twarz jego ściągnęła się, bruzdy na niej wyźłobiły, usta skrzywiły się i zbiegły ku dołowi w kątach, straszliwa nienawiść, zawziętość a zarazem okrutność niewypowiedziana wymalowała się w mglistych starych oczach i uśmiech straszny na twarz wystąpił. Nie wiedzieli nic, szli spokojni, ufni, bezpieczni. Sablik śmiał się w duchu. Naciągnął łuk, zmierzył do oka i ze świstem wypuszczona strzała w tył głowy między kapełusz a kołnierz barankowy serdaka ugodziła strzelca idącego po lewej stronie.

Z jękiem zwałił się na twarz, rozkrzyżowując ramiona.

— Miałbyś mnie ty kie! — pomyślał Sablik.

Drugi strzelec zwrócił się, zerwawszy rusznicę przez głowę, ale w tej chwili drugą strzałę Sablik wpakował mu w gardziel.

Krew go oblała, zatoczył się, rusznica mu z ręki wypadła i runął plecami na drzewo, poza nim stojące.

Wtedy Sablik z gęstwy z ciupagą w rękę wyskoczył.

W mgnieniu oka przypadł ku wspartemu o drzewo Liptakowi, a temu strach śmiertelny

unieprzytomnił lice i szept śmiertelnego lęku wydarł mu się z ust:

— Sablik!...

Jedną chwilę patrzył nań Sablik, któremu siwe włosy zmierzwiły się od igieł smrekowych i polepiły od smoły — chciał widzieć trwogę nieprzyjaciela, błagalne o życie oczy, drżenie ciała wrogię przed wzniesioną ciupagą.

Napawał się. Pił rozpacz, strach, bezsilność nieprzyjaciela modremi, mglistemi oczyma, poczem śmignął siekierą i czoło Liptakowi rozłupał.

Ten z wrzaskiem się okropnym zwałił i otrzymał pięć uderzeń na ziemi.

Zabitego już Sablik rąbał.

On miał się mścić za to: on im w zwierzynych górach zwierzynę kradł, oniby go byli, w ręce dostawszy zabili.

Poskoczył potem ku towarzyszowi, który z mózgiem przebitym martwy leżał.

Wówczas Sablik obrabował strzelców liptowskich: zabrał im rogi z prochem, kule, noże i żywność, a strzelby pochował pod głązy, aby je później zabrać, bo ciężkoby było. Wydarł strzały swoje z ran strasznych, obtarł o trawę i w pochwę schował.

I poszedł dalej.

Ražno mu się szło, lekko, rzeźwo, odmłodził. Pojadł niedźwiedziny, popił niedźwiedziego sady, Liptaków pobił...

Wychynał już z lasu w ubocze, a wówczas obejrzał się za się.

Samotny był.

Gołe Wierchy były poza nim, Wielka Kopa, Tomanowa Polska, Węgierska, Czerwone Wierchy od południa wokoło, góry ogromne, pod nim las, a nad nim niebo.

Roztężyła mu się pierś, rozwarła szeroko.

Czuł się królewski, wielki, niepokonany.

Poznają go strzelcy, co towarzyszków swoich pomordowanych znajdują. Poznają go po okropnej celności strzał. I pójdzie znowu o nim wieść na Wyhodną, Kokawę, Prybiline, Mięguszowce, Hradek, Wielką — Sablik był, ludzi pobił, Sablik chodzi po górach!...

Roześmiał się.

Jak okiem sięgnąć, samotny był, pan Tatr, kozic, jeleni, niedźwiedzi, wróg strzelców liptowskich.

Nieprzemierzona pustynia powietrza w twarz starą, bruzdami pożłobioną, wiatrem mu uderzyła.

I zwrócił się ku przełęczy w ubocz, do góry, dobywszy gęśliki z rękawa czuchy i nucąc nad opartemi pod ramię:

Sablik se zaśpiewał,  
Krywań mu odpediał,  
bo o jego sprawie  
nik inny nie wiedział!...

Nieprzemierzona przestrzeń powietrza słuchała.

A oto opodal, nie wietrząc niczego złego, stado kozic się pasło. Stare pasły się po odtajanej od słońca ku południowi trawie na uboczy, od czasu do czasu pozierając na młodzież, która cuda broiła. Jedne w szalonym tempie ścigały się po upłazach, inne się bodły, na kolanka przyklękając i pod brzuch różkami celując, jak zwykły czynić capy, walczące w jesieni w czas rui, drugie zjeżdżały po twardych śniegach wdół, na zadach przysiadając i podbijając się nad urwiskami na cztery nogi, jak sprężyny stalowe odgięte. Niejedną śnieg skreślił i zwiózł na grzbiecie, przecie zawsze w porę się dźwignęła na cztery nogi wesola i swobodna.

Naliczył ich Sablik jedenaście starych i ośm młodych, godny kerdel, dziewiętnaścioro. Lecz gdy kombinował, czyby je podejść mógł, nagle zgóry, jakby z obłoków wypadły, orzeł na stadko uderzył. Nim zbiegły się, nim skupiły i rogi nadstawić zdołały, już na rocznego capiorka runął i szponami mu boki oblał.

Ale podnieść nie zdołał. Cap zaś rzucił się przerażony i gdy kozy zbiegały się w kupe, w przechodzącym wyobraźnię ludzką pędzie począł biec naoslep przed siebie gruntem kamiennym i widział Sablik, jak orzeł skrzydła rozpiął i unoszony gnał nad bezdenne przepaście. Szpo-

nów wyrwać w szalonym spadzie głęboko wbitych nie mógł, dzióbem kuć ofiary wśród rozpaczego pędu po łbie nie zdołał. Sus za susem leciał cap wdół, do skrzydlatego potwora podobny. Już uderzył tak strasznie skrzydłem orlem o turnię, mimo przebiegając, że złamać je musiał, bo skrzydło orłowi zwiśło. Lecz śnać w oczy krzywym dzióbem ptak uderzyć potrafił, bo oto bez kierunku, naólep capa Sablik gnającego zobaczył, w urwiska, gdzie nagle gruchnął z krzesanicy na upłaz i toczyć się poczęli wdół wśród olbrzymich wahadeł skrzydeł orlich i skreću ciał, aż znikli Sablikowi z przed wzroku.

— No niegze ta — pomyślał Sablik — przydziemé po niedźwiedzia jutro, to sie ig ta da nańść w dolinie, jak ig liski i rysie nie zezrejem zatela.

Spłoszony kerdel kozic pierzchał wichrem ku szczytom nad Kasprową Doliną.

---



Żył Marduła Franek w strapieniu srogim i opuszczeniu niehumanym w lochu u pana Rzeszowskiego, gdy zwłoki starca zabrano. Rezygnacja go ogarnęła i melancholja tak ciężka, iż całymi dniami i nocami, podobnie jak zmarły starzec, z głową na piersi zwisłą siedział bez myśli już prawie, bez czucia.

— Pomału to i ja gadać zabacem — myślał — i sto roków tak przeżyjem, bez té portki nieścénse...

Wtem pewnego dnia klucz w zardzewiałym zamku drzwi do lochu zazgrzytał i przy blasku latarni, którą niósł odźwierny, ukazał się postawny mężczyzna z ręką za pas wetkniętą, w czapie z zawiasami i szerokich hajdawerach i rzekł:

— Możesz iść.

Marduła nie zrozumiał.

— Wto? Kany? — zapytał.

— Ty; gdzie ci się podoba — odpowiedział mężczyzna.

— Wolnyk!? — wrzasnął Marduła.

— Wolnyś.

Marduła buchnął do nóg panu, ten zaś odsunął go mocną ręką i powiedział:

— Nie mnie dziękuj, jeno Bogu Najwyższemu i jaśnie wielmożnej panie Agnieszce Rzeszowskiej, kasztelance Wojnickiej, która za wojewodzica Sieniawskiego zamąż wychodząc, ojca w dniu zrękowin swych o wypuszczenie więźniów ubłagała.

— Je kaz tys ona? — wrzasnął Marduła. — Cobyk jom za nogi oblapiéł!

— Módl się za panną kasztelanką i o błogosławieństwo Boże dla jej potomstwa proś i ruszaj z Bogiem.

Marduła się zebrał i poszedł.

Zataczał się, jak pijany, gdy wyszedł na powietrze. W łachmanach go z zamku puszczone, a gdy się z za rzeki poza siebie obrócił i czarne małe okna u dołu murów ujrzał, o mało nie omłdął ze zgrozy.

W okropnem odzieniu, z włosami niżej bark, z brodą blisko pęka, szedł jak dziad, o kawałek chleba prosząc, aż mu się na prawdziwego dostatnio odzianego dziada w polu trafić udało. Tego obdarł do koszuli, samego zaś u suchej wierzby uwiązał, aby za nim z wrzaskiem nie leciał, i puścił się w dalszą podróż. Ale nie ku domowi naprzód skierować się postanowił.

Maszerował on ze sakwami dziadowskimi i kijem prosto pod Kalwarję Zebrzydowską,

gdzie go sołtys na kradzieży portek złapał i dragonom pana Rzeszowskiego oddał.

Po paru dniach wędrówki zaszedł na miejsce pod wieczór.

Zastał sołtysa, jak był, tylko podstarzałego nieco; prosił o nocleg, pozwolono mu go. W zmierzowaniu więzieniem wyglądał na starca, poznania się nie obawiał.

Po wieczerzy, którą mu dano, cuda jął opowiadać.

— He! — zaczął. — Kiebyście wy wiedzieli, poco ja haw prziseł!

— No poco, poco? — zapytał ciekawie sołtys.

— He, kie mi moze nie uwierzicie — ociągnął się Marduła.

— No ino gadajcie, gadajcie dziadku, bedziemy widzieć.

— Idem ja zdaleka, ze świentego miejsca, aze od Grobu Krystusowego.

— Joj!

— Miałek hań objawienie.

— W Imie Ojca i Séna!

— Ukazał sie mi świenty Tobijas i pedział mi tak: jest hań sołtys pod Kalwaryjom Zebrzydowskom, grzésznik straśny —

— E, coby ta!

— Djabli sie o niego jus pytajom —

— Rany Boskie!

— On ukrziwdził straśnie cłeka —

— No bez co? Jako? Kiedy?

— Hłopa pięknego, młodego, co portki u niego wyzycyć przysel, z parobkami dobił i żołmierzom pana Rzesowskiego dał.

— Wyzycyć? Prawda! Ukraść! I kie to ta było! Dawno! — odmarknął sołtys.

— E dy mnie Świenty tys wcora rano nie gadał — obruszył się Marduła. — Trzy roki ze Ziemie Świentej idem. Bez dwanaście mórz jek płynon i dwa sta rzek jak morze głębokik jek przesel; a jyno trzy mosty na nik béły.

— Jejejej!

— I pada mi ten świenty Zahareus...

— Dyjeście mówili Tobijas?

— Tobijas sie nazywał na ziemi, a w niebie to go zaś Zahareusem wołajom, bo ta i was po śmierzci niebedom wołali: Wojciehu! — jyno: podź haw, grześniku zatracony! — odpowiedział niestropiony Marduła.

Sołtys westchnął.

— Pada mi — mówił Marduła — icie dziadku ku temu sołtysowi pod Kalwaryjom i powieciez mu tak: hłop sie obiesił ze zalu i sytkie jego grzyhy na niego spadły z hłopa. A to bël złodziej, drapieźnik, łupierz, bitnik, zabójca i gwałciciel.

Sołtys głowę zwiesił.

— Za to sytko, co ten hłop porobiël, bedzie ten sołtys na tymtu świecie odpowiadał, niby

na ik. Djabli sie o niego pytajom, co sie biéda  
ognać, padał mi ten świenty.

— No to cóz radzić? Cóz radzić?

— Co radzić? Żle. A znacie wy tego sołtysa?

Popatrzył sołtys na żonę, żona na niego.  
Wtem Marduła oczy przysłonił i wrzasnął:

— Ze coz to!?

— Co? Gdzie? — spytał przerażony sołtys.

— E za wami! E hań! Cy cień stoi?

— E gdzie?

— E hań, za plecami! Rany Boskie! W imie  
Ojca i Syna i Ducha Świentego! Jamen! Jamen!  
Jamen!

I Marduła począł czynić krzyże w stronę soł-  
tysa.

— Cóz tam!? — krzyknęła wystraszona soł-  
tyska.

— Djaboł hań stał! Lewdy jek go odegnał!

Sołtys skulił się i pot mu urosił czoło, a Mar-  
duła żegnał i powtarzał: Jamen! Jamen! Jamen!

— Niéma go jus? — szepnął sołtys.

— Niéma. Uciók przed krzize, a pote ja tu  
mam wode, co jom Panjezus w Kanie Galilej-  
skiej nie dopieł — i pokazał flaszkę z wódką,  
którą w sakwie dziadowskiej namacał.

Sołtys się skulił w dziesięcioro i w przeraże-  
niu drżącym głosem pytał:

— A nie pedział wam Świenty, jako sie sołtys  
ratować ma i cyby sie jako djabłu nie wykupił?

A Marduła z powagą na to:

— Pedział mi świenty Tobijas tak: niek sie soltys wybicować da, coby go bez tydzień baba miała po cym smarować, a pote pięńdziesiont dukatów na okfiare księdzu na msom do kościoła na Obidowom do Krziza niek zanie sie.

— Je skondze ja tys takie piéniądze we-znem? — jęknął soltys.

— Toście to wy som jest!? — krzyknął Marduła zdumiony, usuwając się w świątobliwym zgorzeniu na bok.

Soltys głowę zwiesił.

Wtem Marduła jak wrzaśnie, jak chluśnie wódką w okno:

— Djabo! zażrał!

— Do okna!?!...

Po niedługiej chwili legł soltys na ławę. A Marduła, że osłabiony się czuł, dał kostur swój soltysce, a co wycięła męża, wołał:

— Tężéj ze! Tężéj ze! Djabły wyskakujom jak śmieci ze zarna we młynku! O! O! Tu je! Tu dwa! Kielo to tego! Jesce ze go! Jesce ze go! Ze dy tu pełna izba grzyhów!

Dwa tygodnie Marduła u soltysa siedział, jadł, pił, igał i do sił wracał, a chłopci się do niego schodzili, nad którymi modlitwy odprawiał, błogosławił, złe zażegnawał. Jak do cudownego obrazu chłopci ciągnęli i po rękach go całowali, a zno-

sili jadła, napitku, przyodziewy, domek postawić chcieli, byle ich tylko nie opuszczał.

A Marduła miał prosto z nieba wiadomości jak prorok.

Pewnego dnia spojrział w górę, zobaczył burzę, ciągnącą od Krakowa: powiada niby do siebie, ale tak, żeby go wszyscy słyszeli:

— Wiedzialek, że tak będzie...

— No co? No co? — pytają się ludzie, co ku Mardule procesją szli.

— Ociec zły... Pokłopotali się ze syne... To zawdy tak — mówi Marduła, kiwając ręką z rezygnacją.

— Wtóry ociec? Jaki?

— E to tak. Panu Bogu to jus dawno mar-kotno o to, ize nie Jego kwalom, ba Pana Jezusa. Ja, pada, stworzył świat, ludzi i syćko, powie to wto: niek będzie pofalony Bóg Ociec? Ba jyno syćko: niek będzie pofalony Jezus Krystus! A coz on proci mnie? Jakby mnie, pada niebóło, toby i jego niebóło. A jak wto rzeke wkiełźnie do kałuze, abo do młaki, o to wtodej: Boze ratuj! Abo do biędzy wpadnie, źle mu wyhodzi: Boze jedyny, nie opuscajze mnie! A jak se śleobodno idzie, dobrze mu: niek będzie pofalony Jezus Krystus! Je pokieli ze to tego będzie?

Chodzi po niebie, pomrukuje, a Duk Świenty za nim na skrzydłak lace i w usy mu: gru gru gru! gru gru gru! — bo tys Paniezusowi zazrości.

Jaze Pana Jezusa cysto piéknie nagniéwali oba, stanon wej proci nik i pada: Je kiz to sto dziadów! Kieby nie ja, toby ani telo niebéło! Bo by béli na świecie ino sami zydzi i Turcy! A jesce ta Ociec jako Ociec, ale ty Duhu Świenty nie podwódź, ba rad bydź, co cie do Świentej Trójce rahujom, hoćjes ptak! Furces, laces, a coś zrobiél? Cyś sie to ukrzizować dał? Abo byś znał zmartwykpowstać? Pockaj! Niek cie oskubiom i zamurujom, cy trzeciego dnia wyjńdzies! Niebój sie! Zielone Świątki mas po moik Godak i po Wielgiej Nocy — kieby moik Świąt niebéło, to twoik jesce ani telo! Wtoby ci kadziél po kościele, kieby nie ja!? Ja sie pada doprociwiél, coby w Męce Pańskiej nic nie hybiało, a tyś za tela, pada, grok dzióbał po niebie! A Ociec to tys zawdy taki pokłębny! Jak mie niémieli ludzie kwalić, to ik nietrza béło stwarzać! Ba haj! Cy ja pytał o nik? Cy mi to końcem trza béło na krzizie wisieć? Ja by sie był zaobesał przez tego! Wiera haj! Moze niél?

Telom zwade zrobili, co cud! Przileciała Matka Boska, słuha, za Synem stanena. Takiście skrzętny, pada do Pana Boga, jak i mój Józef! Syćko mu źle! Cyście jus taki stary, jak i to moje Świente Józefisko?

A Pan Bóg strześnie nierad widzi, kiedy mu o starości radzom. Icie, co sie robi? Jakie chmury carne idom? Bo sie Ociec ozpajędził, pada:



staryk? Ale mi wej jesce nic nie hybial! Młodego przeskoce! Potrafi to wtore s was? Kie lupnie pierunami! Widziało sie, że sie niebo zawali. No i icież: burza idzie, jak straf. Syćko z tego...

Kiwali chłopi głowami w niemem zdumieniu na objawienie.

A gdy sołtys konie sprzedał, woły sprzedał, a Marduła się podpał i do sił wrócił, ruszyli razem w las, ku Obidowej, z ofiarą po grzechów odkupienie, bo się djabły mimo biczowania ukazywać w oknie nie przestały. A gdy głęboko już w lasach i pustkach kilka mil od Kalwarji byli, Marduła sołtysa za kark ułapił, na ziemię zwałił, piętą w potylicę kopnął, drugi raz poprawił i pistolet, który sołtys za pas na drogę wraził, wyrwawszy, do łba mu przytknął i wrzasnął po zbójecku:

— Daj piniazel!

W śmiertelnem przerażeniu i zdumieniu sołtys woreczek z pieniędzmi oddał, a Marduła ze trzydzieści razy kosturem go jeszcze po dopiero co wysmarowanych miejscach potężnie przeciągnawszy, krzyknął:

— Djabli cie odstompili, bestja, cok skrós tobie tele roki w hereście wysiedział!? Pockajze, oni cie haw najdom! Héba ci świenty Tobijas Zahareus pomoze!

Chwycił ledwo żywego sołtysa i związawszy

mu pasem z własnych jego spodni nogi, głową go na dół na konarze powiesił i w las skoczył.

A gdy się u matki swojej pokazał, to go poznać nie mogła.

Odzienie dziadowskie, broda po pępek, a złotemi i srebrnemi pieniędzmi stół zasiał. Zaraz przyszedł ogromny Gałajda z nożycami, któremi owce strzygał, i Mardule włosy urównał i brodę obciął, a potem go ogolił, głowę mu pod pachę wmiesiwszy i mocno trzymając. Potem mu nowe swoje portki olbrzymie odprzedał, a potem zaraz Marduła portki ręką przytrzymując, bo mimo pasa zjechać chciały, między dziewczki poleciał, ale już ani jednej znajomej panną nie zastał, gdyż wszystkie zamąż powychodziły.

Wyprawił więc ucztę w karczmie na Ustupie, aby się o nim znów głośno stało i o przygodzie swojej ze sołtysem pod Kalwarją Zebrzydowską, o więzieniu, o starcu w niem, o uwolnieniu, o tem, jak sołtysa wypłacił, szeroko i głośno opowiadał. Dobiegły te wieści Maryny Topórówniej i w sercu jej zawrzało.

Sobek Topór po powrocie z wypraw Janosikowych natychmiast się z Hanką Bulcykówną ożenił, Maryna zaś mały dom osobno pobudowawszy, samotna siedziała, o wyjściu zamąż słyseć nie chcąc, choć się mimo nędzy powszechnej, klęsk i moru wielu parobków o jej rękę głosiło. Ale Maryna odtrącała każdego

i w posepności chodziła, a rada była tylko Krzysiowej muzyki słuchać, który też od Janosika do domu do Byrki powrócił.

Zastał Byrkę stęsknioną Krzys i zaraz po dawnemu na wieczerzę krapkę kapusty dostał i pod nogę jej potem wlaźł.

Zły czas skończyć się nie chciał. Wiosnę całą tak lało, że potoki górskie ziemię z zasiewem znosiły i wszystko gniło, a co zrosło, niebawem po tych deszczach susze wypalać jęły. Zapowiadał się głód jeszcze większy, niż był w zimie.

Ale Maryna nie dbała o to, ani o nic na świecie. W jej sercu rosła straszna tęsknota do wojewodzica Sieniawskiego, do jego uścisków i do jego mowy pieśczonej. Gdy Janosik Nęcza Litmanowski do karczmy w Zaborni z Sobkiem Toporem wszedł i w łożu ją z wojewodzicem znalazł, równocześnie opanowały ją wstyd, wściekłość i strach o Sieniawskiego, że byłaby brata rękami własnymi udusiła, gdyby był Janosik ciupagi Sobkowej nad wojewodzicem wzniesionej swoją ciupagą nie podbił. Czuła to, że Sieniawski droższy jej jest nad wszystko, a gdy z bandą Janosikową na szlacheckie dwory szła, to nietylę szła, by się na szlachcie mścić, ile by czuwać, aby Sieniawskiego nic złego od chłopów nie spotkało. Ale wojewodzie znikł jej z oczu — pewno na zamku swoim daleko na Rusi bezpieczny za murami siedział.

Nie wiedziała, że Sieniawski ze wstydu i złości, iż go chłopci pobili, i w wojnę taką wdawać się nie chcąc, Sulnickiemu gromienie rebelji zlecił, sam zaś do Włoch pojechał i tam w Rzymie wśród panów italskich i dam żył, błyszcząc urodą, wzrostem i złotem. Po długim czasie dopiero wrócił i w węzeł małżeński wstąpić postanowił.

Ale nie myślał już o Herburtównie, której śladu odszukać strapionemu ojcu się nie dało. Ku kasztelance wojnickiej, znakomitego w Rzeczypospolitej domu, Agnieszce Rzeszowskiej afekt obróciwszy, wzajemność jej nietyle zdobył, ile ofiarowaną sobie przyjął i zrękowiny odbyły się na wiosnę, a ślub do lata dla ogromnych przygotowań odłożono.

Królewskie to miało być wesele, od którego Rzeczpospolita olsnąć była powinna.

Wyniośli tak wysokiego związku sławą Rzeszowscy nad stan i miarę przepych weselny gotowali, Sieniawski zaś jedno tylko: nowy kontusz z brylantowemi tak olbrzymiemi guzami robić rozkazał, iż ile guzów, tyle wsi dobrych u sukni mu wisiało. Sporo złota ze skarbu sieniawskiego i brzeżańskiego wyszło, ale ten ubytek ledwie znać było.

Maryna z Hrubego nie czekała. Na koń, jak uprzednio, gdy do Zaborni jechać miała, siadłszy, ruszyła nad San, ku zamkowi panów Rzeszow-

skich, podług drogi, jaką jej Marduła rozpowiedział.

Co chciała przedsięwziąć — nie myślała. Przeszkodzić chciała ślubowi wojewodzica i przeszkodzić temu ślubowi wyruszyła z Hrubego. Mijała miasteczka i wsie, lasy, pola orne i pastwiska, widziała stada koni panów małopolskich i niezliczone trzody bydła i owiec, których, zda się, wszystkie hale w Tatrach by nie wypały, widziała dworki, dwory, pałace i zamki warowne, dumne grody Lubomirskich, Zborowskich, Mieleckich, Szydłowieckich, Kościeleckich i króla. Widziała świat nieznanym i odmiennym, ale nie dziwowała mu się. Albowiem serce jej pełne było tylko miłości, tęsknoty, żalu i wściekłości.

I myślała, jak się dziwnie plecie, że Mardulę niedługo potem z więzienia puszczono, gdy ona do domu powróciła, że właśnie siedział on w zamku pana Rzeszowskiego i panna Rzeszowska, którą Sieniawski ślubić miał, wolność mu wybłagała, jakby umyślnie, by o weselu opowiedzieć mógł. Czowała w tem rękę bóstwa — Dziedziliji, pani miłości, czy okropnej Zamarzłej Czernicy, której oddech upadał lodem. Wiodło ją li coś dobrego, Chrystus i Białybóg, czy Złybóg i diabli piekielni?

W niewiadomości jechała z dziką rozpaczą i dziką miłością w sercu, nie przemyśliwając nic,

nic nie przewidując. Ale byłaby jechała w paszczę niedźwiedziom rozżartym.

Siłę też w sobie czuła taką, że jednym zamachem pięści powaliła ogromnego chłopa, który jej drogę w lesie koło Bochni zastąpił, obroniła się też siekierą z domu wziętą trzem kundlom owczarskim, które na nią, gdy przez pustki przejeżdżała, napadły i ją i konia rozszarpać chciały. Bóstwo ją jakieś wspomogło wtedy, bo jednemu z psów czaszkę rozłupała na prawo, drugiemu łapę w powietrzu przetrąciła na lewo, trzeciego zaś koń uderzył zadniemi kopytami i na miejscu ubił.

Po tygodniu blisko jazdy ujrzała zamek, który z opowiadania Marduły poznała, iż był zamkiem panów Rzeszowskich.

Było to pod wieczór, na pustym gościńcu. Maryna zsiadła z konia, zdjęła zeń uździennicę i siodło, odniosła nieco w gąszcz, a konia poklepawszy po karku, puściła wolno. Zaraz zaczął się paść.

Sama zaś legła w gęstwinie i do rana czekała.

Nazajutrz rano, siekierę pozostawiwszy, do zamku prosto poszła, a gdy ją odźwierny w bramie zatrzymał, opowiedziała się za biedną sierotę z domu przez macochę wygnaną, która służby szuka. Wpuszczona obejmowała nogi gospodyni i po kolanach ją całowała, aby jej rondle myć, krowy doić, lub choćby świniom jeść nosić

pozwolono. Jej wspaniała mocna budowa, uroda i bystra przytomność umysłu ułatwiły jej przyjęcie — dano ją do kuchni.

Widywała pannę Rzeszowską i starała jej się na oczy wejść. Panna Agnieszka, łagodna i ludzka z natury, a sama wiele w domu czyniąca, zauważyła ją i widząc zręczność i urodę z kuchni do kredensu przeniosła. Zaczem i do swojej osoby wziąć ją chciała, ale Maryna wymówiła się, obawiając się wejść na oczy wojewodzicowi, którego przyjazdu wrychle się spodziewano.

Albowiem nie wiedziała co ma czynić? Jak przeszkodzić wejściu wojewodzica na Hrube postanowiła, tak postanowiła i nie dopuścić do ślubu wojewodzica z panną Rzeszowską. Czasem przychodziło jej na myśl chwycić siekierę od drwa rąbania i przechodzącą przez dziedziniec, lub spacerującą po ogrodzie pannę napaść i głowę jej roztrzaskać, ale gdy spojrzała na pannę Rzeszowską, żal się jej robiło, bo o swoje życie, ani tortury nie dbała. Panna Rzeszowska piwne miała oczy i tak się niemi śmiała do każdego, jak kwiatami. Podobne do ciemnych bratków aksamitnych te oczy były. Całą twarz dosyć ciemną miała z rumieńcem jasnym i włosy kasztanowate. W chodzie zaś, w ruchu, w ciele powab taki, że czarowała ludzi. Kobiety to rozumiały, że posiąść taką, taką przytulić szczęście niewypowiedziane.

Nie dziwiła się Maryna Sieniawskiemu, że taką zakochał, że przy niej Beaty Herburtówny zapomniał, a cóż dopiero o niej, prostej dziewczce. Słyszała też, jak mówił kozak Sieniawskiego z listem przysłany, że pan bratu stryjecznemu powiadał, iż większa gładkość panny Agnieszki, niż nierówność fortuny, parenteli i godności w Rzeczypospolitej.

Co się Marynie pięści na pannę Rzeszowską ścisnęły, to opadły znowu, a panna, jak umyślnie, szukała jej, głaskała po twarzy, lubiła z nią mówić, nazywała Marynią, albo Marychną i obdarowywała znoszonemi chustami i spódnicami, choć na Marynę krótkie były. Aż inne dziewczęta dworskie zazdrość brała, ale i poszanowanie w ludziach dla Maryny rosło.

Myślała Maryna to i to. Czasem żeby się do wyprawnej służby panny Rzeszowskiej, coby jej nietrudno było, dostać i wojewodzica choć zdaleka, choć z kuchni, czy pralni widywać, ale czuła, że toby było męką straszliwą, niemożliwą do przetrwania. Jej miłość do wojewodzica unosiła ją, jak wichler płomień roznosi. I czuła Maryna, że wszystko naokół niej jest jako dachy słomiane na stodołach, iż na co spadnie, zniszczy i strawi.

Czuła się z tą mocą nad tymi ludźmi. Naczynia stołowe myjąc w kredensie, czuła się jak orlica nad pawiami w dziedzińcu, wybierająca



czas, aby uderzyć. Wietrzyła krew, ona, która tak wściekle rzuciła się w bój, gdy się zdarzyło starcie, kiedy w bandzie Janosika chadzała, że ją krwawą Maryną nazwali. Szukała śmierci.

Obłąkiwała ją myśl, aby podziąć gdzieś pannę Rzeszowską, stracić ją z oczu Sieniawskiego, jak się niegdyś Herburtówna Beata z oczu ludzkich zapodziała, nikt nie wie gdzie przepadłszy?

Z zamku Rzeszowskich, z okien, patrzyła na Wisłę, wielką i szeroką, nieopodal płynącą, między wikliny i przylaski.

Panna lubiła chodzić nad Wisłę. Rwała kwiatki i nuciła piosenki dworskie i chłopskie, bo tych masę umiała. Zapytała też o to i Marynę, a gdy jej Maryna raz i drugi zcicha w dziedzińcu swoje przeciągłe góralskie śpiewanki zanuciła, rozsmakowała się w nich panna i na przechadzki jej ze sobą chodzić kazała i śpiewać.

Dziwnie się po dolinach nad Wisłą po wiklinach rozlegało:

Cyś mie ty widziała, cy ci wto powiedział,  
ze jo na wirsycku z owieckami siedziol?

Ani mi kto mówił, jyno jo widziała,  
jak sie na wirsycku owiecka bielala!...

Śmiała się czasem panna z dziwnej, obcej nuty, a czasem uczyła się i ciągnęła razem z Maryną:

Wysoki zomecek, wzioneś mi wionecek!  
Wysa jesce skała, samaś mi go dała!  
Wionku lelujowy spodeś, z mojej głowy,  
pudzies dołu wodom, nie zejńde sie s tobom!...

Nieraz nad głębią wodną napadała Marynę chęć porwać pannę Rzeszowską w pól i w wodę wtrącić. I gdyby się ratowała, póty po głowie kamieniami bić, aż na dno pójdzie i woda ją zniesie. Widziała jej ciało płynące z falą, coraz dalej, coraz dalej, precz, na zawsze, na wieki...

I nie nieśmiałyby tego uczynić, ona, która przez lata cztery przy Janosiku Nędzy parobkom dworskim i panom, harnikom królewskim i wojsku, w twarz w czasie walki patrzyła, aniby nie była niezdolna śmignąć swemi stalowemi ramionami dziewczynę na sięgę od brzegu, w głąb...

W zamku zaś czyniono do ślubu przygotowania, nad miarę świetne.

I nadszedł on czas nieszczęsny dla Maryny.

Widziała z okna kredensu, jak w złoconej poszóstnej karocy w siwe jabłkowite konie tureckie, z grzywami do piersi i ogonami do ziemi, zajechał wojewodziec Sieniawski z pozłacanymi hajdukami z węgierska na koźle i za karocą. Widziała go przez szybę kryształową i jak wysiadał świetny i piękny, w bramowanej sobolami delji aksamitnej granatowej, kapiącej złotem.

Widziała go z okna kredensu, z za kraty, i by-

łaby się rzuciła ku niemu udusić go, zadławić i zacałować na śmierć.

Trzystu ludzi przyjechało za nim w orszaku. Jechali husarze nadworni i kozacy, koniuszowie i masztalerze, hajduki, pajuki, rękodajni i marszałkowie jego dworu, sokolnicy z cudnemi sokołami i wiedzione smycze chartów wspaniałych. Nawet wielbłądy dwa przyszły złotoszytami karami okryte.

Obóz poza zamkiem rozbiła drużyna Sieniawskiego, bo jej gdzie w zamku pomieścić nie było. Ale choć tak licznym otoczony był dworem, taką potęgą oblubieniec, przecie większą potęgą nad jego oblubienicą czuła się Maryna z Hrubego.

Zjechała gości moc wielka, panów i dygnitarzy koronnych, krewnych pana młodego i panny młodej, zjechało też i pomniejszej, mniej znacznej, ale zacnej szlachty wiele, obu domom powinowatej, i zaroilo się w zamku i w miasteczku pod nim, jakoby wielki jarmark się odbywał.

A wśród tej ciżby chodziła panna Agnieszka Rzeszowska jasna jak gwiazda od szczęścia.

Zabawy Maryna widziała z okna kredensu: ścigali się młodzi kawalerowie do pierścienia, kopiami z siodeł wysadzali na improwizowanych turniejach, szcuto psami chowane niedźwiedzie i w pole kawalkaty wyjeżdżały z psami i sokołami, oblubieńcy pośrodku.

Wyło w Marynie serce.

Kryła się, aby Sieniawski jej nie ujrzał, a także przed swawolą młodzieży szlacheckiej, przebierającej w dziewczkach dworskich, miasteczkowych i wiejskich w okolicy, jak w ulegalkach. Pojąć tego Maryna nie mogła, bo dziewczki oddawały się jak niewolnice, na jedną noc, na jedną godzinę, na jedną chwilę nieraz. Najmniejszego oporu, najmniejszej swej woli nie miały. Kto skinął, kto zawołał, do tego szły. A gdy jedną Maryna zagadnęła, odpowiedziała:

— Jest, ze sie kce, jest, ze sie nie kce, ano lepiej po staremu, jak matki robiły, niżli podkówkom w brzuch dostać, abo kściną bez plecy.

— A cyś ty niewolnica?

— Ja poddana, pańska. A ty to nie?

— Nié!

— A cyjaześ ty?

— Swoja i swojej śmierci!

— Śmierci? No to my wszyscy. Piérsy Pom-bóg, drugi pan, trzecia śmierć. A coś ty inksygo, jako ja?

— Nic — odparła Maryna i pomyślała gdzie inaczej ona tuliła ku sobie pierwszego z pośród tych kawalerów, ah! i pana młodego panny Rzeszowskiej!...

A gdy wszyscy pojechali do kościoła w miasteczku ślubnym orszakem i zamek opustoszał, chwyciła Maryna nóż długi i śpiczasty i wybiegła z nim na schody, niedostrzeżona przez

nikogo, i przez komnaty popędziła aż do tej świetlicy, gdzie łoże oblubieńcze na noc poślubną nowożeńcom pod baldachimem z błękitnego w gwiazdy złote tkanego jedwabiu przygotowane stało. Stare łoże dębowe, na którym panny Rzeszowskie od prababek dziewictwo traciły, z wyjątkiem tej jednej, co się z lekarzem nadwornym skaliła i żywcem w lochu pod zamkiem zamurowana za króla Zygmunta została.

Wielkie ciężkie kotary osłaniały to łoże, grube i fałdziste, ku samej ziemi opadłe. Szybkim ruchem znalazła się Maryna za kotarą przy ścianie, ukryta tak, że chybaby umyślnie ktoś jej szukać tam szedł, aby mógł odkryć.

Decyzję powzięła jedną: zamordować oboje, gdy się oboje do rozkoszy ułożą.

— He, ty, bees ś niom spał!? — szeptały jej zakrwawione zębami usta. — Ty bees jego!? Ty!? Cekajcie! Ja haw!...

Długo głusza wielka zalegała zamek, aż przez okna uchylone usłyszała Maryna trzask z batów, strzelanie z moździerzy, okrzyki; śnać powrócono od ślubu.

I długo, długo w noc grzmiał zamek od palby z moździerzy i armatek, od śpiewów i rozgwaru weselnego, a jaskrawe blaski wpadały do ciemnej komnaty małżeńskiej, bo już wieczór nastał i noc nastąpiła. Wtem weszło dwóch hajduków z zaświeconemi kandelabrami, a za nimi wo-

jewodzie Sieniawski z oblubienicą i rodzice panny młodej i orszak cały weselny, który państwa młodych w łoże prowadził.

Tam słyszała Maryna, jako chór pacholąt cudnie biało przystrojonych różami cały dywan w komnacie zasłał i przy dźwiękach niewidzialnych lutni śpiewać począł:

Za amora przyczyną  
wstąp w to łoże dziewczyno  
kawalera grzecznego  
przymknąć do serca swego.  
Już my długo czekali,  
róże w ogrodzie rwali,  
byś w to łoże, niebogo,  
wonných kwiatów szła drogą.  
Niech cię Wenus za łaską  
swą ozdobi przepaską,  
byś mężowi się zdała  
jeszcze piękniejsza cała.  
Nic już kryć się niegodzi,  
słodki będzie to złodziej,  
gdy zbawionej sekreta  
krzyknąć przyjdzie: o retal  
Jać nie przyjdę ratować,  
ani będę żałować,  
czegoś chciała, dostałaś,  
znajdziesz, czego szukałaś!  
Ani twego błagania  
luto mi, ni wzdychania,  
czegoś chciała, szukała,  
to będziesz dzisiaj miała — —  
vivant! crescant! floreant!

Poczem matka, babka, ciotki, stryjne, krewne, druhny i przyjaciółki poczęły żegnać płaczącą pannę młodą, hajdukwie cofnęli się z kandelabrami, cofnął się orszak ślubny i Sieniawski z panną Rzeszowską pozostali sami.

— Moja! — krzyknął wojewodzie chwytając ją w objęcia.

— Mój!...

Piekło wrzało w Marynie. Oddech tłumiąc i nóż ściskając przytłaczała się do ściany za kotarą.

Ogniem żywym palił jej się mózg i paliło serce. Wydawało jej się, że rozsadza ją, rozerwie w sztuki uczucie, którego nazwy nie знаła. Wsłuchiwała się. Zda się, jakoby brała w siebie żar, piekło całe. Czuła się podobną do dział podczas obłężenia Czorsztyna, w które im więcej prochu nasuto, tem straszliwszy wyrzucały pocisk.

I nagle jęk przedarł powietrze.

Zerwał się z łoża, wydzierając się z miłosnego uścisku Sieniawski; z krzykiem przerażenia porwała się za nim z posłania panna młoda.

— Co to!? — krzyknął wojewodzie. — Zali przywidzenie?

— O nie! O nie! — wołała młoda pani. — Słuchaj! Tam ktoś jest! Jezus! Czy czart!?

I z głośnym przeraźliwym wrzaskiem w bieleńcu runąć chciała we drzwi, by uciekać, ale ją Sieniawski przytrzymał za rękę.

— Stój! Czekaj!

I schwyciwszy szarawary i buty na się, karabelę przy łożu złożoną z pochwy wydarł i ku kotarze przystąpił.

Rozchylił lewicą fałdy kotary, w prawicy gotową do sztychu broń trzymając.

Jasny pełny księżyc padał w okno i świecił w komnatę: Sieniawski ujrzał postać kobiecą.

Cofnął się przerażony tym widokiem niespodzianym.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Kto tu! Widziadło!? A kysz!

Lecz gdy między fałdy ręką pchnął, żywe ciało natrafił. Uchwycił wtedy niżej łokcia postać stojącą i wyrwał silnie ku sobie, a wówczas przy miesiącu poznał Marynę.

Nóż wbity tkwił jej nad gorsetem w piersiach po lewej stronie.

— Chryste Przenajświętszy! — krzyknął Sieniawski. — Co to!?

— Ja — rzekła głucho Maryna.

— Maryna!? Ty przebita!?

Poznała ją młoda pani i z wybuchem przypadła.

— Marynka!?

— Znasz ją? — zapytał mąż.

— Znam. Służyła u nas.

— Ona? Ty? Maryna tu? Tu? Skąd?



— A ty ją znasz? — zapytała Agnieszka, już Sieniawska, zdumiona.

— Zdawna! Ty przebita!?

— Haj.

— Jakim sposobem!?

— Ja tobie zabić przysła — rzekła Maryna.

— Mnie!?

— I jom!

Wskazała głową młodą panią.

— Warjatka! — krzyknął Sieniawski ze zgrozą.

— Nie! Jynok kohała.

— Skądże ten nóż w twych piersiach? Na Boga!

— Ja go sama wbiła.

Skłoniła się. Pochwycił ją Sieniawski i posadził na fotelu przy łożu stojącym, nieopodal okna.

— Agnuś! — zawołał. — Wdziej co na się. Biegnij, każ zawołać medyka mego, Franconiego!

Ale Maryna przytrzymała Sieniawską mówiąc:

— Stójcie, pani. Mnie nijakik Frankonik nie trza. Nijakik medyków. La mnie jyno jeden medyk — śmierć.

— Boże! Marynka! — zawołała pani Sieniawska. — Marynka! Coś ty uczyniła? Coś ty uczynić chciała!?

— Przebiłak sie. Coz?

Umilkli Sieniawscy, jakby wstyd, wstyd zresztą niczem wytłumaczalnem niesprowadzony, dusze ich przejął. Aż pani Sieniawska rzekła:

— Marynka, biedna; czekaj, nic ci nie będzie, doktora przywołamy!

— Pani — przerwała jej Maryna — nie mąćcie mi śmierzci. Ona idzie. Jus je nie prec. Nabliza sie pamału.

Oboje Sieniawscy wzdrygnęli się.

— Nie mąćcie mi śmierzci, nie wołajcie nikogo... Wody mi dajcie krapke.

Nalała Sieniawska z kryształowego dzbana szklenicę i podała ją Marynie.

— Marynka! — jęknęła. — Ten nóż!... W pierśiach twoich!...

— Wynijdź pani z pokoja — odpowiedziała Maryna — nie patrz... Krew... Wynijdź i ty, jak fces, panie młody. Umrem sama — ja sprosta dziewczka góralska, mnie haw do śmierzci nikogo nietrza... Jyno mi ten laske zróbcie: nie wołajcie medyków. Ja niefcem żyć, ani jus niémogem — ja to cujem... To jyno kwila.

Przypadł Sieniawski na kolana przy Marynie, pod nogi ją objął i jęknął:

— Maryś! Odpuść mi! Przebacź!

— Z nicego. Tyś bęł pan...

— Kochałeś ją? — wyszeptala słoniąc oczy Sieniawska.

— Ja jego kohała — rzekła Maryna.

— Uwiodłeś ją? — pytała Sieniawska z przerażeniem.

— Ja mu sie dała, sama. Okfiarowałaś sie mu — jus nie panna. Pan Kostka mi wieniec z coła sjon, w Cioróstynie.

— Gdziem cię buławką ugodził — odezwał się Sieniawski.

— Hań.

Sieniawska rozszlochała się. Co słyszę! Czego się dowiaduję! — powtarzała wśród szlochań.

— Nie płaccie, pani... On wam to kie opowie — we wieczór. Bedzecie sami. Opowie, jako my się poznali i ka, na polanie, blizo Toporowyk Stawków... Opowie, jako my się shadzali i jako béło... Pote pan Kostka prziseł — hłópów ratować... On zgromieł górali, co ig mój brat Sobek wiód panu Kostce na odsiec, twój mąż... Pote mie porwać fciał, posłał zołmirzy... Pote my sie ze sługi, z Tomka, dowiedzieli, ize je jest w Zaborni — hań ja go zatrzymać posła, nie puścić w Hrube... Tomka mój brat zabięł.

— To on? Mówiłaś, że go niedźwiedzica rozszarpała. —

— Haj. My béli te niedźwiedzie, z brate moim. Pote jek z Janosike Nędzom Litmanowskim posła, panów bić — tobie strzéc...

— Jakto?

— Jaby tobie nie béła dała włosa z głowy sjońć. Sieniawski kolana Marynine całować począł.

— Pote jek sie dowiedziala, ize sie zenić bedzies — przyjechałak...

— By mnie zabić? — oderwał Sieniawski usta od kolan Maryny.

— I zone twojom. No to mie mas i sable mas — zetnij mie, abo katowi daj, niek domęcy.

Z głośnym, przeraźliwym jękiem runęła Sieniawska na sofę turecką i wyć z płaczu spazmatycznego zaczęła.

— Cicho! Zmilknij! — zawołał Sieniawski. — Widzisz, że jej źle...

Maryny oddech stawał się coraz krótszy, bardziej zduszony, rwany, głowa zwisła jej ku ramieniu.

— A to jest moje życie — poczęła mówić półgłosem, jakby niezupełnie już przytomna — łąki i zimy, las, Carny Staw... Mój brat mie za ramie wzion, kie ja sie weń zapatrzowała, w głębizne... Kazał mi iść, odejść, ze hań przepaści... Mnie niebéło pietnaście roków... Ja sie zapatrzyła, wpadłak w głębizne... w toń...

— Czegoś ty chciała? Mów! — szepnął Sieniawski.

— Ja was fciała zabić, bok cie zanadto zakała. Ja haw męki wystała, wystałak piekło za tom firankom — nie wypowieć nik, nie przemyśli nik... Ale kiejek telo miłości wasej uźrała — ja nie was, ja moje serce tém noze przebiła, co go haw z piersi mojej widno...

Opadła w fotelu.

— Cierpisz?

— Nie telo — jyno mie mgli — to jus bedzie zaraz... po mnie...

— Bież po księdza! — krzyknął Sieniawski do żony.

— Nieskoro — i co mi po nim? Nie was ksiądz do mojej duse — powiher mnie weźnie...

Wstrząsnął się Sieniawski.

— Maryna! Bluźnisz Bogu! W chwili skona-  
nia może!

— He — szepnęła Maryna — podź haw, niek ci głowe przitulem, niek cie przy mnie ucujem... A to wiés, jako śpiéwujom? Hej zahucały góry, zasumiała woda, hej śmierć mi ulubieniec, a ja panna młoda...

Sieniawski ją za rękę ścisnął.

— Patrzała ja kiejsi we wode, w ciémnom... W Carny Staw... Zapatrzyłak sie weń... Ono sie mi wej znacyło... Cuł to Sobek, brat, kie mie za ramię ujon... Bał sie, byk nie wpadła... Wpadłak...

Wtem wzdeła jej się pierś, podniosła ręce i krzyknęła prawie głośnie:

— Stawie! Stawie! Stawie Carny!...

Głowa jej opadła.

— Jezu! Kona! — zawołał Sieniawski. Sięgnął ręką ku twarzy Maryny — już była martwa.

W bieliźnie z wrzaskiem: ludzie! ludzie! — wypadła młoda pani z komnaty.

Sieniawski pozostał przy Marynie sam. Położył jej dłoń na ziębnące czoło, nachylił się i w usta ją pocałował i w ręce obie i zdawało mu się, że Maryna szepnęła: bądź zdrów! — ale poznał, że to mu się tylko już zdawało. I rękę na czole Maryny trzymając, mówić zaczął półcicho:

— Przysięgam ci, iżę póki życia mego, żaden poddany mój chłop mieczem, kołem, ani ćwiertowaniem karan nie będzie, przez śmierć twoją, Maryna, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż!

Potem nóż z martwej już piersi wolno wysunął, z krwi otarł i na kolanach zmarłej złożył, mówiąc:

— A to relikwja święta będzie, którą na ołtarzu w kościele w Brzeżanach zawieszę.

Śpij!

W tej chwili ze światłem wpadli goście weselni, kto trzeźwy o tyle, o ile jeszcze był, i służba wystraszona.

— Mości kasztelanie! — rzekł Sieniawski do kasztelana Rzeszowskiego, ojca Agnieszki. — Gromnice z zakrystji każ przynieść, księży wołać i modlitwy za umarłych odmawiać. A na zwłoki tej dziewczki, tej chłopki Maryny z Hrubego, cztery deski dębowe zbić daj, do Brzeżan ją powiozę i w złoconej trumnie pochować każę. Na obchód pogrzebowy wszystkich waszmościów z sobą zapraszam!

---

W tenże sam czas wieść po górach poszła, iż dusza pokutująca, czy zaklęta panna po nich się włóczy. Chodziła po halach to tu, to tam od niejakiego czasu osoba młoda, naga zupełnie, tylko w trawy, liście, kwiaty i gałązki odziana, z olbrzymimi złocistymi włosami, które ją jak płaszcz okrywały, przychodziła ku szałasom, gdzie psy w dziwny sposób nie rzucały się na nią, ale tylko oszcze kiwały ją i wyły na jej widok i po jej odejściu; jadła i piła, co jej podano i nie mówiła nic, tylko się uśmiechała. Odzienie, jakim ją okryć chciano, zrzucała.

Włóczyła się po Tatrach od wiosny, błędziła po lasach i uboczach, wstępując na hale. Znali ją pod Hawraniem, przy Zielonym Stawie pod szczytem Kiezmarskim, w Dolinie Zimnej Wody i Staroleśnej, w Dolinie Wielkiej, w Batorywieckiej, wszędy od Południa. Zrazu bali się jej juhasi i uciekali przed nią; później już tylko kobiety strach przed nią zdejmował. Złego nie robiła nic, do każdego się uśmiechała, jak dziecko.

Miano ją za duszę nie z tego świata, dlatego

nikt na nią ręki w żadnym zamiarze nie podniósł, a wiarę tę zachowanie się psów zajadłych i atakujących każdego potwierdzało.

Gdy jednak razu pewnego zawędrowała het aż ku Północy, ze strony węgierskiej Tatr na polską, na ubocz pod Lilijowem, poznał ją tam Franek Marduła, barany pasący, i poniżej pasąca krowy Teresia z Hrubego.

Mówili oni z sobą, gdy widziadło się nablżyło i w trwodze śmiertelnej za turnicę się schowali, ale gdy bliżej nadeszło, szepnęła Teresia:

— Franek! Ze dy to podane na ten panne, co u Jasiców Toporów bywała, co jom wygnali i ukamienować fcieli i co z Kretem starym usła?

— No no no! I mnie sie widzi!

— Ale pewnie! To ona! Sama ta! Ta panna, co jom Gałajda w śniegu nalaz!

— E, to bedzie jyno jój dusa — rzekł ostrożnie Marduła.

— Zy ka dusa? Kie ma pięty pozbijane? Dusa by ci pięty po skalak zbijała?

Poglądnał Marduła bystro.

— Prawda — rzekł, ale bez przekonania.

— Ja na nie zawołam — rzekła Teresia i krzyknęła.

— Panno!

Stańło widmo niewieście, obejrzało się.

— Po imieniu zawołam, Ludmiła jej. Panno Ludmiło!



Widmo niewieście stało i słuchało.

— Is — słuha. Jyno zgłupieć musiała. Biédarstwo! Ja sie jój nie boje, ja ide ku niej.

Teresia wyszła z za skały, a i Mardułę wstyd wziął lękać się, gdy się dziewczka nie boi, choć niedowierzał i pięty go o materjalności widziadła nie przekonały dostatecznie.

Teresia zbliżyła się śmiało.

— Panno Ludmiło — rzekła — wyście to som? Widmo ludzkie uśmiechnęło się.

— Was Gałajda nalaz? Wyście bywali u Jasiców Toporów, u Sobka i Maryny? Na Hrubém? Was ukamienować fcieli?

Coś, jakby myśl jakaś, przemknęło przez twarz półodzianej w liście, trawy i gałązki kobiety. Zmarszczyła czoło, wyteżenie mózgu odmalowało jej się w oczach i nagle złapawszy się za głowę rękami, z piskliwym wrzaskiem napaśtowanego dziecka, kurcząc głowę w ramiona i jakby osłaniając ją od razów, uciekać jęła. Puściła się za nią Tereska i Marduła podążał, wołając: nie bój sie! stój! — ale gdy ją doganiali, upadła na ziemię i jak kuropatwa, gdy na nią jastrząb bije, głową przypadła ku ziemi, rękami ją ciągle słońcąc.

— Panno Ludmiło — ozwała się Teresia łagodnie — panienko, wyście to? Nie strahajcie sie! Pocie s nami do sałasa! Na mléko, na sér.

Ale gdy ją za rękę ująć chciała, rozpaczny pisk wydała półnaga osoba.

— Waryjak — rzekł Marduła. — Zglupiała. Daj jej pokój.

— Ostawić jom niemozemy. Wilki jom zjedzom, zmarźnie, abo od głodu zemre. Patrz, jakie to chude, biédne! Skóra i kości. Franek, odejńdź, moze se mnom samom pudzie.

Oddalił się Marduła i za wielką wantą ukrył, Teresia zaś usiadła obok leżącej, ale cała jej słodycz i perswazja na nic się nie zdały, a gdy na rękę biedną warjatkę wziąć chciała, taki wrzask rozpaczny zaczął wstrząsać jej piersią i z ust się wydzierać, że serce ścisnęło się w piersi Tereski.

Nagle Franek wzdrygnął się i ozwał:

— Ostaw jom! Niek robi, co fce! To jej przeznacenie. To przywilija śmierci...

Teresia natychmiast cofnęła się, przejęta grozą.

Półnagie stworzenie porwało się z ziemi i poczęło się śpiesznie oddalać.

— Zginie — rzekła żałośnie Teresia.

— Nie mów nic. Tu jest Duk. Kie Duha nie béło, to jom Gałajda nalaz.

Kobieta szalona oddalała się. Szła szybko ku turniom nad Kasprową doliną.

— My sie cofmy. Tu Duk rządzi. Mnie jaze włosy stajom. Cafmy sie!

— Je dyć...

Cofnęli się śpiesznie. Herburtówna znikła w skałach.

— Mnie jej strasznie zal — szepnęła Teresa.

— Cyt! Nie mów nic. Ka Duh władze, tam sie cłowiek nieśmié prociwić.

— Po cémés go poznał?

— Zimno mnie takie przejeno, jak lód. Ja jesce nigda takiego zimna nie pocuł. Mnie ociec opowiadał: taki mróz po kościak ludzi przesęł, kiedy stary Jarząbek na polowaniu miał od turnie odpaść. Palce im do łuków przymarzły. Nie wysło dwa paciorze, Jarząbek sie urwoł z piargiem skała i gruchnon do przepaście z Koziego Wierchu, dziś hań lezy. To prziwilija śmierci.

— Mogli go hycić?

— Mogli. Bo mój ociec seł przed nim, a Jarząbek syn za nim, a ten sie uwióz i ręce wyciągnon. Ale juz Duk bęł. Duk zenie przed sobom. Tak jak matka dziecko do hałupy. Dziadek Jarząbek pedział do mojego ojca: jo juz ze dwa roki przy moim synie Duha cuł. Jo wiedziol.

Teresa się skuliła.

— Rany Boskie! — szeptała. — Rany Boskie! Panie Jezu Panienko Maryjo miéjcie jom w Swojej opiece i nas takze... Kret juz zemzec musiał, temu jom samom ostawięł.

— To straszny świat... Joby s tych gór uciekła... Bo my tu i tak ino przišli ze światu...

— Wsędy jednako — rzekł Franek. — Przebrało we Panu Bogu scénśliwości. Dał jom wodom, dał jom ziemi, dał jom słońcu, gwiazdom i miesiącowi, niezna niescęśliwości cłowiecej ni drzewo, ni ziele, ni krowa, ni owca. Na samym ostatku cłowiek stworzony. W samym zadku stworzenia stoi. Nie starcyło dlań Boskiego daru. Tak to tak...

— Ona juz moze nie zyje...

— Moze... Siednijmé ka obdalno. Syćko sie pasie.

Nagle przerażający wrzask rozdarł powietrze. Franek i Teresia popadali na twarze.

— Łaska syćkik Bogów nad nami — powtarzał Franek. — Nik jej ratować niémóg. Duh puściel mróz śmiertelny... Bądźcie nam miłościwi sytka Bogowie niebiescy, ziemscy i piekielni...

— Amen...

---

Ledwo parę tygodni statek był po Zielonych Świątkach na halach, gdy nad doliną Nowotarską niebywale licznymi stadami białe rybitwy o długich wąskich skrzydłach nad wodami krążyć zaczęły. Przylatywały one zawsze, gdy wiosenna świętojańska powódź okolicę podgóorską nawiedzić miała, nie widywano ich jednak w takiej gromadzie. Miarkowali z tego chłopci, że powódź będzie sroga, srozsza, niż zazwyczaj, bo te wedy czują wodę. Ale zadrżała również nowotarska.

Dwa dni z tygodnia przed świętym Janem deszcz się wzmógł, a dnia trzeciego ulewy całe niebo od strony orawskich Tater pokryło się po południu koło godziny trzeciej chmurą czarną. Zagrzmiało kilka razy i chmura oberwała się na ziemię. Deszcz nie lunął, ale runął z wysokości. W jednej chwili wody poczęły tak pęcznieć, jak żmije, gdy się najedzą. W Ludzimierzu wezbrały oba koryta Dunajca, to, które idzie pod kościół, i to, które idzie pod brzeg, gdzie siedzieli Gapka i Wietrzny Kuba, rybak.

Między temi korytami, bocznem pod brzegiem i głównem pod kościołem, rozciąga się szeroka równia, kamieńcem zwana, trawą w znacznej części porośła, pastwisko gminne, któredy i z dalszych pastwisk, z Zardzawicy i skądinąd bydło powraca i wbród główne koryto rzeki pod samą wsią przechodzi. Na Maruszyńskie i Rogoźnickie Wierchy stamtąd widno i na łańcuch Tatr w jedną stronę, w drugą na Gorce, Kluczki, Babią Górę i Orawskie wzgórza.

Dzieci nieletnie w Ludzimierzu pasały, z wodą obeznane dobrze, od wilków w lecie spokojne, zwłaszcza, że lasu w pobliżu kamieńca i pastwisk między rzeką nie było. Deszcze ich nie trwożyły, ale gdy woda wartko i bystro od Krauszowa, Długopola i Czarnego Dunajca z Kościeliskiej i Chochołowskiej Doliny się tocząca, nagle wzbierać zaczęła, tak nagle, iż w oczach rosła i dźwigała się ku krawędziom pobrzeży, w popłochu gnały bydło ku rzece, póki jeszcze zbrodzić ją można.

Lecz napór wód był tak gwałtowny, że bydło mu się oprzeć nie mogło i wegnane pierwsze krowy co słabsze fala obaliła i toczyć po męcie zaczęła. Na który widok inne z rykiem z wody i od wody się cofnęły, pasterze jęli krzyczeć i płakać i zgromadzone już na przeciwnym brzegu kobiety również krzyczeć i płakać jęły.

Wieś poczęła się na brzeg zbiegać. Chłopi

z pobliza po konie poskoczyli, a konie mieli rosłe, bo zdawna po wino na Węgry i po sól do Wieliczki jeździli, i wpływ na ratunek w rzekę wjechali. Ale choć kilku śmielszych na najlepszych koniach na drugą stronę dobiło, nie wszystkie dzieci, na koń je biorąc, ratować mogli. Więc te, które zostawały, z rozpaczy się im portek i końskich ogonów chwytaly, lecz kilkoro czy z trwogi, czy też nie miał ich kto już zabrać, zostało na wyspie. Chłopi batami krowy w rzekę gnali, sądząc, że między konie je wzięwszy, przegnają. Ale krowy nagnać się nie dały, a woda rosła. Więc z powrotem puścili się chłopci z samemi dziećmi; mały Jaś Cajków, co przy ogonie Byrnasowego siwego ogiera wisiał, odpadł w prądzie i woda go zniosła.

W ten sposób Cajcyna Hanka trzech swoich krów, które w Dunajec pierwsze weszły i utonęły i syna w jednym prawie momencie pozbawioną została i tarzając się po ziemi i włosy drąc z głowy, wyła:

— Kieby sie mi bély sytkie dzieci wytopiły, a coby mi krów woda nie wziena! Kieby sie mi bély sytkie dzieci wytopiły, a coby mi krów woda nie wziena!

Bo dzieci był wydatek, a krowy był dobytek.

Dzieci jeszcze miała troje, które płacząc, biegały koło szalejącej z rozpaczy matki.

Niedługo rzeka wystąpiła z koryta; z dwu

stron poczęły się rozlewać wezbrane odmęty, a wyspę, na której stało kilkadziesiąt sztuk bydła i kilkoro dzieci, poczęły otaczać wody powodzi.

Już ryk krów i lament dzieci woda głużyć zaczęła.

Wtem nadbiegł Jędrzek Fit z głośnem wołaniem:

— Ka Zosia!? Ka moja siostra Zosia!?

Rąbał on drzewo opodal w lesie, w Grełu, i porzuciwszy siekiere pędził na ratunek, bo wiedział, że Zosia z krowami za wodę poszła i że woda stać się groźną już musi.

— Hań — wskazał mu ręką wójt Sopiarcz za Dunajec, bo Zosi nie miał kto na konia zabrać.

Więc Jędrzek w wodę skoczył. Silny, młody chłop do pół koryta ramionami i grzbietem wystając z tonią walczył, lecz go zniosło. Rękę w górę wznosił i pochylił się, rzucił się naprzód, lecz sile fali oprzeć się nie mógł, zatoczył się, padł i płynął przewracany prądem.

Na ten widok matka ich, wdowa po Michale Ficie, przysiężnym, która niemo nad brzegiem stała, niemo wtył padła. Nikt się nie popatrzał, czy żyje, czy umarła. Nie było głowy nato.

Nastąpił mrok taki, jakoby się słońce zaćmiło. Woda nie rosła już, ale piętrzyła się; od brzegu cofać się musiano. Zachód słońca zaledwie znać było w nawale chmur, które tylko bladły w tej stronie. Dunajec wylał na gościniec, mętny



i brudny zalał ogrody Bartłomieja Fita, Krużłów, Szymczyków, organisty. Rzucono się do chałup bliżej wody stojących na ratunek rzeczy, dobytku domowego, niemowląt, starców i chorych. Na falach już toczyły się pnie z tam powyższych i drzewa powyżej powyrywane.

Ciemności potężniały i ulewa nie ustawała w potędze. Za wodą już tylko jakoby kępę w cieniu, gromadę krów i kilkoro dzieci wtłoczonych między nie odróżniano. Ludzie przed powodzią musieli się cofać coraz dalej od brzegów. Pod wieczór na gościńcu już koniom nad brzuch woda sięgała. Z dachów nawoływano ku krowom i pastuszkom, jak gdyby im to co pomóc mogło.

Łodzi we wsi nie było, woda na to zawsze była o wiele za płytka; o żadnej tratwie myśleć nie można było, rzeka by ją była rozbiła, rozniosła i porwała za sobą. Nikt zresztą w całej wsi nad płytką górską wodą pojęcia o pływaniu nie miał.

W pola, w stronę lasu, wynosili się chłopci nad wodą mieszkający; za szczęśliwych miani byli ci, co się dalej pobudowali. Lecz takich było niewiele, bo i Lepietnica od Klikuszowy gnała z drugiej strony straszliwie wezbrana w Beskidzie.

Gdy wieczór zapadł, kto miał dziecko za ręką, powtarzał: czy je też zobaczy jutro rano? Matki i siostry wyły w lamencie.

Noc rozpętanych żywiołów, powodzi, deszczu, huraganu i ciemności czarnych pomnożyła rozpacz, a gdy blady dzień zaświtał, przed oczyma górali ludzimierskich widniało ryczące morze, na którego wścieklej spienionej glinianej barwy fali płynęły domy zniesione z wyższa, które druzgotało w ich oczach i porywało domy ich własne i które pochłonęło bez śladu dzieci ich wraz z bydłem. Nie było widać nic, tylko toń ryczącą, niezmiernie rozlaną.

Na myśl, jak woda zbliżać się musiała w nocy, jak rykiem trwożyła śmiertelnie, a stopy podmywała coraz wyżej; jak dzieci chlupotały w wodzie, jak im sięgnęła kolan, brzuchów, jak je obaliła i porwała wraz z krowami i poniosła gdzieś, naprzód, na głębie pod Sypką, pod nowotarskim brzegiem, gdzie je topielce chwytaly, skąd ich już nie uratuje nikt nigdy, ani nie ujrzy; na myśl, jak te dzieci płakać i wołać o ratunek musiały, nim tonąć zaczęły: matki dostawały obłędu, a Katarzyna od Walosa, której syn dwunastoletni utonął, chwyciła topór, pobiegła ku kościołowi przez wodę brnąc, dopadła go i rąbać zaczęła, krzycząc w opętaniu:

— Ludzie Ci kościół stawili, cobyś w nim siedział, a Ty kaś bół, coś sie naszym dzieciom popocić dał!? Kaś bół? Kaś poseł z kościoła!?

I rąbała ścianę kościelną, aż ją czterech chłopów, obawiając się zemsty Boga i sroższego jesz-

cze dopustu, powrozami skrępowano i gębę jej chustą zatkało, aby bluźnić okropnie nie mogła i Pana nie wyzywała.

Cała dolina nowotarska zatoneła w klęsce powodzi; nawet w wysokich wsiach podhalańskich gdzie, zwykle potoki z hukiem wdół spadały, poginęli ludzie, bydło, poobalały się domy. Lamentem nappełnił się świat dookoła. Trzy dni woda gazdowała niszczącą potęgą, niczem nie odparta, niczemu nie podległa.

Z Nędzowego Gronika w Kościeliskach, z wysokości nadwodnej patrzył na to Janosik i słuchał, pozberkując obuszkim ciupagi po kamieniach przed domem.

— Wiedziały rybitwy, poco lecom hań skądsi jaze od morza — mówili chłopci dunajeccy, gdy rybitwy po opadzie wód pozostałe na szlamie ryby i upieczone od słońca, co na niebo z pomroków wyszło, czerwone raki dziobały. — Taka gawieź wié. Mądrzejsa je jako cłowiek...

Po straszliwych nieszczęściach zimy i wiosny, twardy góral odetchnął, aby niepohamowane puścić wodze chciwości, oszczędności i zazdrości. Wielu woda pochłoneła i zniszczyła całe zasiewy, wielu gruntu części znaczne w rwących odmetach potraciło. Dzieci były ciężarem rodzicom, starzy rodzice dzieciom. Stary Siuta, gazda ludzimierski nieplony, sam torbę przez plecy przewiesił, kij do ręki wziął i synowi się z chałupy

uchylił, po pytaniu poszedł. Bał się, że go zabije. Tak uczyniła niewidoma Kułaska z Ostrowska, Handzel stuletni z Waksmundu. Kopiński z Klikuszowy, który czternaścioro dzieci miał, a któremu woda dom wzięła i cały zasiew zamuliła, dwoje tylko najmłodszych przy sobie i żonie zostawił, resztę wypędził, a że iść nie chciały, biczem bił.

Lecz gdy na dolinie Nowotarskiej po klęsce świętojańskiej powodzi w oczach kobiet łzy nie oschły, a chłopom bruzdy się na twarzach, zawsze wyryte, nie zagładzały, gdyż wskutek nieustannych deszczów nędzne zboża w żniwa po Wniebowzięciu Matki Boskiej pozbierali i do stodół zwieźli; gdy jesień nadciągnęła i Podhalanie zkolei do zbiorów się gotowali, owsy swoje kosili i w snopki wiązali i w stołki ustawiali: nieznany poniższym nowotarskim wsiom wróg, halny wiatr, się pojawił.

Natura tam nie spała, w Tatrach.

Zrazu, przed zachodem słońca, huk było słychać w głębi gór, a potem z za Goryczkowej, z za Giewontu, z za Czerwonych Wierchów chmurki lotne, siwe, pierzaste wybiegać jęły, poczem zawisł nad górami ogromny wał siwych chmur i trwał nieruchomy, aż nagle spychać go jęła moc dmącego wichru i po stromych ścianach skał staczać się począł w wąwozy i kotliny między turniami Tatr a lasami regli zawarte. Jak

olbrzymi wodospad kłębiły się zwały chmur nieprzebranych po ścianach prostopadle wdół się sunąc. Zadał potem wichur, krótko gwałtownie, porywczco, z przerwami ciszy.

Po czerwonym zachodzie słońca poczęło dąć lepiej, gałęzie się łamały, płytko rosnące smreki samotne tu i owdzie trzasły i powaliły się na ziem. Szumiało całą noc, lecz nad ranem, nim zaświtało jeszcze, runął wiatr.

Zakotłował się świat. Huk, szum, wycie wypełniły go, jakby horda szatanów potwornemi skrzydłami łopotała ponad nim. Pęd powietrza to cichł, jakoby się unızał falisto ku ziem, to znów wzmagał się i wzbijał wgóre, jak orzeł szalejący. Rzekłbyś, że olbrzym obłąkany, jak tęcza ogromny, to przypada piersiami ku ziem, to wznosi się i rękami chwyta za czuby gór, nad światem potrząsa niemi i zgina je poczwarną siłą. Wszystko zdawało się drzeć, a żwir miótl z pod nóg, jak kurzawa. Wiatr dochodził chwilami do potęgi grzmotu. W cztery strony świata rozniósł snopy owsa, a nieporuszony jeszcze na zagonach posłał na ziem. W powietrzu wirowały liście, konary, słoma i ptaki pochwycone zawieją. Wozy i konie wywalały się, ludzie padali. Odzierały się deski z dachów, dachy całe zrywało i domy dźwigały się z węglów.

Tak wiało dzień i noc, czyniąc na drogach zasieki z drzew obalonych, wurywając przesieki

w lasach, jak drogi i wyręby. Z owsów nie zostało nic — wiatr je rozniósł i wymłócił. Została nędza i rozpacz.

Tak klęskami raził Bóg — cała góralszczyzna jęczała, zimą, wiosną, latem i jesienią nawiedzona nad zwykłą miarę.

Bywały czasy złe. Za króla Zygmunta Starogo przez jedenaście lat nic się rodzić nie chciało i od głodu ludzie padali, jak muchy, a setki wytruły się jadowitemi grzybami i zielami, w których nie przebierano; za króla Stefana powódź trzy razy rok po roku Nowotarskie spustoszyła, ale i zimę, i wiosnę, i lato, i jesień, rok cały aby Złybóg, Czarnoboh, światem rządził, aby łązy nie osychały kobietom i bruzdy, wryte zawsze na twarzach mężczyzn, nie zagładzały się i rok cały walczyć o istnienie w całej okolicy polskich Tatr w okrutny sposób trzeba było: to dojęło ludziom do żywej kości.

Patrzył na to Janosik i pozberkiwał obuszkim topora, bijąc nim o kamienie przed chałupą, przed którą siadywał, nogi przed się wyciągnawszy.

Starzy zaś gazdowie w Nowotarszczyźnie, na Skalnem Podhalu, ku Spiżowi i Orawie, mówili:

— Trza sie bedzie héba wynieść ka we świat... Syćkie biédy sie uwziény... Jak tak pudzie dalej, wyginiemé od głodu...

I tysiące oczu mężów, niewiast, dzieci pa-

trzyło za Tatry, ku Liptowu, ku słonecznej pszenicznej winorodnej ziemi Niżnich Tatr.

Wówczas też „procesjami“ ludzie na zbój za Tatry polskie zaczęli chodzić, ale niejednemu to „kręto szło“, nie przyniósł nic, dziury we łbie, albo i wcale nie wrócił.

Za Tatrami się też przeciw zbójnikom bronić umiano. Nienawieć tylko rosła wzajemna i chęć zemsty od strony węgierskiej. Do Polski nie było pogo iść, ale gdy kogo z Polaków złapano, „odpiók“. Bito, mordowano, katowano, wieszano na szubienicach i drzewach, zamki w Lewoczy na Spiżu, w Mikułaszu na Liptowie, Orawski, zapęłniły piwnice więźniami. Mnóstwo ginęło po prywatnych zamkach i dworach, lub gdzie dopadnięci na rabunku, czy jego intencji zostali. Choć się ten i ów rzemiosłem zbójcekiem wspomógł, biedę w chałupie na chwilę obegnał, spyrek czy mąki przyniósłszy, nikt się nie zratował. A choć i pieniędzy który nabył, nazbijał, ciężko było na wozie o drewnianych osiach gdzie dalej po zboże jechać, na koniach jeździli, ale i trudno było kupić i ni pieniędzy na zakup, ni nabytego towaru, ani życia swego nikt pewny nie był, bo i swoi chłopci z dolin wydzierali, napadali, mord był dookoła.

Głód jał się szerzyć od północy Tatr polskich i przybierać rozmiary straszne, ciągnąc za sobą śmierć, co się jaze potem zaléwała od prace.

Janosik Nędza Litmanowski rozdawał, co miał. Ojcowizną i macierzyzną rządzić nie mógł, ojcowie żyli i majątek dzierżyli, ale skarby swoje z pod buków, jabłonek i z pod głazów z miejsc klętych dobywał i ludziom dawał. Czuł on się do tego w obowiązku, w obowiązku do swojej pychy, swojej górności, swojej wyższości. Dawał z gestem króla, wspaniale, chciał, aby wiedziano, że biorą i od kogo. Rzucił skarby z miną wielkiego pana, którego żadna klęska ziemską dosięć nie może, który nie obawia się niczego i od niczego nie jest zależnym. Ale choć było tego mnogo, była to kropla w morzu nędzy i wyczerpało się wkońcu.

Wówczas Janosik począł myśleć. Począł myśleć więcej i głębiej nad tem, co mu jeszcze w ziemie w głowie błyskać jeło.

I pewnego popołudnia poszedł ku izbom, gdzie mieszkały nieopodal jego domostwa siostry jego stryjeczne, Krystka i Jadwiga Nędzówne, z bratem młodszym Wojtkiem.

Zastał je w czarnej izbie na warsztacie przędące, a Wojtuś pod oknem kozikiem łyżnik strugał.

— Niek będzie pofalony! Co ta na was słyhno, dziewczęta? — zapytał Janosik.

— E, nic tys ta takiego, bracie. A na tobie jak lepiéj? — odpowiedziały dziewczki.

— Płótno przędzicie?

— Haj.



— A Wojtuś struga? — rzekł Janosik, siadając na ławie pod ścianą.

— No.

— I coż tyś ta tak strugas, hłopce?

— Łyżnik.

— Pokaze. Ej wiera. Nie uenie ci sie to tak strugać?

— E, wiés — odpowiedziała Jadwiga — onby we dnie i w nocy strugał. Przipatrz ze sie, jakiego Świentego Marcina babce z limbowego drzewa urobiel. Wis?

— Ej ha! Ale skądze wiécie, jeze to Świenty Marcin?

— My nie wiedzieli, ale zasel do nas pozawcozem Kuba Mraźnicarz, ten temu rozumie, bo sam Świentyk seliniejakik struguje, odrazu poznal, ize to Świenty Marcin.

— A tyś wiedzial, Wojtuś, kieś robiel? — spytał Janosik.

— Nie. Dopiero kie mi Kuba pedzieli.

— No, to i ten Kuba nieglupi — rzekł Janosik. — Ja hojbyk sie i trzi dni do tego Świentego patrzal, tobyk go nie uznal, co za jeden? No, dziwoty niemas, kazdy temu rozumie, s cym sam robuje. Kieby Kube wewiedli w las, toby na mnie wolal.

Zmilkli. Warsztat warczal.

Jadwiga, Krystka i Wojtuś Nędzowie mieszkali sami, bo ich rodzice odumarli, a do nich

nazywało się do Zubkosa, po dziadku, który zębami grube gwoździe przecinał.

Wielki czarny kot, z błyszczącymi oczami, który siedział obok konewki, powstał na cztery łapy, wygiął grzbiet w kabłąk, ziewnął, podniósł ogon w górę, wyciągnął wtył poza się naprzód lewą nogę tylną, potem prawą i przyszedłszy ku Janosikowi począł mu się o portki ocierać bokiem głowy i ciała i mruzczyć.

— Kyci! — ozwał się doń Janosik. — Coz ci dam? Kie nié mam nic.

— E, jemu sie jeść niefce, wrodniakowi — rzekła Krystka. — Ptaki hyce po lesie, kiejsi zająca udusiéł. Na niego niema biédy.

— Ale na ludzi jest — odpowiedział Janosik.

— O jest.

— Telo lamentu, co nieg ręka Boska broni — rzekła Jadwiga. — Ludzie gadajom, co jus het sytka wykapiom. Zginonć majom górale.

Westchnęły dziewczki żałośnie.

— Ja béła wcora u Florka, fciałak, coby mi prziseł stojaki haw do warštatu naprawić, bo on umié. Umar.

— Umar Florek!? — zawołał Janosik poruszony.

— Otruł sie. Grzibem. Zaslak hań, tok ani nie wiedziała jako wyjńść? Sama przy piersi z dziecke, a pierś wyskniona, jak patyk. On lezy niezywy na wyrku. Troje dzieci po izbie łązi,

sukajom co zjeść. Jedno dziewczę, siedmi roków, skałę tłukałom od soli lizało.

Suka sie im osceniła przy hałupie, pięcioro ma młodyk, sytko skucy od głodu, jaze mgli. Śniło sie mi całom noc o nik. Jesce, kie wspomne, to jaze drzy serce we mnie. Zaniesłak im cok mogła.

— Dobrześ zrobiła. Bięda na ludzi przysła, co cud.

— Ej bięda, bracie, bięda — powtórzyła Krystka.

— O bo bięda — dodała Jadwiga.

Westchnęły znowu obie.

— Dziewcęta — ozwał się po chwili Janosik. — Zaśpiéwajcie o zbójnikowi, o Janosikowi.

— E, bracie, ani sie śpiéwać niekce — rzekła Krystka.

— No dy jyno kielo telo, niegłośno.

Wojtuś podniósł oczy na Janosika. Słyszał on nieraz, bo to wszyscy gadali, że gdy Janosik, strycny brat, hetman zbójecki, chce myśleć, każe sobie o zbójnikowi, o Janosikowi jakimsi, tegoż imienia, co przed latami kiedyś bywał, śpiéwać, a gdy co namyśli, „ziem sie trzęsie“.

I dziewczyny wiedziały to, więc cicho jedna za drugą zaczęły:

Pod jaworkem, pod zelenym,  
orze Hancia wółkem ciémnym,  
jesce skiby nie zorała,

matka na niom zawołała:  
Hanciu, Hanciu, pójdź sem domu,  
wydajem cie, nie znam komu,  
wydajem cie Janickowi  
i hroznemu zbójnickowi!...

Dalej brzmiała cicho pieśń, a Janosik oczy w sosrąb na powale wlepił i słuchał, a gdy prześpiewały koniec o szubienicy, gdy zbójnik mówi:

Kieby jo bół dawno wiedział,  
ze ja budziem na niej wisiał,  
dałbyk ja jom odmalować,  
śrybłem, złotem wyobijać;  
ode spodu talarkami,  
a od wiérhu dukatami,  
a na wiérhu złotu kawku,  
gdzie położem swoje hławku!...

Janosik wstał, końcem kierpca kota odsunął i rzekł:

— Bydźcie haw zdrowi syćka! Dobra noc.

— Dobra noc, bracie!

Janosik wyszedł przed dom stryków i szedł ku swoim izbom, a gdy był przy nich, włożył dwa palce w usta i gwizdnął.

Rozdarło się powietrze i psy tu i owdzie zaszczykały strwożone.

Niedługo z lasu, skąd dym snać nad chałupą widać było, wynurzył się wysoki chłop i zbliżać ku Nędzowemu domostwu począł.

Przyszedł potem drugi towarzysz Janosikowy i trzeci — Gadeja, Mateja, i Mocarny Stopkowie, Janosikowi towarzysia zbójcecy.

Stanęli w milczeniu, gotowi słuchać, co powie.

— Hłopy — rzekł Janosik — ja wam jus ra-dziół kiejsi, ze pudziemé na wojne.

— No — odpowiedział Gadeja; — radziłeś.

— Bacymy — powiedzieli drudzy.

— No. Strasne biédy na lud przisły. Ludzie marli od biédy w zimie, pote powodzie, mrejom zaś znova w jesieni i tak jus widzimy dalej be-dzie. Takie casy nastać obiecujom. Hłopycy, icie pomiendzy ludzi: wto fce se mnom na wojne iść, po sytkie dobro, na hléb, na miéso, na wino, na złoto: niek haw przydzie.

Do trzok dni ludzie haw majom być. Na Nę-dzowym Groniku.

— I ka pudziemé? — zapytał Mocarny.

— Na hléb, na miéso, na wino, na złoto.

— W Polskom?

— Na hléb, na miéso, na wino, na złoto — powtórzył Janosik.

Mrugnęli Gadeja i Mateja na Mocarnego: snać hetman nie chciał nic więcej powiadać. Odeszli.

On zaś przywołał celadnika Maciusia i rzekł mu:

— Graj.

I siadł przed izbami na ławie, nogi przed się wyciągnąwszy i palce w przypory u portek wsunąwszy.

Maciuś wrócił z chałupy ze skrzypcami i zaraz grać począł. Czasem mu Janosik nutę zcicha przygwizdnął. Czasem zcicha przyśpiewał:

    Nie bój się Janicku, nie bój się tego nic,  
    Orawskiego Zamku, luptoskik siubienic!  
    Nie bój się Janicku, nie bój się nie zginies,  
    wyjdziesz do wirsycka, siekiéreckom zwinies!

Noc szła i gwiazdy w nów miesiąca załśniły sklep ciemnych niebiosów. Lekki wiatr, który w nocy zwykle przychodzi, podmuchiwał od turni Czerwonych Wierchów.

Hm — rzekł Krzyś, łapiąc pchłę na karku, do żony swojej Byrki, która się po chałupie kręciła — stara, wiés? Ból Matejów Wojtek u Gałajdy, pozywał go ku Janosikowi na wojne; na hléb, na miéso, na wino, na złoto.

— E — westchnęła ciężko Byrka — onoby sie zdało, aj zdało! Głód!

— No — rzekł Krzyś.

— Pietrków Franek z głodu zgłupiał; goni po lesie nagi i krzicy. Jagnieska od Kapuściarza samo to.

— Więcél takik bedzie — rzekł Krzyś, kręcąc pchłę w palcach.

Wtem, gdy mówili, wpadła najbliższa sąsiadka, Kohutowa, z hałasem, wołając:

— Rany Boskie! Co sie stało! Zelaznego Topora syn dzieci swoje zarombał! Icie — pedział — ziem Boskom gryźć, kie Bóg hleba nie dał!

Stanęła oszołomiona wieścią Byrka, a Krzyś zgniecioną pchłę z palców puścił na podłogę, mrużąc:

— Idze, weredo! — i przydeptując ją kyrpcem zapytał głośno z przejęciem:

Topora Żelaznego syn? Jasiek?

— No haj, Jasiek — odparła baba, Kohutowa. — A słyseliście? Janosik Nędza na jakomsi wojne woła? Na hléb, na miéso, na wino, na złoto?

— No toście i wy słyseli? Dopiero mi mój wej opowiadał — rzekła Byrka.

— Mój hlóp idzie — rzekła Kohutowa.

— Idzie?

— Pude i ja — oświadczył Krzyś. — Mnie przy Janosikowi, kie my w Polsce wojowali, béło dobrze. Ja sie ta moc nie bił, jynok grał i piłek dubelt. Pude.

— Symek! Staryś! — zawołała Byrka.

— A tyś młoda!? Bassam ci teremtete dziś! — wykrzyknął Krzyś z humorem i oświadczył:

    Nie uwazuj na to hociaj głowa siwa!

    Popod starym bukem twardy korzeń bywa!

— Mój to wiécie taki — rzekła Byrka do Kohutowej — hojby na świat sto biéd sie zleciało, on sie bedzie śmiał.

— Temu ik tys ludzie radzi widzom — odpowiedziała Kohutowa z chęcią patrząc na Krzysia.

Krzyś zaś przez okno ujrzawszy olbrzyma Gałajdę, wrzasnął doń:

— Gałajda! Idzies na wojne? Z Janosike?



— Idem! Z Mardułom z Frankem!

— Pockajcie! Ide i ja s wami! Jyno sie po-  
zbiéram!

Duchem się zebrał Krzyś, trwać nie mogło długo, bo tylko skrzypce pod pachę i ciupagę do garści miał wziąć, zresztą gotowy był; warmuzu, bo nic innego w domu nie było, dwie zimne łyżki połknął i Byrkę, która go za szyję oblapiała, dom zdawszy i pocałowawszy ją z mlaśnięciem w lico, a Kohutowej dawszy rękę, z izby w mało czasu wyszedł. Ale przy okienku się zatrzymał i zaśpiewał do wnętrza na pożegnanie:

Moja stara nie umiéraraj!

Wtoz mi bedzie gacie piéral?...

— Beskurcyja! — zawołała Kohutowa i roześmiały się z Byrką, która łzy ocierała, a Krzyś śpiewając wesoło przez nos:

Dziéwcyno, dziéwcyno, o coz ci to hodzi?

Zielonoś zasiała, zielono ci schodzi! —

kroczył mały na krzywych nieco w iks nogach, ku czekającemu nań w rynsztunku wojennym potwornej wielkości Gałajdzie. Miał Gałajda w garści ciupagę, której obuchem głazy ogromne łupać było można, która Krzysiowi bez mała pod pachę sięgała, a której lada kto więcej godziny by nie poniósł; ku temu nóż straszliwy za pasem

i procę, z której kamienie, jak głowy dziecinne, umiał Gałajda puszczać.

Wyszedł naprzeciw nich Marduła wybryzowany jak na wesele. Pióra z cietrzewia miał za kapeluszem, nowy serdak i portki cyfrowane czerwono.

Na jednym ramieniu miał rusznicę, na drugim łuk, za pasem pistolety i noże, ciupagę z kólkami zberczącemi w garści.

— E, aleś tys strasny! — rzekł Krzyś.

— A jaby sie tobie i tak nie zląk — rzekł po mału Gałajda, patrząc na Mardułę.

— Nie zląk byś!? A ja by sie tobie moze zląk!? — krzyknął Marduła.

— He he he! — rozśmiał się Gałajda niskim basem.

— Jak bedzie cas, pudziemé za pasy — rzekł Marduła.

— Jedyć ta jak pudziemé, to pudziemé — odpowiedział Gałajda i ruszyli w drogę, Marduła naprzód, potem Krzyś, na ostatku potwornie wielki Gałajda.

— Wiés, Bartek — ozwał się Marduła do Gałajdy — strąśnie sie mi dobrze idzie. Bedzie cos!

— Moze — oświadczył Gałajda. — Zarobek.

Lekkomyślny i wesoły Krzyś śpiewał:

Ty parobek, ja parobek,  
podźmy oba na zarobek,

ty weź kose, a jo grabie,  
wykosimy źlibek babiel!

— He, wis! — zauważył na to Gałajda.

Marduła zaś, który miał piękny głos i skłonny był do przekazowania się z bohaterstwem, ujrzawszy kilka kobiet nieopodal, rozdarł się na całe gardło po zbójecku, żeby wiedziały, że idzie:

Na Orawskim Zamku wisi troje zelaz —  
uwazujze hłopce, cobyś do nik nie wlaz!

Ale Krzyś figlarne oko ku niewiastom rzucił  
i zabrzączał przeraźliwie przez nos:

Jedzie wóz na przewóz, malowane luśnie,  
dam ci hłopce gemby, jaze mama uśnie,  
jaze mama uśnie, jaze świcka zgaśnie,  
dam ci hłopce gemby, jaze łózko trzaśnie! Ej hul...

— Is! — zauważył znowu Gałajda, gdy baby Krzysiówi wygrażały pięściami, szczerząc zęby szeroko z przyjemności.

I szli pełni ochoty, nadziei i wiary ku Janosi-kowi Nędzy Litmanowskiemu na Nędzów Gronik, spotykając po drodze innych dążących tam uzbrojonych chłopów, a z nimi moc bab, które im towarzyszyły, „zbroje“ i pożywienie niosąc, (jako jest zwyczaj, że dopokąd można, chłop się babą przeręcza), gwarliwe i mowne na potęgę.

Zaszli ku Janosikowi wraz, tamże już sporo luda zastając.

Albowiem na głos Janosikowy, naprzód do dalszych wsi posłany, aby bliżsi, którzy pierwiej przyjdą, nie czekali, schodzili się chłopi, gazdowie i parobcy het od Beskidu, z dalekich stron. Szli Kliszcze i Zagórzanie od Poręby, szli z Ochochnicy, od Babiej Góry, od Stróż, ze Skomialnej, z pod Czorsztyna, od Nowego Targu i hurmem z bliskich wsi: z Ludzimierza, z Niwy, z Rogoźnika, z Czarnego i Białego Dunajca, z Leśnicy, z Trybścia i Czarnej Góry, z Jurgowa, z Osturni, z Poronina, z Zakopanego, z Witowa i Chochołowa, z Maruszyny, Wróblówki, Koniówki, z Podcerwonego, z Międzycerwiennego, z Rdzawki, z Morawczyny, z Łopusznej, z Ostrowska, z Waskmundu, Dębna, Szaflar, z Zubsuchego i Bustryku, z Dzianisza, Działu, Cichego, z Brzegów, z Muru, z Harkłowej, z Knurowa, z kilkudziesięciu wsi dookoła, może do tysiąca ludzi zbrojnych stanęło. Mogło ich być znacznie więcej, ale niektórym baby nie dały iść, niektórym zajęcze sumienie nie dało. A niejednen z tych, co przyszedł, z dolnych wsi, z równi nowotarskiej, na wysokich dzikich skalnych Podhalańów i dzikich juhasów beskidowych i na samego Janosika Nędzę spojrzawszy, żałował, że się namówił, bo co za wojna dopiero będzie, kiedy towarzysze i wódz samym wyglądem przerażają!

Stał Janosik przed chałupą, do wojny już przybrany, od rynsztunku, blach, klamer błyszczący, a chłopci i baby, co go pierwszy raz widzieli, szeptali:

— Is, is, taki je wej, hetman zbójecki, złotem malowany...

Babom i dziewczkom mimo biedy i wojny ckiwo się robiło.

Stała kobieta, którą niegdyś matka jej Janosikowi chciała dać, aby się tylko przeciw szlachcie ruszył, co się mu na szyję wówczas rzuciła, a on ją łagodnie odsunął i rzekł: nie ku orłowiś ty, ba jacy ku pawowi — śliczna i młodziutka Zosia Gahutowa z Cichego. Męża przywiodła, a wzdychała i przypiekało ją.

Koło Janosika zaś stał sztab: Mateja, Gadeja i Mocarny Stopkowie i Sablik stary z gęślikami w rękawie, a nieopodal, tuż przy nich, ustawili się mały Krzyś ze skrzypcami pod pachą, wystrojony i uzbrojony, na dziewczki rzucający zabójcze spojrzenia Marduła i potwornej wielkości Gałajda, któremu najwyższe chłopcy po ramiona były.

Dalej, przed drzwiami domostwa stanęli Janosikowi rodzice, ojciec i matka, starzy, poważni i dostojni, majątkiem i dobytkiem nad klęski i biedy wszystkim groźne wyżsi; Maciuś celadniczek i dwie siostry stryjeczne Janosika, urodziwe

Nędzówny, Jadwiga z Krystką Zubkosowe i brat ich Wojtuś, co kozikiem strugał.

Gdy się chłopci i baby grupowali, a gwar nie ustawał, nagle Janosik z za pasa dwóch pistoletów dobył, tęgo nabitych, i w powietrze nad głowy huknął.

Uciszyło się, jakby makiem zasiał, on zaś na pniak skamieniały, na którym drwa rąbywano, wstąpił, i powiódłszy dookoła oczyma, ozwał się głosem szerokim:

— Ludzie!

Biędzy was dokucajom, złe was derbi, cysto pięknie wyginonć fcecie. Głód, mór, powodzie, nieurodzaj, selijakie niescёнńscia was trapiom, co sie widzi, ize sie s was ino strzёpki ostanom. Mnie ta nic. Samemu. Ojcowizna i macierzyzna moja nie takie casy przetrzimie, a ja sam hoćjek moje złoto i srybło hudobnym ludziom ozdał, kie bedem fciał, to go jesce telo przyniesem, co go ten ato wielgi Gałajda, hoć on konia na grzibiet biere, nie udźwignie.

Od Zelaznyk Bram na Dónaju, bez Zelazne Wrota i Kamienistom Przełęc w Tatrak, my sły-rzej, haw z Gadejom, z Matejom i Mocarnego Wojtkem dukaty przynosili i jak padnie, przyniesiemé. Ale na was, ludzie, biéda. Hoć ta i wtory wyskocy za bucki, to jyno zbabrze. Wstydu narobi, zbójnikiem, jak sie patrzy bądź

wto nie będzie, tak jako i wrona orłem. Mnie samemu tego nie trza, ale sie mi was sytkik luto stało.

Dziadkowie nasi i pradziadkowie hań za Tetry poziérali. Bo hań hléb, hań zboze, hań wino, hań złoto i ciepło. Doliny do cudu, rzéki rybne, po górak dźwierzyny nie tak, jako haw u nas, co sie mało kie zając, abo sarna trefi, ba jyno wilk i ryś; ptaków moc, a u nas jyno oreł strasny na niebie. A kie wiesna przidzie, to u nas dziwaśka drózdz, a hań jaze drzewa śpiewajom i z lasa ci sie wyjńśc niefce, ba ci tak jak złotemi niciami ptaskowie śpiéwający nogi płacom. Jest hań zycie! Co wysiejes, to ci zeżre i lić ci telo nie zgnoi, ani wiater nie weźnie. Tam radość! Słońce świeći i grzeje, wesoly świat. Smreki konarami obite do ziemie stojom, nie takie jak haw u nas wiatrem osiecone; jabka, gruski, śliwy, wiśnie samé na ziem od żrałości spadujom. Świnie mozes hować, bo dębowyk i bukowyk zołędzi telo godnie, co sie same bez lato po lesie wypasom, nie trza karmić. Krowy jedna jak trzy naskie, woły siwe okrutne, konie jak śrybło! Tam ziem!

Dziadkowie i pradziadkowie nasi za Tetry poziérali, a babki i prababki naskie śpiéwowały:

Janicku, Janicku, bęłby s tobie zbójnik,  
kiebyś se wyrubał do Luptowa hodnik!

Dziadkowie i pradziadkowie nasi poziérali za Tatry, a babki tak śpiéwowały ze cemu? Bo sie im w tej twardej nasój, zimnéj, biédnéj, skalnéj ziemi góralskiéj hańten bogaty świat śnił i nocami gwarzili o nim, a biadkali w roki głódów, moru, powodzi: e cemus my tys nie hań, za Tatrami, kie my pono haństela przed wiekami na polskom strone przišli? Tak se gwarzyli sami do siebie, abo pomiendzy sie uradzali! Hań ziemia bogata! Hłopi! W Luptów, na Uhry, za Tatry was powieść fcem, ja Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki, cok po Uhrak zbójował, na ślakuie polskiéj za hłopskom krziwde sie mścił i króla polskiego na jego gazdowstwo po śwedzkik trupak wewiód! Idziecie se mnom?

Długa chwila milczenia zapanowała pośród obecnych, gdy nagle zachwycony Marduła i olśniony Krzyś na gardła razem zawiedli:

Janosik, Janosik, twoje biłe ruce  
budom otwiérały kupieckie truchlice!  
Kupieckie truchlice i krolewskie składy  
budzies se otwiérał Janosicku młady!...

a po nich chłopi, baby, tysiące głów powtórzyło:

Kupieckie truchlice i krolewskie składy  
budzies se otwiérał Janosicku młady!...



Las zahuczał i góry zahuczały. Chwycił Sablik gęśle z rękawa guni, Krzyś skrzypce z pod pazuchy, toż Maciuś celadnicek Janosikowy po skrzypce na wyzkę, nad izby skoczył. A że ten i ów chłop fujare, gęsiolki, kobzę, piszczałkę na wojnę z domu zabrał, żeby mu drogami iść było weselej, zabrzmiał las od muzyki i zabrzmiały góry lesiste w Polanach.

Lecz Janosik jeszcze mówić chciał i z dwóch drugich pistoletów, bo ich miał cztery za pasem, wystrzelił.

Ucichło, on zaś powiódł dookoła po ludziach oczyma i ozwał się głosem szerokim:

Fecie iść, to was powiede! Panów luptoskik, grafów i baronów, na gałęziak obiesiemé, zamki ozbijemé, hajduków pańskik i biskupik, żołmiérzy i zupanów madziarskik pobijemé, wojaków ozezeniemé! Ja sam s towarzisami, s témi haw trzoma: Gadejom, Matejom i Mocarnego Wojtkem, za regiment wojska obstoje!

— Idziemé! — ryknęli chłopci.

Naówczas gęśle, skrzypce, fujary, kobzy, piszczałki zabrzmiały, aż się niebo wzdrygło.

Janosik ojca i matkę w ręce zmarszczone pocałować przystąpił, a oni go w lico pocałowali, poobląpiały go za szyję siostry stryjeczne Krystka i Jadwiga Zubkosowe, celadnicek Maciuś w rękaw go od koszuli pobośkał, i Janosik na

czoło wyszedłszy, strzałem z rusznicy dał znak gotowości.

Z płaczem, krzykiem, jajceniem żegnały baby chłopów, mężów, ojców, braci, kochanków, synów.

A Sobkowi Toporowi z Hrubego, który z łukiem przez plecy, z pistoletami i ciupagą w ciżbie stał, przypomniał się ów pochód wiosenny, kiedy po raz ostatni jako baca owce na halę ku Czarnemu Stawowi wiódł, kiedy potem pan Kostka z marszałkiem Łętowskim na halę przybyli, kiedy później pod Czorsztyń odsiecz panu Kostce wiódł i przez dragonów Sieniawskiego za Nowym Targiem rozgromiony został — a później Beata Herburtówna miłowana, wojna ze szlachtą, Maryna siostra przepadła, znikniona w świecie... Hej, mocny Boże!...

Sobek westchnął, splunął i ciupagę w garści ścisnął.

Krzyś zaś grał mrużąc, siekierę krótką na łokciu zawiesiwszy.

W Kościeliską Dolinę Janosik ruszył i chłopów prowadził, a baby z nimi ogromną hałaśliwą bandą ku odprowadzeniu postępowały.

Było po południu, dzień mglisty i wilgotny. W las wstąpili olbrzymi, co zaraz nad Nędzowym Gronikiem się zaczynał. Przez Kamienistą Przełęcz popod Bystrą Janosik chłopów przewieść chciał, poddowództwo między trzech swo-

ich towarzyszy, Sobka Topora, dwóch Nowobilskich z Białki i dwóch sołtysów od Nowego Targu rozdzieliwszy.

W nocie bez spania on sobie Liptów dla polskich górali zdobyć umyślił. Niejedną noc na tem bezsennie strawił i niejednen raz sobie o Janosikowi o zbójnikowi śpiewać kazał, aż mu plan w głowie śmiałej dojrzał. Ziemi na Liptowi i południowym Spiżu i dalej w gemerskim, trenczyńskim komitacie i ku Koszycom było dość — mieli się gdzie podziąć i słowaccy i polscy górale, a Słowacy za wolność z pod straszliwego ucisku madziarskich panów z otwartemi rękami pobratymców z za Tatr powitają.

W niespane nocie śnił Janosik rzeczy wielkie i cudowne. Śnił krainę szczęścia, sytości powszechnej i dostatku, a by ludzie nie rdzewieli i duch w nich nie upadał, śnił wyprawy dalsze już nie za Tatry, ale za Nitrę, za Niżnie Tatry, za Fatrę, Matrę, Hegyalję, na Morawy, na Śląsk, do Austrii, na równie węgierskie pod Komarno i Budę. Śnił się i marzył Janosik hetmanem chłopskim jeszcze nie takim, jako teraz... I śniła mu się wdzięczność ludzka, miłość, sława, hyr po świecie...

Za plecami zaś jego Krzyś opowiadał:

— Jus gotowe jeść mieli, jyno jesse matka pedziała Sowizrzałowi: lejdze wartko na ocet! — i dała mu gros. Kie poseł, za rok prziseł, ale sie

na progu utknon, prasnon flaske i ozbił jom. Hy — pada — taka to wej wartka robota.

Śmiali się idący za Janosikiem chłopi.

W wąwóz Kościeliski wkroczo i bramę nad Dunajcem minięto. Na polanie, gdzie chłopi miętusiańcy siano kosowali, rozkazał Janosik babom odstąpić i do domów powrócić. Z płaczem, ale i radością, że zdobyć bogaty kraj idą, kobiety chłopów żegnały i gromadą zawodząc do domów poszły. Wysoko brzmiało po lesie: Janosik, Janosik, twoje bite ruce...

Drogą żelazną, górniczą, pomiędzy olbrzymi stary las kroczył pochód ku źródłu w dwie strony płynącemu, ku wodzie tajemniczo z pod skały wytryskającej, pod straszny ów zapadły w turnie żleb, kędy woda w ulewy męty przelewała przez głązy, gdzie smoki, strachy i dziwotwory mieszkały i gdzie nikt bez zgrozy i niepokoju nie wstąpił na ślizgie kamienie popod wilgotne prostopadłe ściany wapienne.

— Hań — mówił Sablik — Mnik mieska. Haństela, kie powódź ma być, wyhodzi z kagańcem w ręcy. Hań on dziewcęta poruwa, pastérki, abo té, co na jagody idom. Hań zginena Salka Pokusczarowa z Miętustwa, Kasia od Komperdy z Carnego Dónajca. I dziwozony hań siadajom i smoki okrutne, oćwiary strasne, z trzoma głowami, jedna barania, druga wilca, a trzecia cłowieca, abo sowy. Haj!

Ciało ma wilce z rybiemi skrzelami. Z jam wyziérajom, a kogo hycom, to ig. Ani sie niedźwiedz nie wybroni. Běl śmiały polowac, Marduła, on temu Frankowi Mardułowi jakisi prapradziadek przydzie. Byka kie za jeden róg dopad, to na ziem prasnon. Na niedźwiedzie hadzał z procom, a kie ubieł, to sam na plecak do wsi prziniós.

Ani nie pruł; z bańdziochami przyniós. Hoć sie mu zaśmierdział, to pokazał, kielom siéle ma. Bywujom niedźwiedzie, co i do dziewięci centów wazom. Haj.

Razu jednego straciél sie mu niedźwiedz, co przed nim uciekał. Bez przelące z Hohołowskiej Doliny. Ale jemu ta niedźwiedz pilno nie uciók. Noc béła ciemna, Marduła bél hłop śmiały, ale nie móg za nim iść po ćmie. Słozył watre na płasience na kraju i siad. Co sie działo, to niewypedziane rzeczy! Całom noc barany becały, wilki wyły, sowy hukaly, a i głosy ludzkie słyhno béło. Cosi w źlébie cud robiéło! Marduła nie jyno nie usnon, ale ani nie lóg, ba jyno siedział i ciupage w garzci trzymał. Widziała sie mu ta noc za pięć nocy. Lemze namieniało na świtanie, Marduła wstał, ciupage przy nim, proce miał nagotowionom i idzie. Nalaz jyno kości z niedźwiedzia. Ja tak uwazujem, ze go hań nie miały zjeść wilki, ani liski ogryźć. I on ta tys tego nie radziél pote do ludzi, ze Marduła. Padał, co hań

nawet mało znać bęło, coby sie niedźwiedz bro-  
niel komu, abo cemu. Taka potwora z trzoma  
głowami musiała go wej przysiednonć, tozto  
wartko niezywy bęł. Ono jyno pote sie ig mu-  
siało więcél zlecieć i o mięso sie wadziły, abo  
moze i bięły między sobom. Temu telo holofu  
bęło. Ale po nik oślady niemas, bo to duhy. Do  
saměj śmierzci to Marduła opowiadał. Haj.

— Słyseliście? — wyrwał się z szydercza któ-  
ryś dowcipniś z dalszych wsi, z nizin, gdzie im  
te rzeczy obce były.

— Słysałek; prosie kwiknonć — odpowiedział  
Sablik mgliste, sępie, stalowe oczy zwracając na  
śmiałka.

— Dostałeś, siedź cicho! — ozwały się głosy  
i dało się słyszeć kilka klapnięć po kapeluszu.  
Mędrsi chłopci wiedzieli: kto Sablik.

A zaś Krzyś mówił:

— W jednej wsi bęła taka baba strasnie mą-  
dra. Syćkom prawde wiedziała i wse ludziom  
wróżyła, co wtorego cęka ceka, abo kie umre?

Nalaz sie hłop, co sie strasnie śmierzci bał  
i poseł do niěj. Zapłaciel jej dobrze, bo jej dwie  
kury dał, coby mu jyno pedziała, kie umre.

Ona mu pedziała, ze jak pudzie do młyńa,  
wywali sie, to jus po nim, to zaraz umre.

On uwierzel i kie seł do młyńa, ślizgawica  
bęła strasna, juści raz sie wywaliel.

Lezy i ceka, kie przydzie śmierzc, coby umar.

Przileciała świnia i zaczęła mu worek ze siaciem targać. Tardze, tardze, a on nic. Leży.

Jaze kie sie tężej wzięna do niego i jus owies jadła, hłop zacon krzyceć na nie, haj, załośnie:

— Je ksy! Pudzies do hléwa! E, myrsyno jedna, kieby ja tész hoć końdek zywy bél, dałbyk ci tész, aj zebyk ci dał!...

Dalsze słowa opowiadki Krzysia zgłuszył śmiech ogromny. Śmiali się chłopci, aż dolina dudniała. Jeszcze tylko tyle słychać było:

— Babsko miał wielgie i tęgic, juści taka hłopa owładze.

Milońsik biéda zjadła, aj zjadła, namocyła powróz. Trzi dni sie mocyl...

...cudecki sie robiéło...

Jyno ty hłopie bab słuhaj, to ci wse źle wyjńdzie...

Jedna ci nagada bzdur, a druga cie za to pote rozumu naucy...

— Hej wiera, naucy! — westchnął któryś z głębi serca ze słuchaczy.

— Cy cie naucyły, Scepan? — zapytał jakiś sąsiad.

— E, jaze mu włosy wyprzały pod kapeluse!

— Wto wié od cego!?

— Bajto!

Krzyś obejrzał się, łypnął ku owemu Szczepanowi, z Lasku, czy z Niwy, figlarnem okiem i zanucił:

Kiz to djasi za wóz taki?  
Ja smarujem, a on sapi!

Salwa śmiechu zatrzęsa lasem.

Uzaliło się na to wspomnienie młodemu sercu, co w tłustem ciele któregoś parobka z Długopola mieszkało, jakiejś ostawionej w domu Bronci, czy Marysi, i na wsiańską powolną nutę żałośliwie zawiódł:

Tak sie mi zdawało, ze w lesie gorzało,  
to sie mojej miłej lico rumieniało...

ale stary satyr Krzyś w te pędy go na tę samą  
nutę cynicznie wyszydził:

U mojej dziewcyny w piątek namówiny,  
w niedziele wesele, w poniedziałek kćiny —

a żałośliwie, a ozwlekle, po długopolsku...

Ale słynny z pięknego głosu Jędrak od Wajlinej z Zakopanego zawiódł, a wszyscy ucichli i słuchali:

Ta moja dziewcyna raniusicko wstaje,  
a moje nozecki po rosie poznaje.  
Zdradziłeś mie zdradził, kogozej sie radził?  
Radzilek sie ciebie i Boga na niebie...

Tak śpiewnie i wesoło i rzewnie szły twarde,  
osiekałe i lekkomyślne chłopcy góralskie na wojnę,  
na hléb, na miéso, na wino, na złoto,



Tylko jeden Szymon Bafija z Działu, chłop koło lat pięćdziesięciu, którego okrutna, wściekła nędza wyгнаła z chałupy, wysoki, chudy z natury, a wychudzony niedostatkiem, jak drewno, z ptasim z głodu profilem i świecącemi, jak próchno w nocy oczami, ponuro poglądał po czarnych odwiecznych smrekach, zwieszających z uboczy nad idącymi konary.

Skapać w domu, czy zginać za Tatrami było mu jedno. Odszedłszy z chałupy przynajmniej nie patrzy na podobne do szkieletów żonę i dzieci. Szedł z kosą na ramieniu na sztorc nastawioną, słaby tak, że ledwie nogi powłóczył. Sam się ze siebie w duchu śmiał — dziecko dobrze uchowane przewróciłoby go na ziemię.

Nędza, bez której dnia ani godziny, ani minuty nie przeżył, odebrała mu wszelką zdolność wiary.

— Zginie Janosik i wyginie sytka — myślał — ale to jedność, tu, cy hań. Taka śmierć węgierska, jaka i polska. A moi ta by i przy mnie wykapali...

Szymon okropny los przewidywał, okropny koniec wszystkim, ale szedł. Widział on Janosika na haku za pośrednie żebro powieszzonego, a koło niego szubienice jak okiem sięgnąć, a na nich chłopi wiszący.

Minęli czynne za królów Zygmunatów kopalnie żelazne i srebrne, poopuszczane sztolnie,

kędy hawiarze rudę dobywali, i przyszli na miejsce, gdzie kościół miał stać i w ziemię się miał zapaść. A to dla ogromnych grzechów górników, którzy djabłom dusze zapisywali, byle ich djabli do żył metalu wiedli.

— Toz to dobrze nie bardzo — mówił Sáblik — zgniéwał sie Pan Bóg i z kościoła w łunie wysył, a lemze jyno wysył, djasek przileciał i kościół w ziem wepchnon. Trzi dni do pchał i trzi noce, bo sie kościół, hoć bez Boga, na ramieniak krzizów na dahu i na wiezy stawiał. Jaze go wepchnon. Ale zwony pod ziemiom zwoniom, bo hań kościół nie zmiérwiony, cały stoi, jaki bół. Jus go i odgrzébśc prógowali, béli tacy Jawolcykowie z Cihego, bo hań śrybelne i złote sprzęty, kielichy, monstrancyje, ornaty ostały, ale sie dokopać nié mogli, tele dale do ziemie wjahał. Ale hań stoi, jaki bół, i zwony w nim na Janioł Pański zwoniom. Haj.

Więc chłopci idąc słuchali i słyszeli pod ziemią: din — don — din — don, a święta groza przenikała ich członki.

Nabożny Szymczyk z Ludzimierza klęknął i chciał pacierz zmówić, ale go obok kroczący Kułachów Pieter w ramię trącił:

— Wstańcie, kumotrze! Coz sie bedziecie modlić, kie hań Boga niéma! Nie słyseliście, jak ten stary Podhalan padał, ize w łunie wysył?

Niemniej czyniło wielu znak krzyża, Krzyś zaś zauważył:

— Bedzie sie hań djasek ucył na organak grać, bo sie nie musi świenconom wodom przy dźwierzak zegnać.

Gdy zaś Smreczyński Staw i Tomanową Polską bo boku mieli, ozwał się Sablik:

— Jest hań na polanie pod Tomanowom skamieniałe owce i juhasi przy nik i psy. Jednego lata biędzy przisły wielgie, psoty i ludzie ik tak naśli, kieby zamarźnionyk, lód na nik bęł, taki sreń. Skamienieli. Owce sie do kupy zbiły, a juhasi przy nik siedzom, jeden przy drugim. Oni pono béli kajsi z precka, ode wsi, jaze z pod Obidowy. Bo to béło dawno, jesce haw pod halami ludzie nie mieskali, ba ze świata z dalsa z owcami paść przychodzili. Haj. Tozto miał baca jakomsi kohanke, strasnie wierna mu bywała. Kie sie du domu nie przyredykali z hól z owcami pod jesień, wzięna jom niespokojność i posła sukać. Jidzie, jidzie i zasła i uwidziała tyk skamieniałyk juhasów i bace miendzy niemi. Od zalu sie hań w ten Smreczyński Staw ruciła. Kie ciémna noc, na nowiu, abo na wietku miesiąca, we psote, w siompawice, co mało co bez gme widno, wychodzi ta kohanka tego bace z wody i jidzie hań na polane, ku niemu. Té skamieniałe psy zacynajom skucéc, haj, załośnie, a jeden juhas, co kobze miał, brzęcy, ale tak,

kieby mu wej płakało w miehu. I ona jajcy po lesie, płace, coby i śmiałego przejena. Tak to wej sie udarzy, seliniejako, roki lecom, wieki sie mijajom, a ono wej trwa aj trwa. Nie zginie. Haj.

Góralom z wielu wsi, którzy Kościelisk nie znali, wydawała się ta dolina jak zaczarowana. Owe strome podniebne skały, w mroku, końcami czerwone i ogniste od zachodzącego słońca, po których las się wspinał i po których miejscami płynąć się zdawał; owe turnie przedziwne, mnichy, olbrzymy, widma, sowy kamienne, przy nieustannym jednotonnym, posepnym szumie wody serca przejmowały poszanowaniem i niepokojem.

A szli rozmawiając o nędzy swojej, o biedzie, o klęskach, co ich na wojnę za Tatry gnała — na hléb, na mięso, na wino, na złoto, którego w Polsce brakowało.

Potem, gdy wąską ścieżką leśną wśród olbrzymich mchami orosłych drzew przeszli i wstąpili na zgubioną w lasach halę Pyszną pod Bystrą i Kamienistą, skąd widno było ku Kamienistej Przełęczy, Janosik im na noc się rozłożyć rozkazał.

Ziskrzyły się krzemienie o ocel w tórbce przyniesione i mnogie ogniska zapłonęły. Nie warzyć strawę, bo tej prawie nie było, ale się

ogrzać, bo wicher od Wschodu na pogodę wiał i ziombił. Pośród mnóstwa migotliwych mgielek stu barw niebieskich, szafirowych, złotych, szmaragdowych, bronzowych i srebrno-żółtych, jakoby przelatywał niezmiernie wartko i rwał się w strzepy jasno świecący sierp miesiąca na niebie niebiesko-szafirowem, pełnem niknących i odsłaniających się z pod szybkich mgielek rubinowo i szafirowo-złoty zwiewnych gwiazd. Niebo całe grało muzyką barw, jak skrzypce wysoko strojne, na których nie ozwie się gruby ton, ale które jakoby płoną całe migocącemi, świetlistemi dźwiękami, wartką, śmigłą ręką mistrza dobywanemi. Dzwoniła w miesiąc i w gwiazdy przewiej obłoczna nieba rozścielona ponad skałami, kędy cisza wiekuista leżała w wicherze i wysokości.

Patrzył wgórze Janosik ległszy przy watrze i zwolna szerokim głosem zaśpiewał pieśń starą, którą rad w górach wysokich śpiewywał:

Pasał Jano dwa woły,  
pasał Jano dwa woły, dwa woły,  
u zelenej u hory,  
u zelenej u hory.

Zašli k'niemu hajnicy  
zašli k'niemu hajnicy, hajnicy,  
swatojańscy zbójnicy,  
swatojańscy zbójnicy.

Daj nam Jano halenu,  
daj nam Jano halenu, halenu,  
spasałeś nam jarynu,  
spasałeś nam jarynu.

Ja wam halenu nie dam,  
Ja wam halenu nie dam,  
bo sa s wami pojednam,  
bo sa s wami pojednam.

Tak sa oni jednali,  
tak sa oni jednali, jednali,  
aż Janika zabili,  
aż Janika zabili.

Janik lezy zabity,  
Janik lezy zabity, zabity,  
i halenu przykryty,  
i halenu przykryty.

Wtoze nad nim narieka?  
Wtoze nad nim narieka, narieka?  
Ociec, matka, frairka,  
ociiec, matka, frairka.

Ociec matka ze łzami,  
ociiec matka ze łzami, ze łzami,  
a frairka z rękami,  
a frairka z rękami.

Ociec matka załośnie,  
ociiec matka załośnie, załośnie,  
a frairka fałośnie,  
a frairka fałośnie!...

Szeroko brzmiał na las potężny głos hetmana, któremu nikt wtórować nie śmiał. Unosiła się siła Janosikowa pieśnią z piersi, która muzyce nieba odegrać muzyką czuła się zachwyconą. A gdy echo Janosikowego głosu przebrzmiało i chwila uszła, na dobytých z rękawa czuchy gęślikach, wsparłszy je o ramię, zabrzączał Sablík siwowłósy i po chwili śpiewać począł:

Miał se Siecka,  
miał se Siecka  
troje dzieci,  
kazde w swoju,  
kazde w swoju  
stronu leci.

Jedno leci,  
jedno leci  
w ciémnu horu,  
drugie leci,  
drugie leci  
w bystru skału.

Trzecie leci,  
trzecie leci  
w cudze ziemie,  
suka sobie,  
suka sobie  
wyzywienie.

Ja sem nieboracek,  
nieboracek  
wielmi stary,

nié mogem im, nié mogem im  
kisić strawy.

Skrzidelka mi,  
skrzidelka mi  
opadały,  
a rucki mie,  
a rucki mie  
obolały...

Tak se wej stary Maciek Siecka nieboscyk śpiéwował — począł mówić Sablik — kie jus na polowanie hodzić ustał. Nie béło nadeń koziara. O bo nié! Cy kraść, cy strzelić, cy z proce. On i zywe kozle za nogi hyciél: A to béło tak: lóg na takiej pułece nad Wielgim Ogrode w Hrubym Wiérhu, w turniak, na grzibiecie, a my nań z brate Józke kozy nagnali. Wąsko béło, tozto kozy bezeń skakały. Haj. A kozle, co na zadku hipkało, on dopad za nogi. Dobrze co go nie zrucieło, bo hań strasne przepaści. Zniós go dołu, do wsi, i plekała go domowa koza, sało, ale zdechło. Abo mu dyhać béło nisko, abo mu mléko nie hasnowało — nie fciało sie hować. Nié.

Rzadko on w doma na Łązku siadował, bo go to nie ciesyło, ba go jyno góry ciesyły, tak, jako i orła. Ale pote biéda na niego przisła, dyhawica go hyciła, co ani kroke pod góre krocyc nie dało, synowie sie za zarobke ozlecieli, kajsi na Uhry pošli, to se on biédny przed hałupom



siedział, poziórał ku wiérhom i tak se lamentował. Jaze usłysała śmierć, co kanysi bez Łązek sła, zlutowała sie nad nim i wziena go. Haj.

Zachodziła powoli noc. Niebo ciemniało, z niebiesko-szafirowego stawało się ciemno-granatowe, prawie czarne. Wiatr rozdał mgły i na pośród nieba zawisł w bezdni szczytom i mgłom niedosięgly miesięczny sierp, biało-srebrny, lśniaco błyszczący, z różową osmużką, ostrym brzegiem na niebie wycięty. Orły i jastrzębie ogniskami pobudzone odzywały się pociągłym piskiem z turni, a zwolna las napełnił się rykiem, bekiem i jakoby fujar olbrzymich przeraźliwym głosem: to jelenie odprawowały po polankach leśnych rykowisko.

Po kosodrzewinie, poniżej po lesie i dookoła po upłazach szumiał wiatr. I jakby jedną myślą z tysiąca piersi dobyty, zagrzmiął w pustynie skalne krótki śpiew, westchnienie zbójckie:

Świeć miesięcku świeć mi wysoko, nie nizko,  
bo ja ide na zbój daleko, nie blisko!...  
Ej na tej polskiej stronie, ej daj nam Boze zdrowie,  
na węgierskiej ceście daj nam Boze szczęście!...

Powoli cichła gwara ludzka. Jednych począł morzyć sen, a drudzy myśleli o tem, dokąd idą, poco i czy wrócą jeszcze? Niedola ich na wojnę gnała, na zdobycie ziemi...

Koło Janosika towarzysze już spali, nawet Sablik mamrotał przez sen, choć on nieraz noc całą przeszeptał sam do siebie, we wiatrę szyszki i gałązki rzucając.

Zasnął i on, jeden tylko jeszcze Krzyś jedno oko miał otwarte i nucił, stary zbereźnik, pod nosem:

Napić by sie napić, kieby co dobrego,  
kiedyby obłapić, coby co godnego —

i chrapnął.

Ale Janosik nie spał. Wracał pamięcią w tę noc, kiedy z leśniczanką Weronką obcował, która się go pytała: wrócisz? — której rzekł: wrócem — która mu mówiła: takiś mi jak ten las — której rzekł: bierem s tobie miód, jako pscoła z bezu...

A potem się mu jęło marzyć. Rozszumiał się las pyszniański, wiekuisty las...

Waligóra z Wyrwidębem, Pętorzek z Wódpuscem, Łamiskała z Walilasem wielcy Toporowie, co Hrube wykarczowali, i potężny przodek Janosika, Jano z Gronia, który sam jeden hałę Miętusianów napadał, bacę i juhasów pobił i siedm sto dojek uwiódł, miętuskich gazdów zniszczywszy, że potem wołali: nędza! nędza! — a stąd mu nazwisko Nędzy nadano — przyszli mu na pamięć.

Ogromny wiekuisty pyszniański las szumiał i kołysał mu ich wielkie nieśmiertelnej chwały

postacie. Waligóra, Wyrwidąb... Pętorzek, co rzeki pętał, z tramów olbrzymich jazy budując. On, powiadają, Dunajcowi w Ludzimierzu koryto odwrócił, pod brzeg nowotarski go gnając, a tylko błotne, sitowiem zarosłe Mocary i Dunajcyska, gdzie kaczki dzikie siadują, po dawnej rzece zostały. On, powiadają, potok na dom młynarza w Ratułowie w czas powodzi przykopał, piersią swoją zatrzymał. Szeroką miał pierś. A młynarz córkę piękną.

Wódpusc, co potok w Kalatówkach z pod głazów puścił, bo mu się wody luto stało, że pod skałami jęczy i dobyć się nie może; którego Bukowianie prosili, aby im w ich gołych suchych wierchach źródła pootwierał, i byłby to zrobił, ale go zmierzili, bo chłopci od wiatru ustawnego postrachane włosy mieli, a na każdym włosie wesz siedziała, co właśnie często i Krzyś opowiadał. Zbrzydzili go widokiem niehlujnym i do dziś wodę z doliny w lecie na wózkach, w zimie na sankach w beczkach do chałupy wywożą.

Oni dwaj się stawili ze sobą, Wódpusc, że w Kościeliskach w źródle wodę puści, Pętorzek, że ją zatrzyma. Ale gdy Pętorzek jeden strumień wody piersią swoją zatrzymał, Wódpusc w drugą stronę strumień zwrócił, a gdy Pętorzek nie mógł zdążyć na obu korytach hamować, zakład przegrał, wszystko złoto w Krzywaniu.

Zato Pętorzek wodę na Czerwonym Wierchu, co się wysoko w słońcu grzała, skałami tak olbrzymiemi zawalił, że jej Wódpusc odkopać nie mógł i musiał jej jamę w skale kuć i w Kościeliskach dopiero z pod skały ją puścił, a kuł jamę w Czerwonym Wierchu trzydzieści lat. Od huku i łomotu wewnętrznego góry pękały i stąd tak straszne krzesanice Kościeliski wąwóz obległy.

Oni, gdy deszcz gwiazd spadł w Kamiennej Dolinie pod Czerwonemi Wierchami, zwadzili się ze sobą. Pętorzek staw świecący z gwiazd utworzył i kozice w nim kąpał, że jak złoto błyszczwały i góry od nich zaśniły, a w nocy zdawało się, że płomienie po górach się snują; ale zadrośny pasterz owiec, Wódpusc, rozdarł skały i staw wąwozem spuścił i piargami zasypał, a ten wąwóz w Kościeliskach leży i potwory w nim siadają.

Wódpusc owce pasał, Pętorzek stada kozic, juhasi byli setni. A gdy Wódpusc ze stawów dla swoich owiec rzeki jał puszczać na hale poniższe, Pętorzek dla swoich kozic jał stawy budować w niezmiernej wysokości Tatr, kędy się owce przybliżyć nie śmiały. Zato mu orły na Wyżni Staw Terjański skrzydłami lodu nazwlekły i staw lodami zawaliły.

Oni chwałą swoją napełniali góry i doliny — Waligóra, Wyrwidąb, Pętorzek, Wódpusc, Łamińska i Walilas Toporowie, co Hrube wykarcz-

wali, Jano Nędza z Gronia, co Miętusianów do nędzy przywiódł. I wielu, wielu innych, choć mniejszych potęgą, było później. Sablik o nich pieśni śpiewać znał, o wielkich zbójnikach Nowobilskich, o Wojtku Malcu również z Białki, co sto lat mając, hajduckiego tańcował i pod Murań na Spiż woły chodził kraść, o wielkich strzelcach, co niedźwiedzim kufy i łapy rzemieniami wiązali w lesie i w doliny na barach je nieśli, o śmiałych chłopach, co z królem węzów i jego zastępcami; z Tatarami; ze zakutymi w zbroje rycerzami, którzy dziewczki porywali, walczyli zwycięsko.

Ogromny pyszniański wiekuisty las kołysał Janosika szumem o sławie przodków.

Lecz większą on sławę osiąść mógł lud cały z biedy, nędzy, ubóstwa, w krainę dostatku prowadząc. On jakoby królem nad narodem mógł stanąć, świat mu na nowo stwarzając. Odmienne życie, życie szczęścia chciał Janosik góralom swoim stworzyć. A wówczas w dalekie wieki szumieć będą wsze lasy tatrzańskie jego imię: zbójnika nad zbójniki, mężnego nad mężne, hetmana nad hetmany. Błogosławieństwo polskie i groza węgierska imię jego wieńczyć będą, jako świerki zielone wieńczą strzelistą turnię w Białem pod Giewontem.

I zdjął Janosika sen.

A gdy się ocknął i spojrzął na siebie, już na bielejącem niebie gdzie niedzie tylko migotały gwiazdy. Nadchodził świt.

Wówczas powstał on i gwizdnął.

Świst ten, jak tysiące strzał, roztrysnął się dokoła i las sobą nappełnił. Dźwignął głowę z ziemi Krzyś i mruknął:

— Hej, babie w rzyć! Djasi temu na zębak pazdury brusom!

Niejednom, kieby słysała, jako kiebyś sydłem źgnon. Telo jom podrucci na pościeli. Myślałaby ze wto wie co? Cy jom djaboł igłom na nitke nie nawłók?...

Porwali się na znak hetmański Mateja, Gadeja, Mocarny Stopkowie, siadł na trawie stary Sablik i dłońmi po wilgotnej trawie pociągnąwszy, twarz sobie i oczy rosą przetarł; pobudzili się chłopci. Marduła trzykrotnie wgóre wysoko na ochotę podskoczył i palcami obu rąk mocno się trzykrotnie po skórzanych piętach od kierpców trzasnął.

I zaraz cokolwiek, co jeszcze kto miał, zjadłszy, w pochód dalszy, na Kamienistą Przełęcz ruszono. Bielał świt, gdy po czerwonych piargach i żółkłej jesiennej trawie, zimnym szronem pokrytej, w chłód po uboczy wspinali się chłopci, a gdy ostatni wyspinał się na siodło i przepad stromy, świecił się w zorzy porannej świat.

Jasno-różowo błyszczalo niebo z poza Krywania i blask złocisty padał na ciemno-zielone Niżnie Tatry Liptowskie, a dolina u stóp jeszcze leżała w mroku. A gdy powoli światło stopiło mrok, ukazały się mgławice szare nad ziemią, nieruchome.

Ale zwolna poczęły rzednąć i przedzierać się mgły, ukazały się białe dziedziny, wsie i miasta i zasrebrzył się bystroprądy Wag.

Prybilina, Królewska Lehota, Poręba, Hradek, Mikułasz — liptowskie wsie i miasta, gdzie bogate sklepy i dwory, gdzie się pszenica rodzi i wino, gdzie pod chleb siwemi wołmi orają...

Gadeja, Mateja i Mocarny Stopkowie, towarzysze Janosikowi, zawiedli na ten widok chórem co zawsze, gdy Tatry z hetmanem przestąpili, śpiewali:

Na dole, na dole siubienicek troje —  
wybiéraj se šuhaj wtore bedom twoje?...

Patrzyli wdół: pod stopy swoje w długie, głębokie, niskospadłe wąwozy Kamienistej Doliny, pusty, dziki i posępny, kosodrzewem i karłowatymi smrekami nad ciemnym lasem porosły, i dalej na dolinę Liptowa het pod Dziumbir, górę wyniosłą. Jakoby ogromnym sierpem rzucił, coś przemknęło poniżej przed oczyma chłopów: to ryś, zwykły mieszkaniec tych stron, w olbrzy-

mich susach przemknął od zachodniej ku wschodniej stronie uboczy i znikł w kosodrzewinie.

Potem zbliżyło się ku nim dziwne widmo, w czarnych sukniach, z długą pomierzwioną siwiejącą brodą i takimiż włosami na kark obwisłemi. Na plecach worek nieregularnego kształtu dźwigało, a pilno patrzyło po trawach.

Kto znał, poznał, że korzeniarz. Litworowego cudownego korzenia i ziół zbawczych lekarskich szukał.

Gruby ten mały stary człowiek podszedł do Janosika i ukłoniwszy się kapeluszem, rzekł:

— Szukają skarbów — tam... Niech idą... Hetman...

— Głupi — szepnęli do się chłopci, a Janosik spytał:

— Wto suka?

— Trzej... Od Krakowa... Niemcy... Tam — u Raczkowego Plosa... Pod Kończystą... Niech idą... Zabijają... Wezmą... Wielki hetman... zbrojecki...

— Skądże mie ty znas? — zapytał Janosik. Stary wznosił ręce do góry.

— Co!? — zawołał przez gardło z nabożeństwem.

Dał mu Janosik dukata z pasa; korzeniarz go pod nogi podjął, poczem rzekł sepetlawo:

— Sablik!

— Tyś tu? — odpowiedział Sablik.



— Hy, hy, hy! — zaśmiał się korzeniarz. — Pan leśniczy... w kolebie... panic... fuk! fuk! fuk!...  
Czynił naśladowanie ognia.

— Podpaliliście, krzesny ojce? — zapytał Janosik Sablika, ten zaś odpowiedział:

— Podpalilek, na spaniu, w sałasisku. A dźwiérzek zapar.

— Ka?

— Pod Osterwom. Widział. Łazi. Trzy roki temu... Edź!...

— Tak trza. Z przeskomom — przychwalił Krzyś.

— Ryś przed tobą uciekał — rzekł Janosik do korzeniarza.

— Spérkę zjadł... W kosodrzewinie... Kanalja...

— Skądeś ty, dziadu?

— Z Warszawy... Z krakowskiego Przedmieścia. U Panów Kazanowskich służyłem.

— Dawno na korzenie hodzujesz?

— Trzydzieści lat... Do Krakowa... Niech idą... Skarbów szukają... Niemcy... Kupcy krakowscy... Księgi mają... Czarnoksiężskie... Duchy klną...

— A tyś szukał?

— Szukałem...

— I coś znalazł?

— Duch skałę puścił... — i uniósłszy kapełusz, pokazał zabliznioną ryse na głowie.

— Bez toś tys pewnie zgłupiał, dziadu — ozwał się Krzyś. — Kaześ sukał?

— U Żabiego Plosa... Pod Lodowym... W Jaworowych Sadach...

— No wis! Kielo to światu zeseł górami — zauważył Gadeja.

— Uhél sie! Bo idziemé — rzekł Janosik, odgarniając go ręką.

— Idze, weredo, bo ci wezmem torbe — rzekł Krzyś udając że sięga po torbę korzeniarza z ziołami.

Korzeniarz udał, że się przeląkł i kłaniając się nisko, cofnął się w bok do kosodrzewu, gdzie się stracił w płątwie konarków.

Janosik patrzył na dolinę przed sobą i mężne, bohaterskie serce wzbierało mu w piersiach. Czuł się jako orzeł nad światem. Ziemia leżała nisko, drzemiąc jeszcze o poranku, on zaś jako wiatr halny kłębił się w górach, wewnątrz Tatr, jako tuman chmur z za skał i wierchów się dobywał, by runąć na nią i zagarnąć w panowanie.

— Hej haaa! — zahuczał nad ziemią, podobnie jak się wiater halny głosi hukiem w turniach, nim spadnie na nizinę.

Na tej przełęczy kamiennej ważyły się losy tysięcy i jego. Stał na granicy, prawą nogą przy ciupadze na polskiej, lewą po węgierskiej stronie.

— Hej haaa! — powtórzył, a echo poleciało skałami.

I ruszył naprzód.

A za nim ruszyli chłopci.

Gdy w las zeszli, Józek Tatar, co się był na bok oddalił, młody siedemnastoletni chłopiec z pod Kopy, przybiegł wystraszony, wołając:

— Trup! Trup!

— Ka? Ka? — zapytano.

— Hań! W smreckak! — i ukazał ręką.

Poskoczyło kilkunastu ludzi. Sablik z nimi. Ujrzeli człeka nagiego, leżącego na ziemi nawznak.

Nie było na nim śladu obrażenia.

— Co się mu stało? — mówili ludzie. — Nie ubliżył mu nik na ciele. Rany niéma, ani krwie zasknionój. Cozto sie stało!? Co?

— Hehehe! — roześmiał się Sablik. — Góry go zjadły!

— E jako? E cozto? — zapytywali niżniejsi hłopi Podhalanów. — Co on radzi, ten stary?

— Je wtoz wié, co on myśli? — odpowiedzieli Podhalanie. — To wilk...

— Góry go zjadły aj zjadły — powtórzył Sablik. — A złodzieje odzienie wzieni. Cy to piérsemu tak?

— Góry zjadły człeka! — powtórzyli niżni górale, z trwogą się po pustych zielono-żółtych polyskliwych jesiennych upłazach rozglądając.

— A wicie!? — rzekł Sablik, który bystro po-

patrzył. — Tu wej znak na drzewie — i wskazał końcem toporzyska na krzyż nacięty na skoruszy.

— Ale tu jus pod niom nie bedzie nic. Abo zradziël, abo fciał zradzić. Towarziskik piénien-dzy nie bees sam brał. Abo cie towarzisia wy-placom, co ci w uhu zazwoni. Zaźréjcie mu do uha, hłopczy! Ma kołek?

— Kołek? Jaki kołek?

— No jyno patrzcie!

— Hej wiera! Na mój sto prawdu! Kołek ma wbity do uha! Do lawego! — zawołał Pitoń z Polan.

Sablik powiódł triumfująco mglistemi swemi sępiemi oczyma po otaczających, którzy nań z adoracją patrzyli.

— Jesce mie starego nie przebierecie! — rzekł z dumą. — Onacyłek po halak kope roków, to sie ig do siódmej skóry nauczył. Kie ci dorote wbi-jom — —

— To sie jus na jadwidze huział nie bees! — wpadł Sablikowi w słowo rozpustny Krzyś.

---

dorota — gruba krótka świńska kiszka, tu w przenośni: kołek.

jadwiga — korzeń smrekowy, na jednym końcu w hak zgięty do zaczepienia na żerdzi, na drugim karbowany, na którym się wieszka w szalacie kocioł z mlekiem nad ogniem.

— O bo wiera nie — zakończył Sablik i świ-  
snawszy lekko parę razy przez zęby, gdy chłopci  
w zdumieniu około zabitego stali, począł ma-  
mrotać niewyraźnie pod nosem prastarą górniczą  
pieśń:

Hawiare idu, hawiare idu  
hore dolinu,  
budu w bani skale łamać,  
srebro, złoto dobywać...

— Dziwne cuda w tyk Tatrak — szepnął  
któryś nieświadom, co Tatry, odstępując na  
przełęcz.

Nikt zaś nie mógł opisać, co chłopci widzieli.  
Jakoby tęcze w mgłach nisko w dolinie się wiły,  
jakoby jeziora i stawy spokojne i źródła wybu-  
chające szafirowo-złotego blasku we mgłach się  
zapalały, lub po upłazach i uboczach korowody  
mgieł błękitnych, niby duchów ogromnych, błę-  
kitnych, zadumanych, szły. Było, że w blask  
wśród sinych mgieł jakoby biała pojava skrzy-  
dlata wpłynęła; było, że ze złocistego mgielnego  
stawu inna różowo-srebrna obłoczna wynikała,  
skądś zdołu, z pod chmur płynąca.

Było, że jakoby olbrzymie stada potwornych  
ryb o łusce świecącej w tumany wzdęte szarego  
morza się rzucały, lub z nad doliny wylatał anioł  
o skrzydłach rozhukanych.

Podalej zaś coraz spokojniej, coraz jaśniej rozwierała się liptowska rówień. Jakoby sen na niej leżał różany i złocony. Spokojnie oddychała piersią.

Wtem Janosik Nędza Litmanowski gwizdnął przeraźliwie i zazberczał ponad nią zdobioną w mosiężne obrączki wzniesioną nad orle pióro na głowie stalową ciupagą.

---

Ciężko, pusto było w gazdowstwie starych Nędzów po wyjściu Janosika, jedyne go syna.

Tak było trza — on się ruszył.

Ruszył się, jak niegdyś chłopów karanych mścić: karzącą rękę szlachecką nad nimi zatrzymać, po bitwie pod Beresteczkiem.

Ruszył się po raz wtóry, z lasów z Babiej Góry, aby króla po szwedzkich trupach do własnego kraju i własnego panowania, do ojcowizny, wewieść.

Ruszył się teraz po raz trzeci, za Tatry, nędzę polską zwyciężać, ziemię dla chłopów polskich, dla krajanów swych, głodnych górali, zdobywać.

Milcząc poglądali na siebie starzy Nędzowie, w pięknej białej izbie pod szerokim sozrębem rzeźbionym, na którym powalę wsparto, siedzący.

Tak trza było — Janosik się musiał ruszyć.

Albowiem to była jego sprawa.

On był nato chłop.

On się nato urodził.

Z dumą patrzeli na siebie starzy Nędzowie, rodzice Janosikowi.

Ani go djabeł zrobił, ani mu czarownice koszuli, pasa i ciupagi nie darowały, koszuli, w której jest trwałość, pasa, w którym jest siła, i ciupagi, co się sama przez dziewięć drzwi przerąbie.

Oni to we dwoje, on Jasiek Nędzów z Gronia, najstarszy syn Jaśkowego Jaśka Nędzy Litmanowskiego Bućkosia i Maryny Stopkówny od Cajków, i ona, Kaśka, jedynica u Walcaków ze Skibówki, w woniejącą od łąk czerwcowych noc go spłodzili.

Pełen dumy własnej patrzył Stary Nędza na swoją żonę i pełna dumnego własnego poczucia Nędzowa na męża patrzała.

Zazwyczaj było tak, że matki piękniejsze bywały od córek, a ojcowie potężniejsi od synów.

Ale jak dawno pamięć ludzka pokolenia Nędzów z Gronia pamięta, jeszcze od czasów, kiedy na Zaskalu, między Ludzimierzem, Szaflarami a Rogoźnikiem siedzieli, nie było takiego Nędzy.

— Ani nie będzie.

Ani Jano Miętusiański ani Juro Siumny, nie byli lepsi...

— O bo nie...

On się ruszyć musiał.

Bo jakby on się nie ruszył, to któżby?

Ku niemu, jako do słońca, oczy góralskie patrzyły.



On, choć młody, był jakoby król Podhalu.  
A nie ino Podhalu, ale całej góralszczyzny.  
Takim synem ich Pan Bóg pożegnał.

Bez niego szlachta byłaby chłopów wymor-  
dowała, bez niego byłby król na stolicę swoją  
nie wszedł, on nędzy góralskiej drogę zastąpił,  
szeroką pierśią drogę jej zastawił, on jej z gardła  
ludzi, jak z wilczej paszczyki jagnię, wydrze.

A gdy wydrze, gdy z chwałą i nowem bo-  
gactwem powróci, wtedy się ożeni, godnie i bo-  
gato i będzie gazda na swojej części.

Będzie wesele, jeszcze nie takie, jakie ich sa-  
mych było choć to wesele na sześć mil wkoło  
słoneło.

Jedzie wesele dołu wsiom,  
niek sie nam ludzie napatrzom...

Nad drzwiami umieszczony, naprzeciw mi-  
sternie z cieniuteńkich badyłków uplecionej  
ogromnej ruchomej sieci pajęczej, co złe oko  
wchodzące w dom na sobie zatrzymywała, na  
gwoździu wisiał wian, który stara Nędzowa, bę-  
dąc panną młodą, na głowie miała, wian ze-  
schnięty od lat dziesiątków, który nim uwito,  
chodziła ona po Skibówce, po łące zielonej we  
wielgim maju przed ślubem, pomiędzy kwiaty  
zawodząc:

Coz mi jus po tobie różowy kwiatecku,  
kiedy jus nie bedem hodzić we wianecku?...

Za obrazem zaś świętym, na szkle malowanym, tkwił bukiet ślubny pana młodego Nędzy, ojca Janosika, suchy i zapyłony.

Uśmiechnęli się do siebie Nędzowie.

Ona jeszcze miała tę koszulę, w której do ślubu w Szaflarach jeździła, w skrzyni schowaną, cieńką, jak listek, z szeroką kryzą i w cudny wzór delikatnych, smrekowych gałązek i lilij górskich haftowaną, i gorset miała schowany w złote róże na szafirowej materji haftowany i haftowany bogato biały, przezroczyście cieńki rąntuch na ramiona i buty safjanowe czerwone. I schowane miała do limbowej skrzyni, gdzie się żaden owad nie załęgnie, poszewki z zagłówek z cerkami, haftowane cudownie i pracowicie i cienkie prześcieradła lniane i na dnie skrzyni pięć wojek koralii bez ceny, które na święto kładła, a synowej darować chciała.

Ale nie lada to musiała być dziewczka.

Z gazdowskiego rodu, Toporówna z Hrubego, albo Nowobilska sołtysianka, majątna, robotna, usłuchliwa, zdrowa i piękna. Wiele takich tęskno na Nędzów Gronik poglądało, lecz Janosik żenić się jeszcze nie chciał.

— Więcie, mamó — mówił — wiater lekcejsy, kie nic nie niesie. Hojby jyno gałąż z olsyny, abo i pióro z ptaka niós, juz mu nie tak idzie. Ja jest taki, jako wiater...

Uśmiechała się Nędzowa. Bo z tej natury syna sława, majątek, znaczenie rosły.

Ale smutno z pod powały z za listwy rzeźbionej, pięknie gadzikiem strojnej i o zdobnych wspornikach, patrzyli się na pośród izby Święci na szkle jasno malowani i około bogato w kwiaty malowanych limbowych ciemno-zielonych skrzyń, dostatku pełnych, smutek się błąkał; i smutno na sozrębie widniała cyfra 1550 i napis: Jan Nędza Litmanowski fundator tego domu“, na który stary Nędza poglądał.

Gdyby syn nie wrócił...

Gdyby zginął...

Nie powiedzieli do siebie słowa starzy Nędzowie, tylko popatrzyli na siebie równocześnie.

Więcej niż sto lat stoi dom i gazdowstwo na Groniku się trzymie.

Pan Bóg zegnał i bogactwo rosło.

Miałożby to wszystko osierociec?

Westchnął stary Nędza i jego żona westchnęła.

Ale syn ruszyć się musiał.

Oni go sami nato chowali.

Sama matka ciupagę mu podała.

Uczyli go dumnie się nosić i żeby go świat za co miał.

Nie widzieli ku niemu równego, ani nawet wśród sołtysów, choć się oni, jako Nowobilscy

na Białce, Zychowie we Witowie, ze szlacheckich familij wiedli.

Sami mu mówili, iż niema ku niemu równego.

Sami posłuchu dla niego uczyli uboższych Stopków, dzieci, od Gadejów, od Mocarnych, od Matejów, kiedy chłopcem był.

Oni pierwsi go nad świat wynosili.

W chłodnych, ostrych, wyniosłego spojrzenia oczach starej Nędzowej grube łzy się zaszkliły.

— Poco ja go tys takiego honornego hłopa na świat wydała? — westchnęła.

Takiego hetmana?...

Ale otarła zaraz łzy końcami palców i surowy dumny spokój na twarz jej powrócił.

— Co robić? — rzekł stary Nędza. — Orłowi sie sowa nie urodzi, ba orel. My Nędze Litmanowscy...

— Haj — odpowiedziała Nędzowa. — Trza przystać.

A że krowy wracały z pastwiska, z jesiennej ścierni i łąk, dzwoniąc spiżowemi dzwoneczkami u szyi, powstała gaździna z ławy i wyszła przed próg domu na statek oczyma rzucić. Szły stadem na południe do domu Kwiatuła, Biedra, Krasuła, wysmukła panicka, Węgierka, Środula, Cwartocha, Łysa, Łaciata, Okaista, byczki Paniś i Bukiet i wiele, wiele innych, a za niemi szli z długimi batami i ciupagami w rękach dwaj pasterze dorośli, którzy od wilka i złego człowieka mogli

bronić trzody, i mały chłopiec trzeci z habiną w garści, który się zdaleka darł na głodno:

Słonecko zahodzi, za las zapaduje,  
ta nasa gaździna wiecerzom gotuje,  
gotuje, gotuje, ale nie nikomu,  
jyno pastyrzowi, co zénie do domu!... Hu—huuul...

Osobno krocząc wolno ogromne woły długorogie wracały z paszy, przez dwóch wolarzy zbrojnych w trombity i długie ciupagi gnane, siwe turonie orawskie i cisonie i czarne polskie.

W setki turlików spiżowych dzwoniąc z regli, przez białe psy obganiane i przez juhasów wiedzione, biegły owce białem olbrzymiem stadem wraz z kozami, kerdel nieporównany.

Bogactwo synowe spływało ku domowi.

Wyszedł i stary Nędza poprzód izby i czekał.

— Zaba, gazdo tłuce Cisule — ozwał się starszy pasterz krowi. — Przewyrce sie i strąśnie sie piero.

— Zawiedz ze jom do stajnie — rzekł stary Nędza — zoblec sie i przyruc jom kosulom napak przewyrtnionom, a pote ukąś jom bez grzibiet do trzeciego razu, to jom zarusięki popuści.

Obora się zaroila dobytkiem.

Powrócili do izb oboje Nędzowie. Połednina była gotowa, uwarzyła ją gaździna na czas, a kucharka przygotowała.

Postawiła misę ogromną na stole w czarnej izbie, a wkrótce zasiadł Nędza i jego żona i czeladź, parobcy i dziewczki, dokoła na ławie i stołkach. Była kluska gorąca z jarcanej mąki i po kęsi sperki. Zmówił pacierz Nędza, jako gazda i przeżegnał strawę i długimi łyżkami drewnianymi pięknie rzniętymi, z ozdobnymi trzonki, wygarnowali kluskę pożywający, a do dołka wygniecionego łyżką na dnie misy dolewała gaździna wrzące dymiące się mleko raz po raz ze stojącego obok garnka i każdy na łyżkę go wraz z kluską nabierał.

Po południu zaś, kiedy statek znowu paść wypędzono, przyszły zażreć na stryka i stryne Zubkosowe dziewczki, Krystka i Jadwiga, i ich brat. Wojtuś, co z drzewa sturgował, z kozikiem.

Posiadali pod izbą, bo ciepło było, a roboty o ten czas w polu nijakiej, i poczęli rozmawiać, Wojtuś zaś kawałek drzewa lipowego miękkiego nalazłszy, zaraz zeń strugać począł.

Kształt rósł mu pod ręką.

Patrzył nań długą chwilę stryk Nędza, nie mieszając się do kobiecej rozmowy, która choroby studzelnicy, pomiędzy dziećmi grasującej, dotyczyła, a na którą trzeba było do trzeciego razu wytrzeć dziecku gardło liściem wierzbowym, z wierzby rosnącej nad rzeką i w to samo miejsce liść, skąd się go wzięło, odnieść nad rzekę, i zapytał:

— Wojtuś, je coz to robis?

— Matke Boskom.

— Matke Boskom? I powiędz mi tys, hłopce, skąd sie ci to biere, takie próżnioki?

— Ono mi tak jakosi samo przyhodzi, z powietrza — odpowiedział Wojtuś.

— No a tota Matka Boska, co jom strugas, jako ci do tego przisło? Skądęś pomyślenie wzion? Cosi cie przecie nadethnonć musiało, cobys̄ to robiěl, a nie co ine.

— Ja sie patrzał, stryku, na ziem i nalazek haw lipowego drzewa niekwardego kawalek i trzimałek go w garzci i patrzem sie. I zaconek wej strugać.

— A ci sie przecie Matka Boska haw na ziemi nie pokazała — uśmiechnął się stryk.

— Ona sie mi nie pokazała, ja jom widział w Saflarak w kościele, kie my raz hań jesce z niebozyckom z matkom byli, w ołtarzu. Ale sie mi to sytko, co jek hań widział, przybacuje. Jaby taki ołtarz zrobić fciał. Kiebyk miękiego drzewa dość miał, to zrobiem.

We środku byk postawiěl Matke Boskom z Jezusem na ręcy, z takom obręcaskom cieniućkom nade głowom. Dookoła byk uzdajał gwiazdy, a pod nogami kule, a na niej wąż i jabko, tak, jakok widział. Widzi sie mi, co go w pysku trzymał. No, toby běl ołtarz.

— Wiera haj, bélby — przywtórzył stryk Nędza zamyślony.

— Jaby pote jesce fciał co ine wyrzezać — mówił Wojtuś. — Góry byk fciał urobić, takie turnie wysokie, jako hań kozice po nik hipkajom, oreł ponad nie lace i jako krzesny ociec, Sablik, niedźwiedzia, abo dzikom świnié zabiéł.

— Haj, toby béło — rzekł stryk Nędza.

— No, onoby mogło być, aj mogło, stryku.

Rzekł Nędza:

— Pan Bóg ta dziwtoremu stworzeniu rozmaity talant podaruje. Dzik ma kielce, a będzie hłop do hoćjakiéj roboty zdatny. Ja miał raz taki dziwostworny juhaski nóz, cok sie mu ani wycudować nié móg. Trzonek to miał wyzdajany z mosiądzu, z miedzi, z kości, z rogu, ono nawet i samo śrybło w nim béło, takie obrącki, jedna ku drugiéj poznabijane, a zaś na wiérhu to béło mosięzne denecko, a na tem denecku trzy bulki, jako we zbójeckik nozak bywuje, ale to takie bulki béły, jak słupki, strażnie piéknie wyonacone, a na samym wiérhu na tyk słupkak kłobuk luptowski, z mosiądzu i z rogu, wykarbowany, i zaś na tym miedziana blaska i stalowy gwózdź, co ten kłobuk nim przybity bél, a on musiał het bez pośredni słupek i bez cały trzonek do noza do nuka iść i moze z samej tej stali bél, co i nóz. Tak wej syćko do wjedna uzdajane béło, cok sie dość namyślał nieraz, kiek juhasił, jakom ten



głowe miał, co to robié! A pote jek i ciupage kiejsi takom widział, co po jednej stronie béła na niej nakładziona watra, a naokoło sie wej ludzie na kolanak do tego ognia modlili, a na drugiéj stronie to zaś béło słońce, miesiąc i gwiazdy, a na obusku cosi takie, jak człowiek, w jednej garzci trzymało pierun, w drugiej kule. Starzy ludzie gadowali, bo my sie ta dziwaśkie dość tej ciupadze nausprzypatrzowali syćka na sałasie, jeze to ma być bóg i trzimie świat. A ten, co jom miał, taki Stasek Wirdzinnik ze Starego Bystrego, to padał, ze jom nalaz we młace, kajsi u Wale w Marusynie. Haj.

— E radby ja tys to stryku widzieć! — zawołał Wojtuś.

— Nóz to ani nie wiem, cy ka nie bedzie do spary wbity; dziekiedy to sie pojedno u gazdy wrazi, co i bez sto roków przesiedzi, zakiela sie najdzie. Ma cas. Ale ciupaga to nie wiem ka je, bo to béła Wirdzinnikowa, Stanisławowa. Jest je ta moze ka sowana po nim, abo sie straciła. Bo ta Wirdzinnik juz moze wysy styrdziestu roków nie zyje.

— Cojsi se ta ze stryke ukwalujecie — ozwała się Nędzowa.

— Jedźjek mu gwarzél o tym nozie juhaskim, coś go jesce u mnie widowała, i o Wirdzinnikowej ciupadze.

Dzień jesienny chylił się szybko pod zachód. Od regła na łąkę wyszedł jeleni na przedwieczorną paszę. Widać go było dobrze.

— Ka tys ta teraz Janosik? — westchnęła Krystka.

— Hej wiera, kany je tys? — powtórzyła Jadwiga Zubkosowa.

— Bojno mi oń — rzekła stara Nędzowa, ale stary Nędza powiedział:

— Janosik wyświacony w ozbójeństwie. Nie trza se przybiérać do głowy, bo to na nic.

— Wiécie, stryku — odpowiedziała Jadwiga — ja ani przyobrazenia dobrego nie mam, naco on z telim narodem za Tatry poseł?

— Hajno wiés, dziewce — odpowiedział stary Nędza — poco tys ta hań temu jeleniowi urosły rogi? Niek bedzie niewycytno Bogu Przedwiecnemu, co mi wyraźnego hłopa dał. Ja sie ś Nim o to zbywał nie bedem, ba Mu dzieńkujem.

Z Panem Bogem zbywka na nic. To prawda własna... Tak sie mi widzi, ze be dysc.

— Idzie od śródwiecerz, z Orawy — rzekła Nędzowa.

— Janosikowi sie musi scęścić — dodał jeszcze stary Nędza jakby do siebie — on świat równa, a nika blisko po Polsce nie zbija, ba daleko. Takiemu zbójnikowi Bóg scęści, a ludzie błogosławiom. Jakbyś popod nogi ludziom srał,

to oni cie ta hnet obzalom. Podźmy, stara, do izby; zimno.

— A i wiecerzom trza przygotować, bo sie hnet pastérze przyredykajom z pasieki z bydłem i owce przydom z regła.

Odeszli starzy Nędzowie, natomiast przy-szedł Maciuś czeladnik ze skrzypcami i siadł nieopodal Jadwigi, w której się kochał, a na którą ledwo pozierać śmiał, bo była bogata, a on służył i młody był jeszcze bardzo.

— Maciek, co tys se ty myślis, kie gras? — zapytał go Wojtuś, powtarzając pytanie strykowe.

— Je cozbyk myślał? Gram i gram — odpowiedział Maciek.

— Krzesny ociec Sablik to se musi o staro-dawnyk casak myśleć, kie gra.

— A Krzyś z Olce o karcymie — zaśmiała się Krystka.

— Ja tak gram, jako słysem z ludzi — rzekł Maciek. — Ino we wiecór to sie mi lepsi gra, jako we dnie.

— Bo i las piékniéj we wiecór sumi — ozwała się Jadwiga.

— No piékniéj. Kie tak ciho na świecie, jako dziś je, to ci tak powiem, Wojtuś, ono samo w gęślak gra. Tak jako kieby ci cosi smycke wo-dziło.

— Hm, wiés, ale dy przecie wtosi taki musiał być, co nuty wyzdajał. Bo sie przecie same nie narodziły — rzekł Wojtuś.

— No juści. Taki musiał być.

— I niejeden — ozwała się Krystka. — Som jest nuty juhaskie, som jest krówskie, som jest zbójeckie, strzeleckie, weselne, pogrzebne, wojemskie, rozmaite —

— No to kazby ci jeden cłek telo zdolął uzdać nut? No nie? — dodała Jadwiga.

— Ze ba haj. Tak béło — odpowiedział Maciek.

— A no to byś i ty móg jakom uzdajać nute — powiedział Wojtuś. — Stryna padajom, co za jej pamięci ze trzi, abo ze śtyry nuty posprzybywały.

— Ono ta moze przyjńść — odpowiedział Maciek. — To sie w sercu rodzi. Kieś smutny, abo kieś wesoly, cy ty to bees wiedział, co gras, abo co bees śpiéwał?

— No — rzekła Jadwiga. — Kie Kubowa Broncia leciała bez pamięci proci Kulowego Jędrzka, co to Kulów Orawcy pobili przy drzewie, kie hań panom ze Zamków ścinać buki pošli, to on jej zdaleka zaśpiéwał: idzie od Orawy potocasek krwawy, nie pładze dziewcyno, to nie z mojej hławy! Tego go ta nik prędziej nie ucyl, bo ani nie wiedział, co w Orawe ku drzewu pu-

dzie, ani co jego braci hań Orawcy pobijom. Bą jom fciał zdaleka pociesyć.

— No — rzekł Maciek — ono samo przydzie. Świat niesie. Jedno ze świata idzie, drugie się w sercu rodzi — — jyno co pote jedno do serca, a drugie we świat gras.

— Abo i nie we świat — powiedziała Krystka.

Jadwiga zaś schyliła nieco piękną twarz ku wysokim piersiom.

Na ten widok zadzwonił Maciek po strunach smyczkiem.

— Słysys? Gra — rzekł stary Nędza do żony w izbie, na pościeli spoczywając. — U nas w Polsce lud przysprostawy, padajom, ale zdatny. Jeden z drzewa Matke Boskom ustrugał, drugi gra, co się jaz nie zal przysłuchać.

— Haj — odpowiedziała Nędzowa. — Ale mnie o Janosika bojno. Coby ka o zdrowie, abo, broń Panie Boze, gorzy o życie nie przysęł.

— Wiés, stara — rzekł Nędza — jaskółka z błota gniazdo ulepi, a dróźdz po lesie gwizda, ale ony oba ku orłowi nic nie płacom. On po niebie leci i kozy dzikie bije i nad ptakami je królem.

— Haj, haj— pokiwała stara Nędzowa dumną głową — ale to dziecko...

Gdy zaś cicha noc nadeszła i nad całą zagrodą Nędzów Litmanowskich spokój zapanował, a Wojtuś spać do tryka i stryny poszedł, Maciek

czeladnik, który jeszcze długo grał dziewczętom, uklonił się im grzecznie kapeluszem (obawiając się, że przez delikatność, ponieważ gra, nie odchodzą) i rzekł:

— No, dobranoc. Idem na sope.

— Dobranoc — odpowiedziały dziewczęta odchodzącemu, ale się nie ruszyły z ławy pod domem.

— Wiés — rzekła po chwili Jadwiga do siostry — jaby sła ku Maćkowi legnać, on mie koha.

— Ze dy idź — odpowiadała Krystka. — Ucies jego i sie.

Opuściła Jadwiga ponownie głowę ku pierścionom, gdyż była młodsza i jeszcze panna.

— Ale to moze tak nie przystanie na mnie, cobyk ja ku niemu sama sła, ba cobyk go ku sobie puściła.

— Kie on ani popod naskom ściane hodzić na śmieć, bo sie boi stryiny.

— No...

— A ty puścis dziś ku sobie Wawrzka?

— Puscem.

— Wawrzek idzie śmiało, bo to gazdowski syn i parobek...

— No. A tobie sie widzi Maciek?

Jadwiga owinęła kraj zapaski na palec i rzekła:

— Wiés, kie on gra, to po mnie jaze mrowiecki hodzom, het, po całym cielem.

— No, jus i na tobie cas. Sesnaście ci mineno na Syćkik Świentyk. O te casy to ja jus spawała z hłopcyskami. Idź.

— No to pude... Przitrzim dzwierz od sopy, coby nie zgrzypiały.

— Nie bój sie. Wiés, ka kolki?

— E cyk to raz hań strykowe siano wykładała?... Ale wiés co?

— Zje co?

— Coz ja mu powiem?

— Maćkowi?

— Haj.

— Je cozbyś do niego radziéła? Zawołaj: Maciek! — on sie obudzi, jak jesce nie śpi. A pote on ci sie ta o słowa pytał nie bedzie!

— E best!

I Jadwiga zaczęła chichotać.

— No idze idź — rzekła Krystka — bo widzem, co cie juz mgli...

— Cy tys ta juz dziewcęta Zubkosowe posły spać? — ozwała się stara Nędzowa do męża na pościeli.

— Pewnie; cegozby siedziały? Ani nie wiem, wto ku nim hodzuje? A toby skoda béło, kieby taka młodość i uroda sama lezała.

— A, toby jus bél stokratny grzyk taki dar marnić! — rzekła Nędzula. — To prawda.

— Haj — odpowiedział Nędza — mnie same-mu case zal, co nié mamy dziewczki w doma, boby

my sie jej uhlali z bialej izby, jakby milego  
swojego puścić fciała na noc.

— Aleby to musiał być parobek, ku nasej  
córce! — rzekła Nędzowa. — Coby sie ku Ja-  
nosikowi równał!

— Ba, coz radzić, kie niéma — mruknął, kło-  
niąc się ku snu, stary Nędza.

— Jyno jacy to jedno dziecko... Sokół...

---



Janosik chłopów w lasy popod Krzywaniem zwiódł i wgóre ku Krzywaniowi patrzył.

Krzywań zgóry na Liptów spozierał.

Wysoko w słońcu świecił jego łeb skalny, jak złoty.

On, jako sęp z rozszerzonemi skrzydłami ku Polsce się obrócił, grożąc jej krzywym dzióbem, jakoby zakroczył sobą Liptów i Orawę od Polski.

Piersią skalną spadł prostopadle ku dolinie Niefcyrke, Hruby Wierch go zastawił, jak mur.

Grožno, straszno jego łeb złoty, nad lasy windy, słońcem uwieńczony, ku Janosikowi po-zierał.

Tak się Janosikowi Nędzy Litmanowskiemu z Nędzowego Gronika w Kościeliskach wydało, jakoby moc liptowskiego ojca Krywania wy-zywał.

— Icie? — ukazał szczyt chmurny Sablikowi.

— Wysoko — odpowiedział Sablik.

— Wysoko... Tak jakoby sobom Luptów gro-dził...

— Niegzeta... On ta i kóz i niedźwiedzi i świ-  
staków przedemnom broniél, a kiela ik hań pa-  
dło!?

— Kieby to cłowiek taki béli!

— Je toby świat owładał! Boby ani morze ku  
niemu za nic nie stało!

— No!

— Tak sie mi zdaje, do cudu, jak kieby pa-  
trzał na nas.

— On ta i patrzy. Ale on o tém nie méśli.  
On méśli o tém, co béło przed tysiãcem roków,  
abo i dawniej. On se zbacuje, jako béło, kie haw  
śniegi i lody lezały, co światu niewidno béło.  
Kie nań wiater lodami duł, a zima wiecna béła.  
Taka lodowa ustawa na świecie.

I ciho. Ani pary. Tu wej wte wiatry grały!  
Wartało słuhać! Tu sie słońce iskrzyło po śniegak.  
Ani ptaka, bo coby haw robiél, nic i nic, jyno  
skały kieniedzie. Kieby ja se béli wte z ruśnice  
wypalél, toby mie na sto mil béło słyhać. Nie  
zal by béło ani umreć!

Oni majom o cym do sie radzić, ci nagłow-  
niejsi: Łomnica, Lodowe, Gierlahowska Wysoka,  
Luptowska Wysoka, Hrubby Wiérk, Krzywań.  
Mnie sie to nieraz widziało, co ik słysem, jako  
gwarzom do sobie ponad ine scyty.

To tys to tak, jako i w doma gazda z cela-  
dziom; gazdowie, a jesce hrubi, majom o cym  
ze sobom uradzać. Krywań luptowskim Tatrom

sołtys, jako Łomnica śpiskim sołtyska. Oni radzom o lasak, o wodak, o pogodzie i psocie, o tem, co sie dookoła dzieje, poza doliny, po Kosyce na Uhrak i po Kraków w Polsce. I przybacujom se starodawne casy, co mineny. Wto wie, co sie robięło, kie woda z morza bez Pieniny uciekała. Jaki musiał być sum! He, wiés, Janosik, ony majom o cym pomiędzy sie ukwalować.

— Case w nocy, to sie widziało — rzekł Janosik — ze te scyty radzom do siebie, jeden do drugiego. Ino jek na to nie móg przyjńść, o cym by radzić miały?

— Bajto! Juści ci o ludziak haw radzić nie bedom, jacy my i skąd — odpowiedział Sablik.

— Tak uwazujecie krzesny ojce, izeby o ludziak nie miały nic radzić?

— Radzis ty to o mrowcycak, abo płascycak? A coz to jesse mrowcyca wielga proci nas, kie my pod górami.

— E — wtrącił Krzyś, który rozmowy zasłyszał — o płascycak jest nieraz telo co uradzić, co więcyl, jako o sytkiej wirności, sołtysak, wójtak, starostak, kaśtelanak! To biskup! Kie ci za kosule wlezie! Ani cie przy słuhanicy ksiadz telo nie wypokutuje! Ta cie wytańcy, w nocy, cobyś hnet babie bez przykope hipnon!

— Hehehe! — śmiał się Sablik.

Dał Janosik odpoczynek chłopom przed wyprawą w lasach pod Krzywaniem. Do wieczora

mieli wypoczywać. Z łuków zwierzyny nastrzelano i było co jeść, ale surowe mięso ze solą chłopci musieli pożywać, bo Janosik ognia kłaść bronił, aby dymy nie zdradziły, choć lasy były nieprzejrzane naokół.

Wiadomo, że djabeł nigdy nie śpi, a jak nie ma co robić, to pazury o kopyta brusi.

Rzekł Marduła do Krzysia i Gałajdy, z którymi się trzymał:

— Wiécie, hłopi, co, cały dzień po próznicy w lesie lezeć, mnie sie haw niefce.

— Kazbyś seł? — zapytał Gałajda.

— Jaby sie seł co ka napić — rzekł Marduła. — A dałoby sie co ka przy casie porwać, no to jako fce, kie sie dało. Skoda dnia.

— Ze dyj prawda... Teraześ we dobrze pedział. Ty mas głowe! A kazbyś seł? — rzekł Krzyś.

— Ze kabądź. Dy haw nika nie prec.

— Wyhodna blizo — rzekł Gałajda.

— Kralowska Lehota, Kokawa...

— Prybilina — dodał Krzyś — skąd ja miał freirke w Budzynie, kiek na roboty hodziel.

— Moze sie jesce do was przyzna — zakpił Marduła.

— Na mój sto prawdu! Ta, kie mie uwidzi, to jesce dziś sytko praśnie, dzieci, hłopa i dóm i pudzie za mnom — odparł nie zbity z tropu Krzyś.

Gałajda popatrzył nań z niedowierzaniem.

— Moze — rzekł.

— No to idziemé? — zapytał Marduła.

— Podźmé — oświadczył Gałajda niemyślący.

— Janosik zakazał sie oshodzić — zauważył

Krzyś.

— Je! Wiera! — odpowiedział Marduła. — Idziemé na jagody. Dopadniemé swoik, bo tyśiąc ludzi sie nie straci w lesie. A posęcści Pan Bóg, to sie przyznamy. Damy Janosikowi cęc.

— On nie weźnie.

— No to Stopkom i Sablikowi, co przy nim. Ja strąśnie rad pudem, bok juz więcyl jako pięć roków nie krad! Jako mie przy tyk portkak pod Kalwaryjom dostali, to jesce do dziškak nika nie bél.

— Hej! — rzekł Krzyś. — A Mardułaś!

— No! To tak, jak kieby słowikowi bronil śpiéwać — odpowiedział Marduła.

— Iści — rzekł Gałajda.

— Se mnie ta złodziej nie strasny — ozwał się Krzyś — ale napić tobyk sie napił. Dy jus drugi dzień idzie, jakok w karcymie nie bél. Ono sie mi tak moze jus w zyciu nie trefi drugi raz.

— Ani sie moze dotela nie trafiło nigda — rzekł Gałajda.

— Ba, kie mie w pieluskak trzymali. Ja jesce nigda nie horował, ale jak bedem, to abo karcyme musom ku mnie przynieść, abo mnie ku karcymie, bobyk umar.

Szli dalej, nagle zatrzymał ich dojmujący widok.

Na perci leśnej nad kotlinką młody niedźwiadek, piastun, ale już spory i tęgi, wyszczerzył na nich zęby i usiłował podnieść się na zadnie nogi z groźnym gwałtownym mrużeniem; za lewą tylną nogę był on chwycony w żelazną paść, w oklepiec.

— Jezus Maryja! — krzyknął przerażony Krzyś i wtył się cofnął. Marduła w jednej chwili wznosił ciupagę do góry, ale Bartek Gałajda przytrzymał go za rękę, mówiąc spokojnie:

— Dajże pokój, to młode i w oklepcu.

— No? — zapytał Marduła.

— Wrodniak, nie uznał znaku — rzekł ochłonawszy z przerażenia Krzyś. — Wis, głupi, nie widziałeś zérdki?

Żelazna paść zastawiona była na ścieżce, którą woły na halę pędzano, a nad nią, jakie jest prawo myśliwskie, wbita była żerdka z deseczką poprzeczną w krzyż u górnego końca dla ostrzeżenia przechodniów.

Dwie półobrycze z długimi i wielkimi śpiżastymi zębami, rozłożone szeroko w mchu, zwarły się, gdy niedźwiadek nastąpił na sprężynę, przyczepiony zaś na grubym łańcuchu ciężki kłat drzewa nie pozwolił mu uciekać z miejsca.

— Stary oklepiec godny kęs powlece, pojeden

i na drzewo ś nim wylezie. Ja takiego widział, co na seść siong na smreka oklepiec wywlók — rzekł Gałajda.

Niedźwiadek był wściekły i w śmiertelnym zarazem strachu; raz wyszczerzał ku góralom kielce i usiłował grozić im przedniemi łapami, to znowu próbował cofać się i umknąć, ale żelazne obręcze i kłat na łańcuchu hamowały go w miejscu.

Szarpał się i jęczał z bólu.

— Zastrzél go! — rzekł Krzyś do Marduła.

— Dobrze! — odpowiedział Marduła i strzelbę zdjął z ramienia.

— Ale Gałajda się ozwał:

— Dajcie mu pokój! To młode. Co wam złego zrobiło?

— Niedźwiedź — rzekł Krzyś.

— No to coż? I on fce żyć — odparł Gałajda.

— Bartek, aleś głupi — ozwał się Marduła. — Zabić go nie fces dać, a ostawis go w oklepcu, coby się męcył, z głodu zdech, abo coby go wilki zjadły?

— Ja go w oklepcu ostawić nie fcem — rzekł Gałajda.

— No to mu go séjm — rozśmiał się Marduła.

Gałajda mówił jakby do siebie.

— Niewola strasna rzec... A i ból strasna rzec...

— Cos to robis? — zapytał zdziwiony Krzyś.

Albowiem Gałajda począł zdejmować swój ogromny serdak barani. Gałajda nie odpowiedział, tylko z szeroko rozpostartym serdakiem, odrzuciwszy ciupagę, postąpił ku niedźwiadkowi, który podskoczył ku niemu z rozwartą paszczą.

— Bartek!? — wrzasnął Marduła.

Ale Gałajda zarzucił swój serdak na łeb niedźwiedzia, zawinał go, pochylił się i objął ramionami niedźwiedzie łapy i w jednym mgnieniu oka on, niedźwiedź, żelazny oklepiec, kłat z łańcuchem, stoczyli się na dół z brzękiem i łoskotem w kotlinkę.

— Ohop! — krzyknął Krzyś z rozpaczoną rezygnacją.

Marduła wyrwał nóż z za pasa i ścisnął ciupagę, gdy nim zbiegł na dół, ozwał się przerywany głos Gałajdy:

— Franek — — śliż — — ozewres — — zelaza — — toporzyskiem...

Marduła zdumiał się i skoczył przed siebie.

Tam Gałajda w potwornych swoich ramionach trzymał zawiniętego łbem i przednimi łapami w kożuch niedźwiadka, który się szarpał jak wściekły.

— Pilno — mówił — bo wereda — — mocna — — jak koń...



Marduła był Podhalaniec — i wiedział, co robić i nie namyślał się. Wbił toporzysko od ciupagi między zęby oklepca poza łapą niedźwiedzia i silił się rozważyć żelazo.

Krzyś patrzył z góry w podziwie.

Rozważył Marduła żelaza i wtył odskoczył.

Na który widok na górze odskoczył wtył i Krzyś.

Gałąjda zaś prasnął niedźwiadkiem od siebie, jak mógł najdalej. Kozuch spadł na pusty oklepiec.

Niedźwiadek gruchnął na bok, porwał się na łapy, przystanął chwilę i dał susa w bok; wydarł się nad kotlinkę piorunem i znikł w chuściawie.

— Zdrowy! — zawołał Marduła. — Nie ruszyło mu kości!

— Zdrowy — powtórzył Gałąjda, sapiąc i podnosząc serdak.

Krzyś patrzył nań w zachwycie, gdy z kotlinki wylazł.

— Ej, Bartek, aleś tys hłopski hłop! — rzekł. — Nie bździny!

— Ani ci nie podziękował! — zaśmiał się Marduła.

— On mi ta podziękował, po swojemu — odpowiedział Gałąjda.

— A kieby cie bół skalicél? — rzekł Krzyś.

— No to jako fciało. Dy on nie wiedział, poco ku niemu idem.

— Ja jus meślał, Bartek, ześ ty o rozum prziseł.

— E, on ta i prziseł. Jesce sie to nie wyda-  
rzyło, coby wto niedźwiedzia z oklepca rato-  
wał — rzekł Marduła.

— Luto sie mi go stało, tak jako i Kretowi  
hańtego dziewęcica, u Toporów u Jasiców — po-  
wiedział wolno Gałajda.

— A siele miał? — zapytał Krzyś.

— Malučko, a jaby go bël nie dotrzymał — od-  
parł Gałajda. — Krowe by ten jus zabiël, kieby  
na uwzientego sło!

— No, wis! Toby i tobie móg bël zabić!

— Moze — odrzekł Gałajda.

Krzyś rozdziawił na niego oczy i poszli dalej.  
Było już słońce wysoko na niebie, gdy się  
z lasu wysunęli.

Marduła szedł naprzód, Krzyś za nim, na  
końcu Gałajda.

Wstąpili na trawą porosłe jesienną poźółką  
pagórki, pozarastane krzakami jałowcu i późnemi  
jesiennemi kwiatami, niską szafirową gwieździ-  
stą goryczką i modroliljowemi smutnemi dzwon-  
kami o wielkich pojedynczych kielichach. Falisto  
kołysały się te pagórki nad doliną Liptowa. Wsie  
i miasteczka bliskie widno było.

Szli prosto ku Prybilinie nad rzeką Belą.

— Jaby zatańcël i wzion co komu — rzekł  
Marduła.

— A jaby sie napił gorzalki i zagralbyk — rzekł Krzyś. — A ty, Gałajda, cobyś robiel?

— Spałbyk — odpowiedział Gałajda.

— No to poco ześ s nami poseł? Mógeś w jaferak pod ferecynom w lesie przy Janosikowi legnąć i spać.

— Kieście mie zapozwali ze sobom — odpowiedział Gałajda.

— Wiés, Bartek, ale sie nie gniéwaj, tyś taki, jak wól z pod Murania — rzekł Marduła. — Ka cie pozénom, to idzies.

— Huhuhu! — roześmiał się Gałajda i rzekł po chwili pomału, jako zwykle:

— A mnie miéło poméśleć, co se ten nie-dźwiadek po lesie hipce. I jemu miéło.

Naco popatrzył nań Marduła i oświadczył:

— Bartek, ja ci pedział, s tobie hłop, ale kieby sytka tacy béli, toby my jesce kamieniami ziem orali, jako drzewiěj, za Jadama w Raju.

— Ja ta wyméślował nic nijako nie bedem — odpowiedział Gałajda. — Jest nato ini..

Rozradowała się Krzysiowa dusza.

Albowiem naprzeciw nich ukazała się za małym przylaskiem karczma, jakie dobrze poznał w życiu.

Stał dom drewniany wielki, z wysokim góralskim dachem i z murowanym ponad nim białym pobielonym kominem, ściany domu szare

były od dawności. Dzielili ją na dwie połowy sień, w oknach zaś małych i wąskich, których było po dwa z każdej strony sieni w izbach, widniały grube kraty żelazne, pordzewiałe i pajęczyną zasnutę. Zboku, przy izbie po lewej ręce była jeszcze komora bez żadnego okna, tylko z wyciętym kwadratowym otworem dla odrobiny światła.

Przed karczmą był dziedziniec zasypany sianem, sieczką, owsem, śmieciami a na nim studnia z żórawiem oraz gnojówka z mętną żółtawą pianą u brzegów z moczu końskiego, albowiem konie stały przy kilku wozach, siano z półkoszków biorąc. Pomędzy końmi chodziły kury i gęsi żydowskie. Stała też po drugiej stronie dziedzińca wozownia, z którą łączyła się stajnia krowia, należąca do karczmy.

Młoda tęga dziewczka słowacka z zakasanemi rękawami koszuli myła szaflik pod studnią, do kolan mając spódnicę uniesioną i dwa krótkie warkocze twardo splecione kasztanowatych włosów, niebieskimi wstążeczkami u końców przewiązane, na obie strony głowy na biało przedzielonej, ku ramionom, jak ogonki młodych gończaków, krzywo sterczące.

— Marta! — krzyknął za nią niespodzianie Marduła.

— Jaaaj! — zawołała, słowackim obyczajem, przestraszona dziewczyna.

Na który widok ucieszone całym widokiem serce Krzysia folgi szukające sprawiło, iż Krzyś pełną garścią dziewczynę wyżej uda pod tył ułapił.

— Jaaaj! — krzyknęła ponownie, odskakując.

— Dobrze rano! — rzekł Krzyś.

— Dobrze rano niech maju! A skąd idu? Z Polski? — odpowiedziała dziewczyna, stając frontem.

— Z Polski. Na zarobek. A jest karcmarz?

— A gdzie by iszoł? Jest je.

— A kacmarka?

— I pani su.

Kacmarecko nasa nie wyganiaj ze nas,  
jak nam nie zborgujes, to nam darmo nie das! —

zaśpiewał Krzyś, zmierzając ku sieni.

Wyszedł żyd z karczmy, wysoki, siwy, barczysty, z brodą długą, w zaświchtanym chałacie.

— Ty, pan, — wołał Krzyś — borowičku mas?

— Mam — odpowiedział żyd.

— To daj!

I postąpili ku izbie.

— A ka idom? Z telim zbrojem? — zapytał żyd, podejrzliwie patrząc na pistolety za pasem u Marduły tkwiące i strzelbę na jego ramieniu.

Ale Krzyś odpowiedział:

— Boimé sie zbójników, bo my kupcy na konie, z miasta, z Nowego Targu, znas, pan? My

dwa — wskazał na siebie i na Gałajdę — a tego my najeni, coby nas bronił — wskazał na Mardułę. — To mój paholek.

Skrzywił się Marduła na tę prezentację i ozwał się górnio:

— Wino, tokaj, jest?

— Jest i tokaj.

— Dawać!

I posunął się pierwszy do sieni, a z sieni do izby na lewo.

Tam młodsza żydówka stała przy piecu i warzyła coś w rondlach, druga zaś stara, pomarszczona i zgarbiona, siedziała na zydelku i darła pierze. Kilkoro dzieci kręciło się po izbie. Za stołem siedziało paru słowackich chłopów i piło wódkę.

Chłopi podnieśli oczy z zaciekawieniem na przybyłych, żydzi poszwargotali między sobą. Zaś Marduła chcąc zatrzeć wrażenie prezentacji Krzysiowej, zachęcał Gałajdę:

— Jédz! Pij! Kazuj se!

Pili, a Marduła, aby pokazać, że nie byle z kim, ale ze światowymi ludźmi ma się do czynienia, zaczął, a zawtórował mu zaraz Krzyś, pieśń złodziejską, szeroko śpiewaną:

Siorsa burkowana, karéma murowana,  
jest tam kacmarecka jesce niesimfrana.

Tak se przyknajało trzok handrusów do dnia,  
siedli za stolice, dziakneli se ognia.

Świarna kaćmarecko pozdwoł ze nam zagrać,  
troske potańcymy, poknajemy doraz.  
Śwarna kaćmarecka zagrać im kazała,  
oni tańcowali do samego rania...

Niedługo wziął za skrzypce Krzyś, a po chwili Marduła przed chłopów jał tańczyć. Ciało jego wyprężyło się, oczy znieruchomiały i straciły wszelką myśl, a stały się jakimś blaskiem bezmyślnej, krążącej po żyłach Marduły krwi; korpus wykonywał ruchy małe, miotany przez nogi, nogi natomiast wykonywały pracę gwałtowną, jak piorun, i wściekłą jak obłąd. Marduła, unosząc się na końcach palców u stóp, uczynił taki wir z nóg swoich, iż szalonych ich ruchów oczy patrzących chwytać nie zdołały. Lekkość zaś w końcach stóp Marduły była taka, iż zdawał się on nie stawać na ziemi, ale tylko dotykać jej szpicami kierpców i suwać się jakoby wirując w powietrzu.

Patrzyli chłopci słowaccy z niemem zdumieniem.

Wtem Marduła skok dał i piętami w ścianę nad ich głowami uderzył.

Chłopci przygięli głowy i pootwierali gęby.

Wtem Marduła jako umiał, skoczył i podszwami kierpców skrzypce Krzysiowe musnął, a Krzyś nie przestał grać.

Chłopci słowaccy wybałuszili oczy.

Wtem coś trzasło.

To lekkonogi Marduła jednym uderzeniem stopy gruby dyl w podłodze karczemnej złamał.

Naówczas chłopci słowaccy wybuchnęli ogromnym śmiechem zachwytu i poczęli wołać: jaaj! jaaj! Pri sam Bohu! Ajestie chlap, aj chlap!

Krzyś zaś grał, oczy jego ciemno-szafirowe o długich wołoskich rzęsach, szeroko otwarte, wodziły się za Mardułą, przymykając się, gdy Marduła zdumiewał, a ruch ręki wodzącej smyczek i palców przebierających po strunach był bezwiedny; również bezwiednie bił Krzyś takt obu stopami z piętą. Od czasu do czasu przy wyższym skoku, cudowniejszym ruchu, namiętniejszym rzucie Marduły, spoglądał na Gałajdę i uśmiechał się w porozumiałem uwielbieniu.

---



Pierwszy otwarł Marduła oczy i odrazu zachłysnął się, jakby mu oddech zaparło. Jezus Marja! — przeżegnał się w duszy. — Zali to był sen?

Zali nie wyszedł z lochu pana Rzeszowskiego i śniło mu się tylko, że go stamtąd puszczono, że sołtysa na drzewie powiesił, z pieniędzmi jego na Olczę przyszedł i stamtąd na wyprawę z Janosikiem wyruszył za Tatry!?!...

Przetarł oczy.

Lecz nie, nie była to ciemnica lochu, gdzie lata długie przesiedział: z boku, niewysoko widniało zakratowane okno w murze, którego w zamku rzeszowskim nie było.

Nagle, w śmiertelnym strachu Marduła porwał się na równe nogi i kopnął obok leżącego i śpiącego Krzysia w kolano.

Krzyś się obudził, siadł i spytał:

— Dnieje?

— Krziś! — krzyknął Marduła. — My we więzieniu!

— Co? — zapytał Krzyś, włosy odgarniając.

— Krziś! Na rany Boskie! My w hereście!  
We więzieniu!

Tyle rozpaczy było w głosie Marduły, że Krzyś porwał się z siedzenia, odrazu trzeźwy.

— Jako?

— My we więzieniu! — wył Marduła.

Krzyś rozejrzał się i ujrzał kratę w oknie ściany, pokiwał głową i rzekł:

— Juści prawda. Zaparli nas.

— Gałajda! Gałajda! — wył Marduła, kopiąc zkolei Gałajdę w bok.

Ale Gałajda spał twardo, na brzuchu leżąc, podobny do wielkiego tramu drzewa.

Marduła rozpaczliwie raz za razem trącał go nogą. Wreszcie Gałajda się obudził i zapytał:

— Co fces?

Marduła wrzasnął z jękiem:

— Bartek, Jezusie Maryjo, my we więzieniu!

— Jako? — zapytał Gałajda sennie.

— W kreminole my! Boze! Boze! Boze!

— W kreminole? — zapytał Gałajda powoli niewyraźnie.

— Dyj ci gadam! Zaparli nas!

— Moze?

Marduła począł płakać na cały głos. Znowu więc jest w lochu, znowu, znowu, znowu!?

Gałajda zaś siadł na kamiennej posadzce lochu i począł pytać Krzysia:

— Ka my to? We więzieniu?

— Patrz! — wskazał mu Krzyś małe zakratowane okno.

— Hy — mruknął Gałajda — prawda.

— Jako my sie dostali!? Jako my sie haw dostali!? — ozwał się w szlochaniu Marduła do Krzysia, ten zaś milczał jeszcze chwilę i odpowiedział:

— Ja sytko wiem. Tańcowaleś w karcymie, pote zacéni my pić, pote jeś ty hipnon do Gałajdy i pedziałeś mu: ty myślis, bestyja wielga, ze ja ci sie bojem? — i wycioneś go pięściom w łeb. On nic, jyno sie ośmiał i łeb sie mu skrzywiła. Tyś zaś drugi raz hipnon ku niemu i zaśeś mu znova samo tak pedział: ty myślis, bestyja wielga, ze ja ci sie bojem? — i zaśeś go wycion w łeb, a on sie samo tak ośmiał i łeb sie mu skrzywiła. Za trzecim raze cie ciapnon, dłoniom na plask, a tyś sie przekopyrtnon pod ławe. Zacéni sie Luptacy śmiać, a Bartek im pedział: wy sie nie musicie z Polaka śmiać. Oni jesce barzyj, bo i oni przynapici béli, a Gałajda nic nie pedział, jyno do nik beckom z kapustom, co mu stała pod bokem, śmignon. Zrobiła sie burniawa, oni do nas hipli.

— Aha! Wiem. Zbacyłek se. Ja ik w pole wyprał! — przerwał mu Marduła.

Ale Krzyś rzekł:

— Edźjeś ik ta bars moc w pole nie wyprał, boś pod ławom leżał jesce, jak głupi, jyno Bartek

synkwas do obu rency ułapiel i wzion nim jeździć po izbie ze starom zydówkom na krześle, bo jom zawadziel rogem. Luptowscy hłopi uciekli.

— Uciekli, kie ja wstał — rzekł Marduła.

Krzyś niechętnie kiwnął głową i odpowiedział:

— To jyno ten wte uciekał, co go nie béło. Tyś, Franek zawdy jednaki. Kiebyś sie béł nie fciał przekazować przed Luptakami ze sielom, toby my béli do biedy nie wpadli. I wysmiali cie i haw nas dali zaprzéc, a wtoz wié, cy kie wyjndziemé stela?

— Ze coz my zaś takiego strasnego zrobili, coby nas nie mieli puścić? — rzekł Marduła przemijając cierpkie prawdy Krzysia.

— Je nic, jyno co po téj bece z kapustom trzok niezwyk ostało.

Zwiesił Marduła głowę na piersi, potem powiedział:

— Hajducy béli blisko.

— Wiera blisko! Bo ja cie za pahołka udał, a tyś placiel i wołał na nas, coby my se kazowali. Piékny mi taki pahołek, co gazdowi wino płaci. Zyd zaraz do urzędu musiał dać odkaz. Prawie hajducy przyšli, kie my béli z winem, z gorzałkom i s temi trzoma gotowi. Straśnie my beli sytka pijani, ani nie wiemy, kie nas tu przywiedli. Mnie sie jesce w głowie zawraca.

— Ej Boze! — westchnął Marduła.

— Bo my jesce pote pili, zakiela hajducy

przyšli i tak sie mi widzi, ze my polégali spać na ławy — kończył Krzyś.

— Tak musiało być — rzekł Marduła. — I tu nas przywiedli, abo i przywieźli pijanyk. A teraz nas obiesom, abo tu zgnijemé za zywa.

— Kaz my som? — zapytał Krzyś.

— Cy ja wiem!?

Krzyś poszedł ku oknu i wyjrzał przez kratę.

— Tak sie mi widzi, ize my na zamku w Hradku. Tak mierkujem, bo góry końdek widno.

— O! O! O! — począł łkać Marduła. — Znowuk w niewoli! O jus teraz nie wyjndem ś niéj! Jus nie wyjndem! Nigda!

Gałajda słuchał milcząc. Wtem wstał, a głową pułapu sięgnął i przystąpił ku ścianie najbliższej. Wyciągnął ku niej ręce, rozstawił ogromne palce i tak wzdłuż ścian posuwał się, macając je, jakby był niewidomy.

Przybliżył się ku oknu.

— Wlepił w nie oczy i powietrze pociągnął nozdrzami.

Potem znowu ścianę macając sunął się wzdłuż celi, ale gdy znów ku oknu przyszedł, zatrzymał się i powietrze nozdrzami ciągnął.

— Niewola — mruknał powoli do siebie.

— Niewola — powtórzył.

— Niewola — rzekł po raz trzeci.

Coś takiego zadrzało w jego głosie, że Krzyś

i Marduła pomimowoli z przerażeniem spojrzeli na siebie.

Gałady pierś wzdymała się, usta krzywiły i oczy poczęły nabierać wyrazu przerażenia aż do oblędu.

Zwrócił oczy na Krzysia i na Mardułę, straszne i pełne okropnego strachu.

— Gałada — rzekł Krzyś, aby przerwać milczenie i z trwogi przed Gaładą — dy cie jesce nie wiésajom.

— Ja — ja — począł bełkotać Gałada — ja — w niewoli? Jakoz to? Nié mogem — iść — ka fcem — zapartyk — — pomiendzy mury — — nié mogem iść — ka fcem — ja — — w murak — — ja — —

— Piérsy raz siedzi — mruknął Krzyś porozumiewawczo do Marduły.

Gałada położył ręce na kratkach.

— E — rzekł Krzyś — hrube, nie wytardzes.

— Próguj! Próguj, Bartek! — krzyknął Marduła. — Ja ci pomogem!

Gałada zagiął palce na kratkach, przypiął się do nich i Marduła. Nie drgnęły.

— Na nic! — zawołał Marduła. — Nié mamé haw nic? Ani noza?

— Sytko wzieni, kie my spali — odpowiedział Krzyś.

Gałada ciągnął kratę, żyły wystąpiły mu na

skroniach i na rękach i zsiniał cały z nateżenia; ale krata nie puściła.

— Na nic! — powtórzył Marduła. — Juz my ik! Na wiečnoś!

Gaładja szarpał kratę w tak straszliwy sposób, z takim wyrazem twarzy, aż Krzyś przerażony ozwał się:

— Bartek! Daj pokój! Nie siep sie telo!

Ale Gaładja śnać nie słyszał i szął go ogarniał. Zerwał ze siebie koszulę, zmoczył, skrzył, założył za kratę, cofnął się krok i szarpnął. Przerwał koszulę i odleciał wtył ku ścianie, w którą uderzył plecami, aż jęknęła.

— Jezus Maryja! — szepnął Krzyś w trwodze na widok tak strasznej siły i tego wysiłku.

Gdy Gaładja zaś na nieruszoną kratę w oknie i na przerwaną napoły koszulę w swoich rękach spojrział, usta skrzywiły mu się do płaczu, łzy do oczu nabiegły, pierś poczęło mu wstrząsać krótkie, przerywane łkanie i rozplakał się jak zrozpaczone dziecko.

Krzysiuwi stało się go żal.

— Bartek, o coż płacesz? — ozwał się, aby go pocieszyć. — O kosule? Dyj ci jej ani nie trza na długo, bo cie obiesom. A kie cie pod siubienice powiedom, to ci kosule dadzom, nie bój sie.

— Nieładnie by béło na nik, coby nagiego wiésali — dodał Marduła rezygnacyjnie.

Gałajda lkał i na kratę patrzył, a oczy stawały mu się coraz większe, coraz więcej przerażone, zdawały się wychodzić nawierzch z orbit.

Krzyś przeląkł się o niego.

— Gałajda! Nie zapamiętuj sie! — krzyknął.

Gałajda zaś znowu jak człowiek nieprzytomny począł rękoma dookoła siebie wodzić, ruchy niemi nieokreślone wykonywać, cofać je ku głowie i znowu wyciągać.

— Is — rzekł Marduła żałośnie — niedźwiadkaś z oklepcy puścił, coby biał wolny, a sameś na niewolom prziseł...

— Hej wiera! — westchnął Krzyś. — Jus mi Byrka więcół zimnej kapusty przez omasty na śniadanie nie da... Co robić... Mocny Boze...

— Kiejek do dudka przysel, kie mi Pan Bóg piendziesiont dukatów nagodziel, cobyk sie na gazde sprościł, tu mas! — biadał Marduła.

— Hej Panie Jezusie! Aleby my biali za té dukaty nieraz pili! — westchnął Krzyś.

— Ej biliby my biali!

— I Gałajde by my biali ozénili! Bo ja mu to zawdy padał, co mu baby trza. I byłbyk mu babsko nalaz, jak sie patrzy, nie oblizańca, ani nie matafije, coby maniory miała, jyno dziewczke gazdowskom, nie wysiedzianom, rezuwitnom, wystawnom i przystojnom... Bo to człowiek!

— Haj człowiek! — powtórzył Marduła.



— Jemu baby béło trza — mówił dalej Krzys. — Ja mu radziéł. Coby miała duse jak woda, serce jak złoto, rozum jak włosy, a od biedry do biedry w zadku pięć siuhów. Coby béła.

— Haj, coby béła! — westchnął z żałością Marduła.

— Ja mu radziéł. Bo mi go béło zal. Samé jyno obsiwkary béły koło niego, co na jedném ramieniu wode nosi, a na drugiem ogień...

— Hej, hej! — wzdychał Marduła.

— A teraz sytko na nic.

— Na nic.

— I z Byrkom jus nie bedem i Gałajda sie nie ozéni i obiesom nas.

— O rany, rany Boskiel — począł łkać wzruszony do głébi Marduła.

— I s tobie, Franek, tys nic nie bedzie. Taki piękny hłop!

— No — jęczał Marduła przez łzy. — Ból ka wtory drugi taki?

— Nie béło.

— Ja to zawdy wiedział, ze nie!

I Marduła rzucił się Krzysiowi w objęcia.

— Symóniel — odezwał się z kąta Gałajda głosem cichym i drżącym do Krzysia.

— Co fces?

— To ja jus nie pude więcél z wołami w hale?

— Nié.

— Kie sie zieleni?

— Nié.

— Kie okowiak gwizda po lesie, a siwarnik po kosodrzewinak?

— Nié.

— Kie zołna puka po smreku?

— Nié.

— A wewiórka hipka po gałęziak?

— Nié.

— Kie hmury białe po niebie idom i owce po kosarak zbyrcom na zwonkak?

— Nié.

— Kie juhasi na piscałkak grajom po turniak, a pastérki śpiéwajom za krowami?

— Nié.

— Watre kłaść?

— Nié.

— Nie pude więcél na trawie pomiendzy le-lujami zółtemi na brzuhu lezeć i jscaw zuć?

— Nié.

— Ani borówek i bruśnic przy wołak jeść?

— Nié.

— Ani nie bedem więcél oczami do nieba na grzibiecie lezał do słonka sie grzejący?

— Nié.

— Nie puđem jus ka bedem fciał, kie bedem fciał, jako bedem fciał?

— Nié.

— Ba mie cosj trzimie?

- Haj.
- Mnie?
- Tobie.

Gałąjda, żałośnie i jak dziecko dotąd mówiący ryknął i rzucił się ku drzwiom, gładkim i bez klamki od wewnątrz. Za nic ich chwycić nie mógł, za nic próbować wyważyć, więc po kilku daremnych próbach jął w nie bić sobą, własnym ogromem. Huczała cela więzienna, ale drzwi nie drgnęły, Krzyś zaś wołał:

— Bartek, siejdzę, daj pokój, bo se na zdrowiu ublizys!

— Bartek, posiedź! — wołał ze swej strony Marduła. — To na nic! Ja to znam!

Gałąjda tłukł ramionami, piersiami, kolanami drzwi, aż wreszcie cofnął się od drzwi, mówiąc półgłosem:

— Mocniejse...

— Biédak — rzekł Krzyś — widziało sie mu, co jus nic mocniejsego niéma nadeń. A ono wej jest. Nasło sie. Dźwiérze zelazne.

— Mocniejse — powtórzył Gałąjda.

Jakby z jakimś uszanowaniem, z podziwem na drzwi patrzył

— Wis, Gałąjda — rzekł Marduła — tak se i ten niedźwiadek pod Krzywaniem, coś go z oklepca puściel, septać musiał, jako ty haw teraz. Bo i ten oklepiec bël mocniejse, jako on.

Pedziałeś mu: niewola strasna rzecz, a aniś sie nienazdał, kie sam do niej wpadnies.

— Nienazdałek sie — zachrypił Gałajda.

— I ulutowałeś sie go wej, hoć to jyno głupi dźwiierz bół, ale nad nami nijakiego zlitowania nie bedzie aj nie bedzie...

— Haj, z nienazdania my haw wpadli — za biadkał Krzyś, Marduła zaś zawołał:

— Wis, Bartek, twój niedźwiadek se po lesie skace, spomina cie... I niewolom swoje...

— Niewola — zachrypił Gałajda.

Wtem porwał się od ściany, pod którą stał, przygiął się, pochylił głowę naprzód, wziął rozpęd od ściany, dał olbrzymiego susa i z łoskotem, wyłamawszy kratę w oknie, wleciał w nie ramionami i tak został.

Krzyś i Marduła oniemieli na razie, nakoniec Krzyś, widząc, co się stało, krzyknął z uciechą:

— Bartek!

Gałajda nie odpowiedział; Krzyś wołał:

— Bartek! Aleś hłop! Jesce takiego nie bół! Wysoko hań? — Gałajda milczał.

— Zamglał — rzekł Marduła.

— Nie dziwota! Kie sie hań kosula urwała! Wyciągmy go!

Wyciągnęli Gałajdę z okna, ale on zwiśł im na rękach.

— Bartek! — wrzasnął Marduła.

Z czaszki Gałajdy z pod włosów sączyła się krew.

— Ozbił głowe! — zawołał z przerażeniem Krzyś.

— Nie, leb ma całom — powiedział Marduła, wsunąwszy palce we włosy Gałajdy. — Jyno skóre przecieno.

Położyli go na podłodze; Gałajda legł sztywno.

— Trup — rzekł Marduła. — Zabiél sie.

— Zabiél sie — powtórzył Krzyś, kiwając głową. — Teli hłop!

— Śmierć więksa.

— Bartek! — wrzasnął nagle, potrząsając Gałajdą, Krzyś.

Ale Gałajda był nieruchomy.

— Zabiél sie, na ozaist zabiél sie — rzekł Krzyś z bezsilną trwogą do Marduły. — Zabiél sie...

— Skoda go. Ja go strażnie rad widział — westchnął Marduła.

— I ja — powtórzył Krzyś i wybuchnął płaczem.

Rozpłakał się również i Marduła i obaj płakali rzewnie nad ogromnym trupem.

— Bartuś, Bartuś, kieby ja bél przecuł, nie bélby ja cie pozywał ze sobom, kieś sie ty miał zabić! — Ikał Marduła.

Lecz Krzyś ustał płakać i rzekł:

— Ale okno wybiel.

W jednej chwili przestał płakać i Marduła.

— Prawda — rzekł — okno wybiel.

— Mozemy uciekać.

— Mozemy.

— Słonko dopiero mało co wyhodzi. Jesce śpiom.

— To my tu od wcorańsa, od popołednia?

— No, spalimy, bo my béli pijani.

Zerwał się Marduła, jak żbik.

— Uciekajmé!

Krzyś przystąpił ku oknu i wyjrzał.

— Niéma nikogo. Woda pod murem, Wag, nie bars sie głęboka widzi. Jyno wysoko skocyc. Bedzie ze trzi siongi.

— Nieg bedzie i dziesięć!

— Połózmuz go, jako trza — rzekł Krzyś — coby wiedzieli, ze to bél oświęcony cłek i ze go haw nik nie zabiél, jyno on sie sam.

— Wartko! Wartko! — wołał Marduła.

Krzyś zaś ręce Gałajdzie na piersi olbrzymiej złożył i powieki mu przymknął.

— Bydź zdrów, bracie! — rzekł, ściskając go za rękę przy dłoni.

Ale Marduła wsunął się już w okno, wystawił nogi i skoczył.

Pojrzał za nim Krzyś: spadł w rzekę, zanurzył się po szyję i stanął.

Krzysia przejął strach, lecz Marduła dawał znaki nagłące rękami, wsunął się więc i on w okno, wspomniął Matkę Boską i Byrkę i skoczył.

Buchnął w wodę obok Marduły; zalał się, ale go Marduła za kark chwycił i tak go dzierząc, wodę przebrnął, poczem wpadli w rosnący zaraz za wodą las i poczęli biec naprzód.

Biegli długo, aż Krzyś sapać zaczął i przemówił:

— Lekcéj ze, bo nie zdołem.

Zwolnił więc nieco Marduła szalone tempo, a Krzyś mrucał:

— S tobie by béła prawie pła, abo cap, Franek... Kie umres kiejsi, to sie z djablami przy wolném casie w niedziele o załoge bedzies ścigał po piekle, o trzi dudki, abo o syrek... Bo hań pudzies za sołtysa z pod Kalwaryje.

Bieżeli jeszcze, aż Krzyś zaprotestował:

— Stań! Teloś przebiegły, co cud! Zapaliłbyś mie!

Stanęli więc. Krzyś zaraz siadł na korzeniach od buka. Milczał chwilę, sapał, potem rzekł:

— Skoda Bartka! Ból hłop! A i dobry cłowiek, strasecnie.

— Skoda — odpowiedział Marduła. — Mnie go bedzie zal do końca zycia.

— I mnie. Ale wiés, kieby nie on, toby my haństela nie wyšli.

— Ze jak? Nigda na świcie! Tej kraty by ani trzok tęgik hłopów nie wyłomiło. Ja jom cuł, kiek sie jej hycieł.

— Béliby my wisieli.

— No. A coby nas béli dobili przódzi! Mało zywyk by nas obiesili!

Krzyś wstrząsnał ramionami od zedrzenia.

— Dobrze, co s nami béł.

— Ze dy ista łaska Boska! Ojca nam Pan Bóg dał, w tym Bartku.

— Haj. Trza dzieńkować Panu Bogu, co go s nami wraz zaparli.

— I co miał łeb nie krufkom. Gównem by béł nie wybiéł.

— No. Kwałaz Panu Jezusowi, kie my tu!

— Wyślebodzili my sie.

— E — rzekł pó chwili z wesołością Krzyś — ale sie nacudujom, kie hań jyno jednego najdom!

— Wiera sie nacudujom, psie kości! Kie trzy siubienice ryktowali!

— Bajto! Nieg mie pobožia ze siubienicom, kie ja haw, w lesie. Ale kaz teraz pudziemé?

— Ku Janosikowi. Najdziemé go! On hłopami nie sieje po dródze, ba idom kupom. Wrócić się zaś za wode, ale daleko. Mnie tak kieby skrzydła rosły!



— Djabli cie wytrzęśli z nogawice! Obęcka-  
lek się wcora strąśnie w tej karcymie, jesse dziś  
cujem. Posiedzmy na kwile. Goniel nas nik nie  
bedzie, bo ani ślaku znaku po nas. Bedom my-  
śleli, jeze my sie potopili we Wagu, kie my po-  
wyskakowali oknem. A i trup ig zabawi by na  
ćwierć godziny, kie go najdom. Bo sie bedom  
cudować, kieli je i jako sie stało?

— No tak pedzieć sprosta, Symónie, co juz  
widno, ize nas Pan Bóg opiekuje — rzekł Mar-  
duła. — Kieby Gałajdy bël nie stworzël, toby  
my haw nie béli, ba hań, i musieli by my wisieć.

— No haj.

— Cud Pana Boga, jakie ja mam scynście! —  
mówił Marduła. — Niwto iny takiego scynścia  
niéma. I piniondzek nabył i z biédy jek bez Ga-  
łajde wysel. A i tyk dukatów jek nie wzion ku  
sobie, jyno dwa, dwak minon, a seś styrdzieści  
jek ostawiel przy mace, na Olcy. I Pan Bóg sie  
w piéknym cłowieku koha. Jyno wiécie, Krziś,  
nie padajcie pomiędzy ludziami, co ja sie od  
Gałajdowego rencyska przekopyrtnon. Bo to ani  
tak nie bélo, jyno ja sie utknon i bez to. Prze-  
wyrtnonek sie wej. Jaby sie mu bël nie dał na  
ziem prasnonć. Nié!

— He — rzekł Krzyś — skoda go. Jaby go  
bël ozéniel. Na mój sto prawdu! I był byk mu  
na weselu grał i byliby my pili...

Marduła zaś dowodził:

— Pan Bóg tyz wie, co robi, nie bój sie! On by sie do sądnego dnia hańbiel, jakby mnie z Jego wóloom takie ciarapary Luptaki obiesiły! To raz. A drugie: mielo Mu na mnie patrzyć, jak do kwiatu. No, ale lećmy.

— E, jyno jus tak pytlikujmy, bo strasnie pre. Gorac! — rzekł Krzyś.

---

Siadł Janosik Nędza Litmanowski, ręce za przypory od portek założywszy i nogi przed się wyciągnąwszy w zamku hradeczańskim w wyłoczonej kasztelańskiej sali na szkarłatem obitym fotelu, a za nim stanęli jego towarzysze: Mateja, Gadeja i Wojtek Mocarnego Stopkowie i siwy stary Sablik ze sępiemi oczyma, pospierani na ciupagach. Przed nim zaś stał blady wylękły kasztelan, Iwo Szalany baron, z rękami w bezwładnym przestrachu opuszczonemi po żupanie.

— Prosem ig miéłość, wielgomożnego pana grabie, kluce od kase — rzekł Janosik grzecznie do kasztelana.

— Kasa cesarska.

— Ja tu teraz pan! Pisajcie do cysarza: Janosik Nędza Litmanowski z Polskiej, z Nędzowego Gronika w Polanak, haw bél i kase wzion!

Tomek! — zwrócił się do Gadei. — Bier hłópów i icie z panem grabiom, kase cysarskom wybrać.

I wyciągnąwszy przed się rękę, palcem wskazał posłuszeństwo baronowi.

Zkolei zwrócił się do siedzącego pod ścianą ponsowego z gniewu kanonika, zamkowego proboszcza.

— Prosem ig miéłość duhownom, Gałajdzie, temu, coście go we więzieniu, zakiela ja haw z hłopami prziseł i Hradek zajon, niezywego naśli, cobyście mu taki pogrzyb sprawili, jak kieby jednorał cysarski pomar.

Zachnął się zuchwały ksiądz, w suknię swą dufny, i krzyknął nie posiadając się z oburzenia:

— Szalejesz, chamie!?

Ale Janosik ze szkarłatem obitego fotela wstał, ku księdzu postąpił, pistolet z za pasa dobył i pod nos go kanonikowi podsuwając, pocałował go w rękaw i rzekł spokojnie:

— Jedy jako fcecie, jegomość. Ja was ta moc nukał nie bedem. Ale bedzie?

I przybliżył lufkę pistoletu pod nos księdzu.

— No jakoz? — pytał Janosik.

Ksiądz zaklął po madziarsku, porwał się z miejsca i wrzasnął:

— Zbóju!

— E ta o to nic — odpowiedział Janosik spokojnie i stałą lufy końca nosa księżego dotknął.

— Bedzie?

— Bedziel — ryknął trzęsąc się z furji ksiądz.

Janosik ujął go powtórnie za rękaw, pocałował i rzekł:

— I coby wartko béło, jegomość, duhem, bo tys casu nie mamy haw siedzieć. A co my sie końdecek teraz pokłopocili, to nic. Gniéwu o to między nami nie bedzie.

Bier hłópów, Mateja, i idź z jegomościom pogrzyb Gałajdzie jednoralski sprawić. Ja ta przydem.

A setnicy i dziesiętnicy nieg pilnujom; kupców, zydów, panów rabować wolno, siedlakom, hłopom, a biédakom, sewiecom, krawcom, rzemieśnikom nie brać nic, ba jesce, jak biéda nań, to mu rucić. Zbójnik świat równa.

— No wicie, krzesny ojce — zwrócił się do Sablika — moze my nie dłuzy jak o dwie godziny po świtaniu haw przišli, a z Gałajdy juz trup!

— No.

— A Mardule, ani Krzisia nik nie widział?

— No nik.

— E to oni dwa cojsi umędrkowali, a Gałajda odpiók. Bo on ta bodeś s kim o bodejscym nierad radziéł. Skoda hłopa. Ja go fciał kie sie bedem z cysarzem w Peście ziemiami dzieliéł, cysarzowi pokazać. Bo niémas pomiędzy nami nadeń, coby wto tęgiego wołu dźwignon, abo z grubego smreka urwał gałąź od samego serca. Ja sie ś nim fciał pokwalić — jakie to w Polsce brakowne hłopy bywujom... Jeść sie mi fce. Hej, hajduk, przywiedz mi haw barana! Tłustego!

— Tu? — zapytał wystraszony burgrabia, którego Janosik za hajduka wziął.

— Nie blaktaj pyskiem, jyno rób, jako ci kazujom! — krzyknął Janosik.

A gdy skopa do sali wprowadzono, Janosik przystąpił ku niemu, nożem zbójeckim gardziel mu na dywanie bagdaskim poderznął i rzekł:

— Kaz kuhnia? Uwarzcie go w mléku, po juhasku. A hłopom woły, kielo trza. Coby miésa dość béło. I biédakowi, wendrownemu, dziadowi cisnąć. Jyno pić mało. Wto sie opije, pięć dwaścia toporzisk.

Tak nagle, tak niespodziewanie Janosik z tyśiącem chłopów Hradek podszedł, że go wziął. Zajął Hradek i myślał co dalej uczynić.

Potem siadł Janosik na stolicy na środku rynku na znak władzy swej odprawować sądy. Po mieście i poza miasto wołać kazał, że kto ma jaką skargę, niech przyjdzie, a sprawiedliwość znajdzie.

Szli więc chłopci słowaccy z narzekaniem na madziarskich panów, a Janosik słuchał i w pamięci karbował karby, kto się zaś na nędzę żalił, sypać mu pieniądze zrabowane kazał.

Ale już po południu tego dnia na wozach nagwałt z Mikułasza wiezieni przyjechali żołnierze, pandury i hajducy węgierscy. Wypadł na nich Janosik, jak sokół łowny na jastrzębie. Jego ciupaga ze zberczącemi kólkami zdawała się być

piorunem w jego dłoni. Tam najstraszniejszy ze wszystkich, Cygan Franek Bela z Orawskich Zamków, olbrzym o twarzy szatańskiej pieszo walczący, z toporem, którego chłop w dwu rękach nie dźwignął, z Janosikiem się zetknął.

— Chamie! — krzyknął, waląc się na Janosika, jak głaz z turni na buka.

— Psie! — odpowiedział mu Janosik, zazberczawszy ciupagą.

Poczęli się rąbać, lecz zawsze ostrze ostrze podchwytywało. W dwie ręce Cygan topór wziął i wił nim, jak oś szprychami w szybkim pędzie. Biała mu piana na wargi wyszła, a niebieskie oczy złowrogo jasno błyszczały. Jak na boisku w czas młóćby cepy twardo o ziemię ubitą uderzają i odskakują od niej, tak topór odskakiwał od topora. Ani pędzi nie cofnął się żaden, tylko na nogach tego się opierając nacierali na siebie. Podobnie podczas wiatru halnego, gdy buki blisko rosną, konar we wściekłym pędzie o konar uderza, jak gdyby jeleń rogami w rogi drugiego gruchnął.

Płomienie to walczyły. Wtem Cygan lewicą długi jatagan turecki z za pasa wyrwał i podsunąwszy się, pchnął. Ale nim ostrze pod ramię Janosika ugodziło, podbił ten z boku piętą kolano Beli i Cygan runął wznak.

Roześmiał się Janosik i rzekł:

— Jakoz bedzie? He?

Cygan leżał sekundę, równie przerażony, jak zdumiony. Czekał na cios, ale gdy go nie otrzymał, zerwał się na klęczki i pod nogi Janosika jatagan rzucając, a topór mu oddając w ręce, powiedział z orawska:

— Veru, pri sam Panu Bohu, vystie chlap, aj chlap!

W tej chwili młody pan Pongracz w mundurze huzarskim koniem natarł na Janosika — ale Janosik barkiem konia pchnął i zwałił wraz z jeźdźcem, który po francusku „O mon Dieu!” krzyząc, na głowę padł, szablę świecącą łamiąc i życia młodego pod ciosami Gadei zrywając.

Pierzchać przed Janosikiem poczęli Węgrzy, jak wrony przed kobuzem, gdy sztychem bije. Gdzie się pokazał, powstawał krzyk przestachu: Janosz! Janosz! — i gromady walczących się cofały. On zaś rzucał się bez myśli o liczbie, podobnie owemu niedźwiedziowi, co psów nie rachuje na polanie, gdy na nie wpada. Otwierała się przed nim przestrzeń podobnie, jak kiedy burza las wyłamuje na światło.

Het pod Smerekowicę w góry liptowskie Węgrów gnano, a gdy ostatnich rozproszono i dościgo, zapadła noc.

Wówczas Janosik na rogach, które towarzysze jego mieli, rozkazał trąbić na lasy na zbór.

A gdy się chłopci zgromadzili, zwycięstwem upojeni i od walki gorący, rozkazał Janosik, sie-



dząc na głazie, jodłę ściąć i ogromne ognisko na małej polance leśnej zapalić. Buchnął ogień i wzniósł się dym ze smolnych gałęzi. Poczęto jeść i pić, szumieć i huczeć. Dziko się stało niewypowiedzianie. Wówczas Janosik wstał i krzyknął:

— Zbójeckiego!

Staął Sablik przy ognisku z dźwigniętą nad głowę krwawą ciupagą, włosy długie, siwe odgarnąwszy z czoła, po boku zaś przy nim stanęli muzycy, dwaj Łusckowie z Kotelnicy, bracia, co piszczałki przy sobie mieli i Józek Hawrań z Jurgowa, co na Sablikowych gęślach umiał grać, a któremu je Sablik z rękawa czuchy swojej wy dobył. Zabrzmiał las muzyką.

Już Janosik z Gadeją, Mateją i Mocarnego Wojtkiem przed muzykantami stanął i nutę Zbójeckiego ochryplemi od znoju walki głosami zawiedli.

I w tan się puścił naprzód wódz, a za nim towarzysze i chłopów Podhalanów kilkudziesięciu koło watry, od krwi na blachach, klamrach i stroju czerwonych, ciupagą o ciupagę w powietrzu bijąc, aż iskry pryskały i las dźwięczał.

Zrywały się ptaki spłoszone i zwierz leśny umykał daleko. Stary Sablik był hersztem tańcowi. Dokoła niego tańczono, dokoła jego trwającej starodawnej chwały. Chłopi czcili swą własną i siłę dawnych pokoleń. Wiedział to Sablik

i godnie się wyprostował, a głowę wznosił. Czuł się jako pomnik na cmentarzu honornych chłopów, którym ich synowie, wnuki i prawnuki w męstwie i dzielności dorównać pragną. I wspominał w myśli owe tańce, kiedy on sam młodzieńcem będąc, koło około innych starców zataczał. I wspominał owe tańce, które tańczył w turniach, lub puszczech leśnych sam, siłą, krwią gorącą własną unoszony i wyrzucany w powietrze, gdy skakał w górę i na nogach potężnych się kołysał z nadmiaru porywczej krzepkości.

Siwe, długie włosy z pod wąskoskrzelego kłębuka mu się rozwiały, raz po raz przez zęby wąskimi wargami gwizdał i w takt dzikiej muzyki w miejscu nogi podźwigiwał, lekkie jeszcze i mocne, a na zmarszczoną jego, chudą, sępią, pełną bruzd głębokich twarz, blask bił i cień upadał.

Tak wyglądał, jak leśny bóg mordu i pogromu. Zapach krwi dochodził mu do nozdrzy.

On lubił walczyć, mordować, zabijać. On całe życie na walce i krwi przelewaniu spędził.

I może to był ostatni wielki jego taniec, taniec, jakiego w życiu nie widział i nigdy nie zobaczy. Potok jego życia jakoby w jezioro się rozlał, w staw szeroki; płomień jego życia łuną wybuchł olbrzymiego pożaru...

Prowadził Janosik koło, a dzikie świsty, hukania i wykrzyki zdawały się drzew wierzchołki,

na które ogień jaskrawy buchał ku ciemności, uginać.

Dzikiem, szalone skoki wykonywali tancerze, ciupagi wyrzucali w powietrze z furkotem i chwytali je spadłe w dłonie, jak w żelazne kleszcze, gdy Janosik przed muzykantami się zatrzymał i ciupagę na ziem koło ognia Sablikowi pod nogi prasnawszy, w górę na chłopca zwyżć wyskoczył i na skrzyżowane nogi spadłszy, hajdukować ponad ziem począł, a za nim chłopci tańczący poczeli ciupagi na kupę pod Sablika nogi rzucać z brzękiem i dźwiękiem od stali ostrz i obuchów i kólek mosiężnych u toporzysk zberczących i szli za Janosikiem przysiadami ponad ziem, podbijając się w powietrze, jak capy skalne w urwiskach. Sablik zaś nad nimi dreptał w miejscu i ciupagę, w górę podniesioną, w ogniu migotał, siwy i sępi.

Długo ich Janosik tak wiódł, aż się zatrzymał, kołpak na głowie poprawił, ciupagę swoją z ziemi podniósł i nutę odmienił, by wreszcie wściekłą drobną nutę zakrzyknąć:

Powiadali, powiadali,  
ze zbójnika porubali,  
porubali bucka w lesie,  
a zbójnika wiater niesie!

Naówczas wszyscy tancerze, podjąwszy ciupagi z brzękiem z ziemi, wyprostowali się i po-

częli drobnego krzesać, gwizdząc, krzycząc, przez zęby słowa piosnek rzucając i w uniesieniu, jeden drugiego się uchwyciwszy, parami w zawrotny poszli pęd, a ciupagi zawadzane od jednej pary u drugiej, grzmiały jak kuźnia.

Stójże, stójże, siumny hłopce,  
bo na wirhu twoje owce,  
hej na wirhu, nie w dolinie,  
a ty leżys przy dziewczyniel Ejha!...

A gdy jeszcze warciejszą, wścieklejszą nutę Janosik zawiódł, gdy chórem wszyscy huknęli:

Rada, rada, rada dam,  
rada, rada pozycam...

— wówczas opętanie ogarnęło tancerzy, puścili się z par i w szalonych susach przez ogień wskroś płomienia, skier i dymu skakać jęli, podobni do djabłów na czarciem weselu. Jakieś nieartykułowane, najdziksze, zwierzęce namiętnością rozhukana i rozpasana krzyki z ust i zębów białych i ostrych dobywać się im jęły, ciupagami rąbali pomiędzy sobą ostrze w ostrze, zderzali obuch w obuch, i już nie taniec, ale wir ludzki gnał koło ognia, zaś stary Sablik, stojąc w miejscu dreptał z ciupagą wgórze wzniesioną, a włosy się mu srebrzyły.

I znowu spokojniejsze zbójeckiego nuty szły,

aż się taniec skończył, a na wszystkich wyszła rosa, jak groch i stanęli.

Wystąpił Sablik z pośród koła, gdy się prze-  
rwało, jak w zapamiętaniu. Długą jeszcze chwilę  
przemówić nie mógł, tylko oczy miał wlepione  
w przestrzeń i snać w oczach i w uszach skręt,  
brzęk, taniec zbójecki.

— E, hłopczy, warce zginonć! — rzekł wreszcie  
i odebrawszy z rąk Hawrania gęśliki, brząknął  
palcem w struny, pomyślał chwilę i rzekł:

— E, hłopczy, ja jus niejednen taniec zbójecki  
bacem. Kie jesce s was zadnego na świecie nie  
béło. Béły hłopy. Djaska užrało dziś! Ja wam  
tak powiem, co nie zal żyć na świecie. Świat  
straśnie dobry, jyno cobyś na nawyśniejsy scebel  
stanon, ka wiatry duwajom i słońce z miesiącem  
świci. Sytko drobna rzec. Ale co sie uciesys,  
kieś na Krzywaniu, nad światem, to twoje. Sié-  
łom sie swojom cłowiek ciesy i niémas nad to  
radości. Niek ta wto fce ma kohanke, abo ga-  
zdowstwo, abo piniondze, ka jakie dobro, cy  
zone mądom, cy dzieci usłuhliwe, nie telo je  
wesoły, jako ten, co sie cuje przy siéle. Ja wam  
tak powiem, na mój dusiu, jaby wte fciał zgi-  
nonć, kiek zdrowy i mocny, nie, kie bedem umié-  
rał z chorości. Ja sie nigda tak nie ciesył, kiejek  
ku dziewce seł, jako kiejek z Hrubego Wiérhu  
dolinami w Carne Ściany leciał, tak, jak kieby  
mie oreł niós. I to ci powiem, Janosik, niek ta

bedzie, co bedzie, niek bedzie krew, ale kie sie cujes hań, w scycie, niek cie Bóg oświeńci, to twoja godzina! Nie co ine. To twoje zycie, hłopskie, strzeleckie, abo zbójeckie. A co ine to djabła warce. Hłopu nie honornie w pościeli umierać. Wte warce zginonć, kieś w scycie.

Potem się uśmiechnął wdzięcznie, aby przepytać, jeśli długiem mówieniem znużył, a słuchacze może właśnie do słuchania usposobieni nie byli, i z humorem i dowcipem wytwornym zaśpiewał przy gęślach:

Ej, kieby ja se wiedział ej luptowskie przechody,  
ej selbyk poza bucki, dydżek jesce młody!...

W chałupie starego Nędzy Litmanowskiego na Nędzowym Groniku siedzieli po wieczerzy w białej izbie oboje Nędzowie i przybyłe w odwiedziny na posiadły Zubkosowe dziewczki wraz z bratem Wojtusiem. Maciek w kącie izby po strunach na skrzypcach palcem brząkał.

Mrok panował w izbie, którą tylko kaganiec na łańcuchu zawisły pięknie zdobny, olejem ze lnu napelniony, blado rozświetlał. Wtem w cieniu na ławie ujrzał stary Nędza Litmanowski postać męską siedzącą.

Zdziwił się, ale nie rzekł słowa, tylko się wpatrzył dobrze.

Nie wszedł tu nikt. To był duch.

Zadrzał nieco stary Nędza i oczy wyteżył. Poznał. Był to pradziad jego, Juro Nędza Siumny, którego małym chłopcem widział.

Siedział na ławie i patrzył nań, siwy, ogromny, nad miarę potężny; na piersiach miał spinkę wielką, ozdobną, mosiężną, z krzyżem u wierchu i piętnastu długimi łańcuszkami, którą się zaw-

sze zdobył, bo był Siumny, i z którą go pochowano, bo mu była miłą za życia.

Siedział na ławie nieruchomy i patrzył na staro Nędzę.

Potem powoli, poważnie, wyciągnął ku niemu rękę.

Nikommu więcej nie dało się widzieć.

I znikł.

Zasepił się stary Nędza, ale poznał, że to nie był zły duch, bo strachu na niego nie puścił, gdy odszedł — był to pradziad jego, Juro. Pomilczał chwilę, poczem się ozwał:

— Matka!

— Zje co? — zapytała Nędzowa.

— Pokazał sie mi haw pradziadek, cok go jesce małym hłopce widował — Juro Siumny.

— Iście!? — zawołała Nędzowa z niepokojem.

— Na ozaist. Tagek go widział, jak haw tobie. Rękę ku mnie wyciągnon.

— Nie pedział ci nic?

— Nic.

Stara Nędzowa zwiesiła na pierś głowę, stary Nędza zaś westchnął ciężko.

Milczeli.

Mróz biały ogarnął obie dziewczyny, Wojtusia i Maćka; zęby im zadźwięczały.

Chwila uszła nim się ozwał cicho Wojtuś:

— Stryno, stryk Siumnego uzreli?

— No.



— Moze sie trza ognia warować, abo złodzieja? — szepnął Wojtuś, nie otwierając myśli przerażenia.

Strach głuchy rozlał się po izbie.

— On zwiestował niescénście — ozwała się stara Nędzowa.

— Abo chorość; jako u Bukowskiego matka — rzekł stary Nędza.

Stawało się coraz głuszej w czarnej izbie, aż Maciek się odezwał cicho z kąta:

— Ja to słytał z ojca, w Dzianisie, ize dziadkowie i pradziadkowie zyjom s nami w domak nasyk; oni nas radzi widzom, bo my ik krew i nasienie, przepowiadajom...

— Siumny by ta bél z bodejscym nie przisel, bo to bél hłop jak śrybło — rzekł stary Nędza. — Z figlami by on bél haw na ławe nie siad.

— Niescénście zwiestować przysel — szepnęła półgłosem stara Nędzowa. — Ale trza bélo, coby sie Jonosik rusél...

Cisza zapanowała w izbie. Dziewczyny Zubkosowe poschylały głowy. Wojtuś i Maciek siedzieli nieruchomo. Szła noc.

Przytulily się dziewczęta Zubkosowe do siebie i Jadwiga szepnęła do Krystki:

— Moze Janosika męcom...

— Moze...

Wtem dreszcz przeszedł wszystkich.

Stary, odwieczny, rodowy, z jaworu ciosany, cisem wykładany stół, z jednej płyty jaworu siekierą wykrzesana i ostrzem jej gładzona, a rękawami pokoleń wypoliturowana stolnica, na potężnych szerokich nogach stojąca, z wyobrażeniem Męki Pańskiej, słońcem, miesiącem i gwiazdami w otoku, z wyobrażeniem sprzętów jadalnych dokoła otoku i drzew szumiących po rogach, stół, który pokolenia wykarmił i który wszyscy Nędzowie Litmanowscy w pamięci wyrzeźbiony nosili, ozwał się. Trzy razy w nim „łupło“.

Ścierpły dziewczęta Zubkosowe i Krystka szepnęła do Jadwigi:

— Moze Janosika zabili...

— Moze...

Powoli podniósł stary Nędza oczy na powalę, na sozrąb ryzowany, który ją podtrzymywał, a na którym wyrzeźbione było imię fundatora i gwiazda w otoku na środku, gwiazda rodziny, gwiazda nad domem, gwiazda rodu, a potem ku drzwiom, na których deszczulki ryzowane rozchodne wyobrażały wschodzące słońce: radość życia, błogosławieństwo bytu, trwałość istnienia. Stamtąd, z powały fazowanej z pod sozrębu, od drzwi ryzowanych w jasny dzień światło na lśniące, gładkie, pięknie wyheblowane żółto-złociste ściany padało, napelniając dusze weselem, na mieszkanie pokoleń i świadectwo dostatku.

Dziś duchy w niem w mroku nieszczęście wieszczą, duchy przodków, czujne, wierne, niemyłne i niedostępne. Martwy wydał się staremu Nędzy sozrąb nad głową, z gwiazdą w otoku w cudne kwiaty i rośliny rzeźbiony, belka mocy, siły i chwały domowej.

---

A zaś Janosika ciągnęła myśl, gdzie niegdyś przed laty, młodym chłopcem będąc, ze strykiem Wawrzkiem Nędzą, (któremu nos złamał niedźwiedź) i z Jaśkiem Jarząbkim, jego przyjacielem, (któremu nos złamała Kunda Harendzka trąciwszy go weń ramieniem przy zwyracie w tańcu, iż tak mówili obaj, że nikt ich nie rozumiał, a oni się wzajem rozumieli), wielkimi myśliwymi, był chodził. Żyje li leśniczanka Weronka, po której mu tylko pozostała pieśń marzeń i natchnień wojennych:

Pod jaworkem, pod zelenym,  
orze Hancia wolkem ciemnym,  
jesce skiby nie zorała,  
matka na niom zawołała:  
Hanciu, Hanciu, pójdź sem dómu,  
wydajem cie, nie znam komu,  
wydajem cie Janickowi  
i hroznemu zbójnickowi...

Żyje li jeszcze w leśniczówce pod Batyżowiecką Doliną, ona i jej siostry Irma i Juczi, i jej brat Andrysz kulawy, co na harmonji grał?

Żyje li jeszcze?

Nic o niej nie wiedział. Trudno było z odwiedzinami i w odwiedziny po Spiżu i Liptowie chodzić, gdy na głowę cenę wywołano.

A z nieprzepartą mocą poczęła Janosika ciągnąć myśl.

Taka tęsknota mu objęła piersi, że aż mu serce mdlało.

Nigdy, nigdy się już nie wróciła taka noc, noc podobna.

Nigdy i nigdy...

Coś go rwało, jak strumień gałęź rwie, co na głąb w kotlinie upadłszy, krąży po niej, a prąd ją porywa, coraz bliżej, coraz bliżej koryta i spadu.

— Co mie to kusi? — myślał. — Co mie hań pozywa? Ono mie cosi woła...

A że popłoch paść musiał szeroko dookoła i chłopci byli zmęczeni, dał im Janosik w Hradku spoczynek, sam zaś z towarzyszami Gadeją, Mateją i Mocarnego Wojtkiem lasami popod Tatry, do leśniczówki pod Batyżowiecką Doliną ruszył.

Nad wieczorem było i już gwiazdy pierwsze wschodziły, gdy pod polanką w lesie, na której pobudowaną była leśniczówka, stanął. Potok szumiał, a ten szum poznał Janosik — wstrzymał krok, przyknął oczy i posłuchał chwilę. Tak jakby od tego szumu do szumu całe długie lata nie ubiegły...

— Ostańcie haw — rzekł do towarzyszy — bo by myśleli, że ik zazbójować idziemé i przelékli by sie. I zbroje wam oddam, jyno ciupage od psów weznem.

Więc legli trzej towarzysze w gęstwinie, a Janosik szedł ku leśniczówce. Stał u płotu przy furcie, gdy wysoka smukła kobieta właśnie psy podwórzowe z łańcucha spuszczać miała.

— Hej! — zawołał Janosik od furty.

— Kto? — zapytała.

— Swój!

— Kto?

— Z Polski. Ja haw na polowaniu bël, bedzie dzisienć roków temu.

Smukła kobieta się zastanowiła i odjęła rękę od łańcucha. Zadrzał jej głos, gdy pytała:

— Kto taki?

Poznał Janosik i szepnął głośno:

— Janosik.

Smukła kobieta postąpiła szybko ku furcie.

— Wyście to, Janosik? Z Polski?

— Ja — — Weronko — — —

Jakieś milczenie zapadło w ciemnym lesie. Smukła kobieta oparła się na sztachetach furty.

— Janosik — zadrzały jej usta. — Wyście to?... Wy?...

On zaś pytał szybko:

— Tata zyjom?

— Umarli.

- Mama?
- Umarli.
- Siostry?
- Pozwydawały sie. Niema ich.
- Andryś? Brat.
- On tu ze mną. Samiśmy.
- Wyście wydana?
- Nie.
- Wtoz za leśnickiego?
- Inny, gdzie indziej. Myśmy tu tylko sami z Andrysiem i sługami. Skąd idziecie?
- Z Polski.
- Przenocować chcecie?
- Przenocujecie mnie?
- Wdzięcznie.
- Nie boicie sie?
- Czego?
- Cy mie pote mie udali zbójnikiem?
- Wyście wszyscy zbójnicy, z Polski — uśmiechnęła się Weronka.

Poznał zaraz Janosik, że jeszcze przez lasy wieść o napadzie na Hradek nie doszła, ni też że Weronka nie wie, iż ów straszny Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki, to on sam.

- Gdzie idziecie?
  - Na robotę. Do Peštu. Do hut zelaznyk.
- Otwarła Weronka furtę.
- Wejdźcie — rzekła. — Głodniście?
  - Nié. Jyno byk rad ugwarzél s wami.

— Potoście przyszli?

— Poto.

Weronka zatrzymała się.

— Janosik — rzekła — dziesięć lat —

— Samo tak pachnie ten las i potok sumi —  
odpowiedział. — Ja kiek nad nim stanon, to sie  
mi widziało, zejek go nie odchodził nigda.

— A nie słyszeliście go dziesięć lat — —

Wezbrało Janosikowe serce.

— Weronka — rzekł — bacycie wy?

Smukła kobieta odwróciła głowę.

— Bacycie wy?

Głos Janosikowi, hetmanowi zbójeckiemu, za-  
drzał nieco.

— Coście wy musieli przez ten czas — — szep-  
nęła półgłosem Weronka.

— Ale ja sie obiecał wrócić i hawek; wróci-  
lek sie.

Głowa Weronki pochyliła się mimowoli ku  
ramieniu Janosikowemu.

— Stara już jestem — rzekła.

— Niéma wam jak siedem dwaścia.

— Dużo.

— Ja bacem. Hej, dziewce — rzekł Janosik,  
obejmując Weronkę w pól — ja o tobie nigda  
nie zabacył, za te casy. A tyś o mnie pamientała?

— Pamientałam.

Ogarnąć ją rękami, przycisnąć do siebie, uca-



łować po licu przyszła Janosikowi chęć, ale się lękał jej uczynić przykrość zbytnią śmiałością.

Usiedli pod izbą na ławie, w pomroce.

— Weronka — zaczął Janosik — ja se wasom pieśń śpiewać kazował. Bacycie jom?

I zagwizdał zcicha nutę swych natchnień wojennych.

— Pamiętam — odpowiedziała Weronka.

— Haj, kazowałek se. Gwiazdy wte samo tak świeciły, jak dziś.

— Tak samo.

Wzbierało Janosikowe serce.

— Weronka — rzekł — mnie casem tak luto béło za tobom, co cud! Jaby béł haw horami, wirhami leciał...

— Czemużeś nie przyszedł?

— Cemu?

Zmilczał Janosik i zagwizdał cicho, na wargach, szemrząc w myśli:

Cemużeś nie przyszedł, kie miesioncek wyszedł?

Byłbyś se posiedział i du domu poseł...

— Dziesięć lat, długi czas — mówiła Weronka.

— Cyście mie cekali?

— Zrazu tak, potem już nie...

— Weronka — zaczął Janosik cicho — Weronka, bacycie wy — ten noc?...

Dziewczyna spuściła głowę ku piersiom.

— Haj?

Z oczu Weronki spływały łzy.

— Cegoz płacasz? Ja haw! — ozwał się Janosik wzruszony.

— A moja młodość — — gdzie? — wyrzekła przez te łzy Weronka.

Rozpłynęło się w piersi Janosikowe serce. Objął dziewczynę rękami, przygarnął ku sobie i po licu całować począł.

— Ja haw, Weronka, wyrtnonek się — mówił. Dziewczyna otarła łzy.

— Co tam wspominać — rzekła — jak miało być, tak się stało. Idziecie jutro? Dalej?

— A jakobyście fcieli?

Naówczas Weronka ujęła obie Janosikowe ręce w dłonie i rzekła:

— Pocóż pytać?

I szła cicha noc, a oni siedzieli na ławie pod izbą, w śródlesiu bezgranicznem, tajemnem, wysoko nad światem, dalecy życia. I mówili. Aż Weronka śpiewać półgłosem po słowacku począła:

U zelenej rokyty  
leży Janik zabity.  
Kto ho zabil? preczo zabil?  
my nezname,  
ale si ho my panenky  
pohowame.

Kdeže ho polozime,  
kdeže ho pohowame?  
Do hajika, do hajika  
zeleneho,  
tam mu bude slavik spieval  
w hrobe jeho.

Oplakala Marika  
jej wernego Janika.  
Pametajte, ludia Boži,  
že ja zamrem,  
a od žalu welikeho  
sa pominiem.

A ked priszło ku jari,  
spadły ruže s jej twari.  
Eszte ani na jar zitko  
nezožali,  
už Mariszke, už Mariszke  
hrob kopali.

A na tie dwa hrobeczky  
zasadili ruziczky.  
Spajaju sa konariky  
s konarami,  
ako by sa mila s milym  
objimali..

Słuchał Janosik cicho nuconej cudnie słodkiej,  
cudnie tęsknej, cudnie smutnej słowackiej pieśni.

— Hej, Boze! — rzekł. — Jak to świat idzie...

Oparła mu Weronka na ramię lico, szepcząc  
tak cicho, jak gdyby ćma przefrunęła:

— A ty chcesz iść?

— Ka?

— Na grób?

— Jaki grób?

— O Janosik! W dolinę, wysoko, w Dolinę Batyżowiecką...

— Zy wtoz hań leży?

— Kto?

Podniosła go ręką i powstali i przeszli ku bocznej bramce za domem, wprost w las, skąd się leśna perć rozpoczynała. Weronka szła naprzód.

Wolno szli w oćmie nocnej, pod górę, bystro, a gdy minęli smrekowy ślepy las, i w kosodrzewinę wstąpili, gwiazdy stały nad ich głowami.

Gdzie niegdzie stała samotna wyniosła limba, jak cień.

Przebyli kosodrzewiny ogromne, gałązkami perć grodzące, świtać już miało, gdy w progi głązów wstąpili.

— Batyżowiecka Dolina — rzekła Weronka.

— Spady — odpowiedział Janosik.

Z głązu na głąz, progami się posuwali wgóre, a skały nad nimi stały zaćmione, ciemne, gwiazdami tu i owdzie podziergane u szczytów i grani i wiatr chłodny szumiał, poranny.

— Jam cię tu choć raz chciała przywieść — szepnęła Weronka.

— W ten doline?

— Ku stawu.

Gdy głązy przebyli, jał się zabielać świat.

Nikło odmraczać się jęły góry, zwolna widnieć, jak szare masy, i błękitnieć i w kotliny mroczno, głęboko niebieskie między skały, brzask począł wpływać blady. Oczom ukazał się posepny, czarny Batyżowiecki Staw, w pół chmurą przysiadły, której przedzione strzępy wody tykały.

— Na prawo — rzekła Weronka.

Ostry, przenikliwy, długi, pszkający gwizd przedarł ciszę.

— Cap! — rzekł Janosik, wznosząc głowę.

Zahurkotały kamienie lecące w turniach na dół i echo poszło; śnać cap ruszył skokiem.

Po płaskich głazach zwilgłych od wody przeszli.

— Tu — rzekła Weronka.

Ujrzał Janosik kopczyk mały, z kamieni usypany.

— Cos to? — zapytał.

Weronka uklękła bez słowa z rękami opuszczonemi.

Patrzył Janosik na szary kopczyk kamienny, nad którym skały mgliły się w mroku i brzasku, jakby ruchome, a nieruchome wieczyście.

Weronka przeżegnała mogilkę i wstała, mówiąc:

— Janosik, tu twój syn.

Janosik drgnął.

— Tum go pochowała. Żył tylko dzień. Nie dałam go ludziom, ani robakom ziemnym. Tu

w trumience drzewianej, limbowej, gdzie nic do niego nie przyjdzie, leży w głazach i pod głazami, a za matkę mu wiatr...

— Ja nie wiedział — ozwał się Janosik.

— Wyniosłam go tu sama. Tu leży nasz syn... Aniś go nie widział nigdy.

— Hej, Boże! — westchnął Janosik. — Jako to idzie świat...

Weronka zaś mówiła:

— Co wiosnę jam tu szła, patrzeć... Gdy śniegi wytajały... Jeszcze na stawie był lód. Wiatr mojemu dziecku do snu śpiewa — — luli, luli, maleńki... Ściany krzesane Gierlachowskiej Wysokiej to jego dom...

— Hej — rzekł Janosik — tak se haw leży, jako orzeł młody na gnieździe. Wysoko.

— W to się obróciło, kiedyś mi ty mówił: biorę z ciebie miód, jako pszczoła z bzu —

— A tyś mi pedziała, co jek ci taki, jak las...

Weronka mu zarzuciła ramię na szyję.

— Ulżyło się sercu memu, gdym ci go pokazała. I on ojca poznał. W nocy się mi pytać chodził: jaki mój ojciec? skąd? On z Polski — —

Janosik przystanął dumnie na głazie, wznosił głowę i rzekł:

— Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójcecki.

— Jezus Maryja! — krzyknęła przeraźliwie Weronka, cofając się z przestraczem.

Ale Janosik ujął ją za rękę i powiedział:

— Nie bój się. Mojom bedzies i nad Luptowem paniom. W zamku siedzieć bedziemé, a tu stanie złoty krziz.

— Tyś po Luptowie zbójował!? Na ciebie płakano i przeklinano cię!? Na twoją głowę pieńiędzy naznaczono!? — wołała Weronka.

— Ale ja nigda biédnemu nie wzion, ba tam, ka béła kupa. Ja świat równał. Bo mnie samemu nie trza béło. A i wesółyk béł! I śmiały! Dziad zbójnikiem nie bedzie, jyno hłop! Ja sie rad béł swiate uciesyc i ze swiate sprógować: wto lepszy? Ja sie tom ciupagom od Dónajca po Dónaj przerombał! Haj!

I wznosił ciupagę do góry.

— Strasznyś! — rzekła Weronka.

— Alek hyrny, władny i bogaty!

Przychyliła Weronka głowę.

— Jak król — rzekła z pomimowolną pokorą.

— Jako król!

Potem Janosik objął ją przez ramiona i mówił:

— Ja ci twojom młodość nadgrodzem... We złocie i w jedwabiak hodzić bees... Wdzięcny ja ci jest i zawdy jek cie w sercu miał. Byś ty mie swojom pieśniom zacarowała, w niéj béło scéńście. Is, jaki świat.

Wybielała spiska rówień na dole, słońce strzełilo za Tatrami a na czarne szczyty i granie Ger-

lachowskiej Wysokiej wybiegło różowo złociste światło i zapłonęło na nich, na zrębach i w załamach błękitnych, jak wstęga kwiatów.

— Dziecko nieg śpi — rzekł Janosik, odwracając poza się głowę ku jezioru. — Jemu haw dobrze. Haw spokój. Nie przydzie ku niemu nik, nie maći koło niego. Haw ciho. Turnie go ogrodziły, jak mury. Tak se lezy, jako na zamku kralewski syn. Bydź zdrowa, Weronka. Ja haw prosto dołu zlecem, za wolem pérciami i bez las.

— Dokądże idziesz?

— Mnie ceka wojna.

— Z kim?

— S panami...

— Janosik! Zginiesz!

— Abo ja, abo oni. Wtosi zginonć musi, Jakby sie nieprzyjaciele bali, toby wojnów nie béło. Bydź zdrowa! I wyziéraj mie!

Objął Weronkę w szerokie ramiona, przygarnął ku sobie, ucałował w lico i oddalać się począł. Gdy znikł wśród złomów, zbercząc ciupagą, rozpaczliwie krzyknęła Weronka:

— Janosik!

Ale z gęstwiny dobiegł jej już tylko śpiew:

Nie smuć ze sie dziewce, kie ja sie nie smuce,  
cały świat obejńde, ku tobie sie wróce!

Janicku, zbójnicku, sto hromów do tobie!

Po całej dziedzinie idzie hyr o tobie!...



Stała Weronka w pustce. Tak się jej zdawało, że jej się śniło. Po kosodrzewinie poniżej falami gnąc ją złościście we wschodzącem słońcu sphywał wiatr. Weronka odgarnęła włosy opadłe z czoła i uczyniła za Janosikiem w powietrzu ręką krzyż.

— Zginiesz — szepnęła.

---

Biegł Janosik wdół samotny w pustce myśląc:

— No to wej wiem, poco mie wołało. Fciało mi wej grób syna pokazać. Ludzie na świecie! Cyby ja sie bół kie nazdał, aj nazdał, ka mój syn? Abo ze bół? Ono se wej o cłeku myśli. Nie bój sie! Zawiedzie cie ka fce. Nie wiés, bez co usłuhnies. Ani co za głos taki? W sumieniu sie obzywa. Jako siwarnik w kosodrzewinie. Włade ma nad światem. Nie stois za nic. Raz cie grzmiotami popądzi, raz sie zaś znova bedzie w tobie obzywać, jak ptasek...

Zbiegł Janosik, jak strumień wezbrany, do swych towarzyszy i zdziwił się, albowiem zdala ujrzał nie trzech chłopów, ale czterech, pod drzewami leżących przy obozowisku.

— Wtoz hań? — zawołał zdaleka.

— Bafija! — odpowiedzieli.

Głos ich tak brzmiał, że Janosika niepokój przeniknął; w kilku susach ogromnych zgóry na dół był przy nich.

— Co fce?

— Juz sytkiemu koniec — rzekł Bafija.

— Jako!? — krzyknął Janosik.

— Sytkiemu koniec. W nocy wojacy cysarscy skądśi przyšli, Hradek wzieni.

— A hłopi?

— Wto nie zginon, to uciók.

Janosik zatoczył się i oparł o drzewo.

— Syćka uciekli!?

— Syćka; jyno ci nie, co ig zabili, lebo pohytali w niewolom. Za pośrednie zióbro wisieć bedom. A wyście ka béli, hetmanie zbójecki!?

Śmignął Janosik obuch toporka wgóre, ale go zatrzymał nad sobą — tylko straszne oczy padły w twarz Bafji, tak że ten zbielał i z ust Janosika grzmotnęło jedno słowo: Idź!...

Bafija się zwrócił i odchodzić począł, niktąc.

— Co gadał? — zapytał.

— Je to, co i tobie — odparł Gadeja. — Przisło w nocy wojsko, obstompiło zamek, hłopi sie bronili, bo ig zniedobacka nie zašli, Sablik strzóg i warty poustawiał, ale mieli harmaty, moc ig béła, hłopi wzieni uciekać. A Bafija uciekał i tu zaleciał.

— Sablik zginon?

— Nié. Wywiód hłopów.

— Moc zgineno?

Gadeja nic nie odpowiedział.

— Sablik sie osatał hnet, jakom mu piosnecke śpiéwajom — rzekł Mateja. — Uciók i wtorysi za nim.

— Moze połowa — rzekł Gadeja.

— Kiebyś ty hań bét.. — rzekł Mocarny.

— Kwała Bogu, co go nie béło! — odparł Gadeja. — Boby bét zginon i ani komu uciec nie dał.

— Nie bétbyś poradziél nic — powiedział Mateja. — Zołmirzy béło ze dwa tysiąca i harmaty mieli.

— Tak i Bafija gadał — rzekł Gadeja —: fała Bogu, co Janosika nie béło! Boby bét ludzi do ostatniego zahubiél! Tam sie nie béło co bić, jyno uciekać. Jesce, padał, poniewtorzy hłopi z piondzami śmigli. Pojedna baba za swoim hłope zajajcy, ale sie ta i sproscom, co se do tórb nabrali, padał Bafija. Jedni mieli cas, drudzy nie. Bafija nam tu syćko opedział. Nie béło cie długo.

— Prosto pedzieć: nie majom ludzie na tobie klonć — rzekł Gadeja. — Kazdy wié, coś dobrze ludziom zrobić fciał. A nie dało sie, no toś ty nie Pan Bóg. Nie wróci sie ik moc, prawda. No to zaraz wiedzieli, ze nie na wesele idom. Nie pytał ig ta za Tatry w Luptów nik, pod bukie-tami, ba pod zbrojom bić sie.

— Zje dyć — rzekł Mocarny. — Musiało być tak, abo tak.

— Bóg strzóg, coś sie hań w tej leśniarce zabawiél — rzekł Mateja — bo sam wiés, jakiś jest. S tobom niéma aprendu, zanadtoś śmiały. I ty-byś bét zginon i my trze by my béli zgineni

i sytka do nogi. Aniby świadka nie ostało. Nie dało się, no to coż radzić?

— Bóg strzóg! — powtórzyli Gadeja z Mocarnym.

— Tak jak kieby cie umyśnie odesłał — mówił Mateja.

— Panu Bogu bez rozum nie przejdź — rzekł Gadeja po chwili. — Wtoż wie, co On jesce od tobie fce? Moze cie jesce na to nawiedzie, cobys Mu kościół ze zbójnickik pieniendzy postawił, tak, jako kiejsi w Nowym Targu zbójnicy Świentom Anne ufundowali. Wóle Boskiej nie sprzepatrzuj, bo nie sprzepatrzys, a do dzieła Boskiego sie nie dosprzycynis, ani mu nie umalis.

Tak mówili, patrząc na Janosika, któremu po licu biel czerwona chodziła, a po oczach cień i błysk.

Słuchał on jakby nie słysząc, a gdy się milczenie stało i trwało chwilę długą, szepnął, jakby gdzieś we wiatr mówił:

„Tyś mie wywiedła, dziewczyno. Ty jedyna u mnie w sercu. Sytkiemu koniec. I mnie i zyciu mojemu“.

Poczem rzekł głośno i śmiało:

— Pocie, hłopy, haw stela wysy. Jest hań rówienecka miendzy kosodrzewinom, podalój.

— Poczoz hań pudziemé? Trza uciekać za Tetry. Popod Końcystom bez Zelazne Wrota — powiedział Mocarny.

Rozśmiał się Janosik.

— Bez Zelazne Wrota? Wtorędy my sie od Zelaznej Bramy na Dónaju w Polskom ze złotem i śrybłem wracali? Hańtędyj?

— No zy hań nablizy — odpowiedział Mocarny.

— Bedzies miał cas uciekać, nie bój sie.

— A ono by trza. Bo nas sukać pudom — rzekł Mateja.

— Ucieces i ty! Jesce cas.

— Janosik — zaczął Gadeja, ale dalej nie mówił.

Szli wgóre, którądy Janosik na dół był zbiegł. Wydostali się nad las i wstąpili na rówieneczkę wśród kosodrzewiny, gęsto i zbiecie otoczoną krzami, wysokimi nad człowieka.

— Hłopczy! — rzekł Janosik. — Dajcie mi zbroje mojom.

Odebrał z ich rąk rusznicę, pistolety i noże zbójeckie.

— A teraz usłuhnijcie mnie!

— Co fces robić? — zapytał Gadeja niespokojnie.

— Podpalcie kosodrzewine ze trzok stron.

— No co?

— Beecie widzieć. Migem!

— Znak fces dać démem? Komu? Héba wojakom, co my haw!

— Macie cas zuciekać, kimby przišli.

— A ty co?

— Uwidzicie. Migem podpalujcie! Dokoła! Trzej towarzysze Janosika skrzęsali ogień i podpalili kosodrzewinę, on zaś stał między krzakami w pośrodku.

— Janosik, bo cie ogień ogarnie! — rzekł Gadeja.

Ale Janosik odpowiedział:

— Jesce cas! Pomału gore, dajcie mi ręce.

Dali mu ręce swoje i zdziwieni i nierozumiejący stali chłopci, aż Gadeja, patrząc w lico Janosika, ozwał się powoli:

— Jezus Maryja, Janosik! Coś ty namyślał? Śmierć se fces zrobić!?

— Cofcie sie od ognia — rzekł Janosik. — Z rówienki...

Chłopi się cofnęli, on zaś mówił:

— Wy mnie słuhać musicie do końca! Zaprzysiengliście. Pokiel ja zyw, ja charnaś, a wyście sprości towarzisia. Pocie haw!

— Janosik! — ozwał się Gadeja błagalnie, w sercu niewiedzącem przeszyty.

Ale Janosik mówił:

— Hłopy! To nie mogło być, coby ja sie dał pobić. Jednej śmierzci, haj, ale więćel na calućkim świecie nikomu. Ani księciu, ani grafowi, ani biskupowi, ani królowi. Jaby sie miał du domu wrócić, cobyk sie pomiendzy ludzi hańbiel iść, coby mi baby do ocy skakały ze zębami:

a kiez pudziemé do Luptowa siedzieć!? Hłopów eś wytraciél po próżnicy. O mnieby sie wto przekwalać miał, ize ja przed nim uciók? Ja, Janosik Nędza Litmanowski, hetman zbójecki, co o mnie po syćkik dziedzinak na sto mil wkoło hyr seł? Jaby żyć miał, kiejek nie dokonał, na co jek sie zabrał? Kiejek dobryk ludzi pozwybijać dał i sam ś niemi nie zginon wraz!? U mnie jedno słowo, tak, jako pierun. Kie grzmi, to grzmi! Bydźcie zdrowi! Skoda, co Sablika niema, boby mi zagrał! Na ostatek! Mnie nie zal umiérać. Ja haw nie bedem sam. Jest hań wysy, przy Stawie, mojego syna kopieć w skalak...

Niemi patrzyli towarzysze Janosikowi na to, co się stawało. Z oczu siwych i bystrych łzy im spływały na twarde twarze, ale się mu sprzeciwiać nie śmieli. Jego władza robiła, co chciała. Nie dorósł go nikt i przed jego oczami każdy rzednął. On wse kazował.

Dym wzbijał się i ogień wznosił, ogarniając Janosika — rozumieli, że tak umrzeć chciał i że mu nato ręce podali. Okrutna zgroza i żałość ścisnęły im serca, ale go porwać z ognia nie śmieli. On zaś oćmiał od dymu w ich oczach i prawie znikł, na ciupadze wsparty.

— Janosik, zgores! — zawołał Gadeja, z rozpaczą łamiąc ręce.

Nagle Mateja i Mocarny jakby porwać się



chcieli, rzucić w ogień — ale z dymu krzyknął Janosik:

— Ja se śmierć zrobić musel! Zginie, wto przystompi! Inacy nie moze być!... Ja was Bogu oddajem i okfiarujem, bratowie mili! Inacy nie moze być!...

— Hej ty, Tomek — krzyknął jeszcze do Gadei. — Pudzies tu dołu, do starej leśniarki, przy dobrém casie. Powiés hań pannie, Weronka jej, bez co ja sie nie wróciél! I ojcom powiedz! Hej! Ręce im poboškaj! Bydźcie zdrowi, towarzisia moji! I Polany!...

W osłupieniu stali opodal ognia trzej towarzysze Janosikowi; płomień piętrzył się, wzmagal się i dym bił wgóre i zaćmił Janosika. Groza ich przejęła, trzęśli się i płakali — ale niemoc ich owładła. Zakłęcie głosu Janosikowego postawiło ich w miejscu. Aż gdy jęk usłyszeli w trzasku ogromnych krzów kosodrzewiny, w kurzawie ognia, który nagle buchnął płachtami czerwonymi, odwrócili się z krzykiem i popadali prawie na twarze, a potem zdjęci lękiem kość mrozącym biec poczęli przed siebie, z włosami spiętrzonemi do góry, jak capy oszalałe piorunem. Długo biegli, nim się uspokoili i nim, posiadłszy zdyszani daleko gdzieś w lasach przepastnych nieznanym, mówić mogli.

— Tak bél powinil umrec — rzekł Gadeja. — Ja to pojon.

— Tak.

— Tak.

— I my mu nie musieli przeskadzać, ba jeszcze ostatniom służbe przy nim odrobić. Ból hłop.

— Ból!

— Ból!

— Godnom se śmierć zrobił... Sam...

— Nie będzie drugiego takiego.

— Nié!

— Nigda!

— Ciupaga przy nim i syciek sprzęt.

— Dobrze.

— Popiół wiater ozniesie.

— Strasnom se zrobił śmierć, nié mógł ścierpieć!...

— Hańbić sie mu nie fciało. Nie bedzies ci-sem z pod wiérhu w piecu paléł, bo go nie zwleces.

— Nié.

— Nié.

— Wane sie pomodlić.

Klękli w ciemności gąszczu, wpośród czarnych smreków konarami obitych do ziemi i głązów leśnych i modlili się, jak umieli, aż Gadeja, najstarszy wiekiem, rzekł:

— Podźmy, hłopcy, w Polskom. Co haw robić dłuzy? Janosik sie pominon.

— Na zawdy.

— Skońcéł sie.

— Amen.

Ruszyli przed się i prosto szli, nieba nad głowami szukając. Aż gdy w nocy z lasu się wydobyli i w obcej jakiejś stronie wolnem powietrzem odetchnęli i skały prostopadłe gwiazdami poiskrzzone ujrzeni, w żalości, pamięci i uwielbieniu zawiedli:

Janosik, Janosik, twoje białe ręce  
budom otwierały kupieckie truchlice,  
kupieckie truchlice i królewskie składy  
budzies se otwierał Janosicku młady!

I szli w górę bez chleba i wody, prac się w skały mimo noc wyżej i wyżej, gnani okropną myślą, która bryzgała w ścianach zsuwistych, złomach ruchomych śmierć kołysających i zawisach urwanych, pod któremi gromadziła się czarna noc, chwytająca widne w świetle gwiazd stopy, zamknięta oczom przerażonym martwą, skrzesaną w niezmierzoną głąb głąszą.

---

Mgły zawały świat. Mgły jesienne, grube, ponure, w których najbliższe drzewa, najbliższe domy nikły niewidzialne. Góry i dolina utonęły w pomroku, słońce zczeszło w nim, zda się na wieczność.

Wrota od obory okolicznej skrzypnęły, psy wszczęły hałas, ale ucichły.

— Wtorysi znajomy hłop idzie — rzekł stary Nędza do żony, która koszulę męską cienką igłą ślicznie haftowała.

Trzej towarzysze Janosikowi, Gadeja, Mateja i Mocarny, czarni od trudu skał, stanęli u progu sieni, u drzwi pół uchylonych, jak to u gazdy, gdzie czeladzi wiele i ten i ów ze sprawą przychodzi.

— Idź ty piérsy — rzekli Mateja i Mocarny do Gadei, którego Janosik najwięcej lubił i cenil i którego starzy Nędzowie najwięcej pośród nich radzi widzieli.

Wstąpił Gadeja pierwszy w sień, wysoki próg przekraczając i głowę pod ocapem chyląc, otwarł drzwi od białej izby świetalnej i wchodząc rzekł:

— Nieg będzie pofalony Jezus Krystus.

— Niegze będzie. Witajcie! — odpowiedzieli starzy Nędzowie.

Trzej chłopci weszli i stanęli rzędem przed drzwiami za sobą zawartemi.

Popatrzyli na nich Nędzowie.

— Trzok was — rzekł stary Nędza.

— Trzok.

Grdyki towarzyszom Janosikowym zadrgały; milczenie zapadło.

Wszyscy czterej chłopci opuścili głowy, tylko stara Nędzowa nie przestawała cienką igłą ślicznego haftu na koszuli wyszywać.

— Ka Janosik? — zapytała Gadei.

— Ostał.

— Ka?

— W Batyzowskiej Dolinie.

— Kie przydzie?

— Nie przydzie.

Umilkła stara Nędzowa i rzekła po chwili:

— Przynieście go.

— Popiół.

Porwała się Nędzowa z ławy, rzuciła koszulę na stół i krzyknęła:

— Jako!?

A stary Nędza rzekł zduszonym głosem:

— Ja wiedział. Siumny sie mi pokazał. Gadjacie.

Ale wszyscy trzej towarzysze Janosikowi

zaczęli płakać; zaszlochał z nimi i stary Nędza, choć jeszcze nie wiedział nieszczęścia. Stara zaś Nędzowa stała wsparta o stół dłonią na koszuli. I rzekła jakby do siebie:

— Ja mu jom haftowała zywemu, ja mu jom haftowała umartemu — — popiół, popiół, popiół...

Cicho, ostrożnie, wsunęły się do izby Zubkowsowe dziewczyny z Wojtusiem. Widziały one od siebie idących trzech towarzyszy Janosikowych. Zaraz płakać jęli wszystko troje.

Długo, długo płakali, aż stary Nędza się ozwał:

— Gadajcie! Jako béło?

Gadeja odpowiedział:

— On tak zginon, jak oreł, kie weń pierun strzeli. Wysoko w Tatrak.

— Stryłom go Pan Bóg zabiél? — zapytał Nędza.

— Nié.

I Gadeja opowiedział śmierć Janosikową i rzecz chłopów, której świadkowie jeszcze snąć byli nie popowracali do domów.

Słuchali Nędzowie ponurej opowieści dzień po dniu, godzina po godzinie, jako zwykle się było prawić, gdy Janosik ze zbójnickiego chodu powrócił, wino złociło się od kagańca w puharach, dukaty błyskały na stole, a miłe ciepło otulało radzących w dobrze zamkniętej izbie.

Gadeja skończył i twarz na rękę sparł.

Stara Nędzowa, której łzy z oczu nie ciekły, rozdarła napoły koszulę haftowaną, wyszła z izby i siadła na ławie przed domem.

— Haw stela sie Janosik rusał — — haw stela sie rusył po raz ostatni.

Popiół, popiół, popiół..

Zaś stary Nędza długo płakał, czoło dłońmi obejmując, aż się zwładał i rzekł:

— Kiela béło hłopów pod Halami, kiela béło i w nasém rodzie, bél Waligóra i Wyrwidąb, Pętorzek i Wódpusc, béli Łamiskała i Walilas Toporowie z Hrubego, béli i w nasém rodzie Jano z Gronia, co Miętusianom siedemsto dojek wzion i na nędze ik przywiódł, i Juro Siumny, pradziadek, i ini, bo ta i dziadek i ociec i ig bratowie i zaś moji i ja béli my hłopy, jak sie patrzy, nie płone, ale takiego, jak to moje dziecko, nie béło.

— Ani nie bedzie — rzekł Mateja.

— Co dobre, bierom bogi, dawno ludzie mówili.. Minon sie, jak gma — — jak cyste rano od wyhodu słonka.. Darmo.

— Wieki przejdóm — rzekł Gadeja — za kiela sie taki najdzie, co on to światu opowie.

— Jaki Janosik bél — rzekł Mateja.

— I jak sie skońcél — rzekł Mocarny.

— Hej, hej, hej — zawiódł stary Nędza —

Bóg dał, Bóg wzion. Co robić? Popiół ostał... W Batyzowskiej Dolinie... Daleko... Wysoko w Tatrak... Ani go wej wiater moze haw nie przyniesie bez wiérhy... Nigda... W popiół sie mi syn obyrtnon... Piéknie uhowany... Telo wej...

A gdy dziewczki Zubkosowe wyszły przed izby, ku strynie, zastały ją nieruchomo siedzącą na ławie, opartą plecami i głową o ścianę, wpatrzoną zamarłemi oczyma we mgły, poza którymi stały Czerwone Wierchy, gdzie Janosik lubił w ciepłe dni poglądać, leżąc pod świerkami na trawie, lub na ławie siedząc, z palcami za przypory portek założonemi i nogami wyciągniętymi przed siebie.

Nie śmiały się ku niej zbliżyć i odeszły.

Spotkał je Maciek, który ze stajni szedł.

— Wiés, Janosik brat sie kazał spalić w Batyzowskiej Dolinie — powiedziała mu Krystka.

Maciek zbladł i stanął.

— Rany Boskie! Prawde gadas!?

— Prawde. Towarzisia w izbie.

— Cemuz ja ś nim nie bël, hoć jesse jeden raz!

— Maciek — rzekła Krystka — wejze skrzypce, zagraj Janosikowom nute, strykowi i strynie.

Więc poszedł Maciek cicho na wyzkę nad izbami, zniósł skrzypce, siadł za domem i we



mgły grube grać począł Janosikową nutę, którą on lubił śpiewywać:

Nie bój sie Janicku, nie bój sie tego nie!  
Orawskiego Zamku, Iuptowskik siubienic!  
Nie bój sie Janicku, nie bój sie nie zginies!  
Wyjńdzies do wirsycka, siekireckom zwinies!

Grał długo, do obiadu, na którym trzej towarzysze Janosikowi zostali. Słuchali wszyscy w milczeniu. Dusza Janosikowa głosiła się do nich.

Przyszła z za wierchów, z za Tater i słuchała swojej nuty tanecznej. A tak się zdawało, że chwila, a usłyszą wszyscy jego głos:

Nie bój sie Janicku, nie bój, nie zginies!...

On tu jest s nami — myśleli wszyscy. — Przi-seł zażreć na dom, na gazdowstwo swoje, na ojca i matkę, na siostry i brata strycznego, odpytać ik, odpytać świat...

Hej, miélyz mocny Boze!...

A gdy poobiadowano, na wszystkich starczyło, legli starzy Nędzowie bólem, żalem i wiekiem zmożeni na pościel spać, trzej towarzysze Janosikowi do domów swoich odeszli. Wojtuś w chałupie został kozikiem strugający z brzostowego drzewa, Krystka zaś i Jadwiga wyszły z Maćkiem od stryków i powracały do siebie.

Krystka szła naprzód, za nią zaś Jadwiga

przytulila śliczną młodą twarz do Maćkowego ramienia i szepnęła:

— Wiés, Maciuś, taka mie lubość, a mgłość obujena, co ani myśléć, ani iść nié mogem. O mój słodki! Sama nie wiem, cy mi barzyj Janosika brata luto, cyk barzyj tobie zakohała?

Przeięła mu się na ręce, którą ją objął, wtył, piersi jej bryznęły z pod gorsetu i białej koszuli ku górze, biodra zmiękły i krasne drobne usta z białemi drobnemi zębami rozchyliły się.

Poszły dziewczyny do domu swego, Jadwiga siadła za warsztatem, na którym tkala płótno piękne i cieńkie, Krystka zaś rozciągała na podłodze biało umytej śliczną ciemno-niebieską w biały deseń ozdobnie tłoczoną spódnice, którą wprzód utacała dokładnie wałem drzewianym. Maciek siadł na niski stółek trójnożny i brząkał palcem po strunach.

— Jus nie beemy bratowi Janosikowi śpiéwo-  
wać — rzekła Krystka.

— O bo nié.

— Skońcéły sie jus jego nuty.

— Na wiečność.

— Nie bedzie jus nic namyślował.

— Ani mu hań wiater nie zasumi: pod ja-  
workem, pod zelenym...

Krystka i Jadwiga zaprzestały roboty, war-  
sztat ustał warczeć, Jadwiga rozłożyła spódnice

na stole, siadła na ławie przy Krystce i objąwszy ją za szyję ramieniem, zaczęła, a siostra zaraz poszła za nią:

Pod jaworkem, pod zelenym,  
orze Hancia wołkem ciémnym,  
jesce skiby nie zorała,  
matka na niom zawołała — —

Janosikową ulubioną pieśń.

---

Trzy tygodnie minęło, gdy Marduła i Krzyś powrócili na Olczę. Zabłądzili uciekwszy z Hradku, po lasach się błakali, głodni i spragnieni i pod klasztor jakiś żeński zaszli. Tam ich zakonnice puściły, jeść im dały, ale wyjść za furtę nie pozwoliły.

— Nijakim świecie nas puścić nie fciały — mówił Krzyś. — Zbójnicyście i zbójnicy! Wy-pokutować nas fciały, coby nas ozgrzesyć.

— Bajto! — mówił Marduła. — Ozgrzesyć! Was ta ozgrzeszały, boście starzy. Ony ta swoje refereta prowadzom proci potrzeby. Jyno ja hań potęgnon, kiek se pojad, to...

— Nogorzy — mówił Krzyś — co nam prząć kazowały, welne. Ja ta jesce jako ja, prządek, ale nad Mardułom sępiały ciągiem, a bišterowały nań, co nie umié.

Obserwowały nas dobrze — mówił Marduła — jeść, pić béło godnie, jyno do tego przędzenia to ja jus nijakiego społogu nié miał. Je to nie kosa, ani nie cepy, cobyś z małego na to społozony béł. Ja ta ś niemi dość o to w rzędy za-

hodziel. Z ręcy puszczas, z ręcy puszczas! J.. ci dusiu dziś! Tonckały sie koło mnie, a ustygowały: je przejdzel! je przejdzel!

— Przelozonom se miały uziemcystom — mówił Krzyś. — Ta musiała mieć biedre, coby jom uniesła! Kupa baby béło, jak kępa!

— E to béła scéra baba! Ułożona! Nieg cie co praśnie! Kie sła, to jaze ziem dudniała pod niom. A co se koło mnie przesła, to przeseptała do mnie — opowiadał Marduła.

— Mnie zaś taka zalubiła, co béła za safarke — mówił Krzyś. — Telo mi dawała wina, co sie widziało, ze owilgnem od niego, jak kapusta od dysca. Mnie hań dobrze béło. Bo ja miał dobre zdanie do roboty, do tej wełny, to mie kwalily. Na Mardule ta mało co ta abo ta tre pyskiem, a na mnie nic.

— Edź! Dawno pedzieli, co jak wto psu ogon potrafi zawiązać, to on nie bedzie s tobom gadał, co on to potrafil! — odciął się Marduła.

— A jus strześnie zdziorbliwe sanowniki s tyk zakonic — mówił Krzyś. — Tam sie nic nika nie śmie podziać! Krusyne hleba to i to podnieś i na stół połóz. A nie, toby cie hnet kijem odziały. Na Mardule, kie nie uprząd, co trza béło, to sie strześnie wiérhowały. Nie dostał mléka, jyno takom siwice.

— Ja ta cosi jynkse dostawał — rzekł obrażony Marduła. — Jesce więcél, jakok miał po-

trzeb. A radzięły do mnie: o, na to toś ty zdany hłop, kiebyś taki do wełny bęł, tobyś hnet półtory mili uprząd. Haj. Telo hań chorwatu o mnie bęło, co ani ani!

— Jyno to bęło złe — mówił Krzyś — coś sie hań nie wyspał. Kazdy dzień roraty odwołać trza bęło. Je kizby ci sie djasi telo Panu Bogu uprzykrzali!

Fciał nam to syćko ksiądz ozróźnić, ale my uciekli. Uździarz ze se sam to zbawienie, kie ci go tak na raty trza. Nie śpij. Lepsy wróbel w garzci, jako sikora na dahu. Ja zbawienia nie widział, a spać sie mi fciało.

Tak opowiadali.

I dziwowali się wraz z ludziami, jak jęło słynać Janosikowe imię. Rozpłynęło się szeroko i daleko, po dziedzinach i miastach, odludnych ostępach i zapadłych zasiedlach pustelnych, tak, że Wag i Orawa, Poprad i Dunajec imię jego niosły. Od młodości do końca słytał i orlił się Tatrom. Kiebyś ty taki bęł — mówiły matki synom, siostry braciom, kochanki kochankom, młode żony mężom — kiebyś ty taki bęł, jako Janosik, hetman zbójecki, złotem malowany...

Już poczynał mocno kurzyć śnieg po halach i Sablik uważał, że kozice pouniżać się musiały z grani ku dolinom. Był też grudzień (listopad), kiedy capy gonią za kozami i ścigają jeden drugiego zapamiętałe po turniach i upłazach, a zwabić je na strzał nawet się udaje. Pewnego dnia wyspał, jak zwykle, trochę mąki do woreczka, wsadził flaszkę gorzałki do torby strzeleckiej, łuk przewiesił przez plecy, gęśle wpuścił w rękaw od czuchy i obuwszy na nogi białe, ciepłe kapce sukienne, sparty na swojej ciupaźce ruszył w Tatry.

Wyszedł sam. Najlepsi towarzysze, jego bracia Jędrek i Józek, wielcy myśliwi Maciek Sieczka, Samek, Sobczak, Tatar, jedni umarli, drudzy już w domach siedzieli, starzy i osłabieni. Przykrzyło się Sablikowi. Bez Janosika Nędzy osmętniał mu świat. Tak jakby słońca ubyło na niebie. Tak posmutniały i zwisły ludziom głowy, kiedy ostatni żubr, ostatni łoś i ostatni bóbr, zagnane przez porąbane lasy w góry i tu osiadłe, zginęły. Osmutniał świat... Nie zostało po nich

nic, tylko wieść: Zuberec, Łosiówka, Bobrowiec... Pamięć o dziwach przyrody...

Bo ta i takiego chłopca, jak Janosik, nie było...

Wiedział Sablik, że Jurgowianie, Bukowianie, Białczanie i Porońscy strzelcy polować będą po Szerokiej Jaworzyńskiej, w Jaworowych Sadach, pod Wysoką, we Wołoszynie, po Koszystej, w Pięciu Stawach, Zakopianie w Kozim Wierchu i het po pobliskich górach, wiedział też, że choć go wszędzie za ojca polowania mają, młodszym nie wyrówna, postanowił więc przez Waksmundzką pod Wołoszyn do Roztoki przejść, ku Rybiemu i przez przełęcz Pod Hłopkiem w turnie ponad Hinczowy Staw się dostać. Tam pustki były, bo liptowscy strzelcy w Krzywań lecieli i w Cwolską Dolinę, szeroki błędny rozłóg, odległy wsio, z lasów nieprzebytych wyrosły, rzadko nawiedzając. Nierad też Sablik polował blisko domu; tam po drugiej stronie Tatr wstępował w inny świat, poglądał daleko, a gdy grał, na grani stanąwszy, to mu się widziało, że go na dolinach węgierskich aż po Kralową Holę słyszą.

Wszedł w bór, a duszę mu niosło pragnienie zawisnąć na podciętym gładzie nad głęboką, ciemną przepaścią, i dać się owiać wiatrowi, który nigdy piersią ziemi nie dotyka.

Wszedł w las ogromny i szedł nim, aż nad ciepłą wodę, miejsce jaszczurek dziwnych i tajemnych żab i węży złowieszczych przybył; po-



tem dalej w górę się wspinał, niebo tylko nad sobą widząc, któredy Waksmundzianie i chłopci z Dębna i Ostrowska bydło i owce na halę swoją pędzili na wiosnę, mijał potoki i moczary, aż zboczami Wołoszyna w karłowate ostatki lasu pod Opalonym wstąpił i góry koło siebie i nad sobą zobaczył.

Pytajom sie góry, pytajom sie lasy,  
ka sie popodziały starodawne casy?...

Już biały śnieg okwiecał upłazy i wierchy Miedzianego, a słońce się na nim iskrzyło, jak srebro i złoto płonące.

Od orawskiej strony dujom zimne wiatry,  
śnieżek polatuje, osedziały Tatry!...

Zapach śniegu bił w nozdrza; wilgoć wnikała w usta i w płuca.

Stary Sablik stanął i krzyknął:

Eheheu!...

Eheheu! — rozbrzmiało po żlebach, gdzie się kosodrzewina oszreniona błyszcziała.

Był sam.

Jak król.

Sam był wpośród wierchów ogromnych, szczytów niebosiężnych, sam wśród lasów czarnych, szumiących, i wśród wód pełnych gwaru, lub cichych i głębokich jak sen duszy potężnej, meża czynu i strzelca niedźwiedzi.

Sablik stał sam w górach, wśród zimy skalnej, olbrzymi dech gór wdychał sam w płuca, nie dzieląc się nim z nikim, światło słońca po śniegach na jego tylko źrenice padało. Sablik jakby wina tęgiego, węgierskiego tokaju popił — — podnosiło go...

Otupno mu samemu iść nie było. Był strzelec.

Raźno szedł pod zachód dnia na noc ku Rybiemu Jezioru.

Leżało ono za wałem, samotne i wielkie.

Pasterskiemi perciami pośród kosodrzewiny Sablik kroczył, na wał wstąpił i na dół pojrzał.

Tam pod ciemnymi, szeroko prostopadle rozległymi, ośnieżonemi ścianami Mięguszowskiego Hrubego Wierchu leżało w kotlinie wśród ciemnozielonej kosodrzewiny, smreków czarnych i zielonych limb, śniegiem ubielonych, przez pół od zachodzącego słońca skrawo-czerwone, przez pół czarno-szafirowe, metaliczne, odbijając w sobie skały utopione, milczące Rybie Jezioro.

Łapali Sablika, po zelenyk bukak,  
ale sa wybronil, miał ciupazke w rukak!...

Patrzył Sablik, stojąc na wale pobrzeżnym, dobył gęśle z rękawa i zagrał. Nie siadł, nie jadł, tylko zagrał jezioru.

Ej! dyna dyna dyna — dyna! dyna dyna,  
dyna! — dyna dyna — dy! na dyna dyna...

Grał. Widziało mu się, że woda nuty odbija i na las rozrzuca. Ostre, brzmienne, stalowe. Wnikała muzyka odbita od wody w las. Jakby pszczoły z ula na słońcu w ciemne leśne uplecie leciały.

Grał a patrzył w wodę. Czy też muzyką swoją nie wyprowadzi z głębin tajemnych ryb ogromnych i nie zaczaruje ich muzyką, aż z wielkimi białymi do góry powznożonymi oczami napośród wody nie postaną, jak gdzieś daleko w jakimś dziwnym bajecznym świecie, jakby przez mgłę każdemu widzialnym, węże czarownicy czarują... Ale nic woda zatajona nie wydała.

Złożył wiatr z kosówki, zamyślił się i usnął. Zbudził go ranny mróz, jeszcze gwiazdy skrzyły się na niebie i była ciemność. Popił gorzałki i ruszył, aby się zagrzać. Dzień zwiastował się piękny, nie kurzyło nic, tylko wiatr poranny szumiał po jeziorze i po kosodrzewinie, od Rysów skądś, zwysoka od wschodu lecąc. Na wodzie błyszczały gwiazdy, Sablikowi pod stopami.

„On“ przechodził nocą nad jeziorem; ślady olbrzymich łap z pazurami na zwilgłej ścieżce owczej odcisnął, ale zaczął ogień i człowieka i uszedł w las pod Wysoką; godny niedźwiedź, stary i wielki.

Szedł Sablik żywo po lewej stronie stawu wypatrując wielkiej ryby i jął się piąć po ślizgiej

trawie w ubocz Mięguszowskiego Wierchu, ku przełęczy Pod Chłopkiem.

Olbrzymi ptak kołował na powietrzu. Był to ten sęp, ostatni ze swego pokolenia, który na Krywaniu siadywał, na samej grani. Widniał zdaleka samotny na ogromnym szczycie nad prostopadłą otchłanią przepaści.

A gdy stanął obwysno na skale, z za Siedmiu Granatów strzeliły race słońca wschodzącego i zawisły blaskiem nad głuchemi wodami dwóch jezior, które Sablik miał teraz u stóp swoich; jedno spokojne na dole, w wieńcu drzew i krzów, drugie wśród litych, czarnych skał, w kotlinie, ciche i pytające: co wiesz?

Rozwidniał się świat i z pomroku wyłaniał. Już szczyty zakwitły światłem, promieniejącą srebrno-różową bielą, a na wody spływał błękitny dzień, w zatoki, gdzie niedawno gwiazdy drżały na głębiach.

Sablik patrzył.

Rozświecić się jąła woda, zgarniał się z niej mrok. Świtało.

Od południowego Wschodu ukazywały się obłoki wieszczące śnieg. Powolne a silne. Mroził się błękit, znać było. Wtem gwizdnął cap. W Sabliku zagrała krew. Wyteżył oczy. Stał na turni, tęgi cap, czarny. Pozierał wdół, ale Sablika nie widział jeszcze.

Sablik pilno gunię zezuł, serdak z czarnego

barana wełną do góry obrócił i na czworakach stanawszy kozę pasącą się udawać zaczął, tu i tam się posuwając. A łuk miał w gotowości pod pachą.

Spostrzegł go cap i dał sus naprzód. Jeden, drugi, trzeci — zbliżał się i na upłazku ponad Sablikiem stanął.

— Dalekoś, ale ty haw przydzies — szeptał Sablik, ściskając łuk.

Cap stał na wysterku turnicy i patrzył, a od czasu do czasu tupał przednimi raciami, niecierpliwie i gwałtownie. Łbem też kiwał, zbrojnym w rogi krzywo wstecz rozsadzone. Lecz czy zaczął człowieka, czy oczyma poznał, gwizdnął przeraźliwie i w górę skoczył, podwyższył się w olbrzymich odsadach, znów stanął za turnią do półwidny i przknął: pszsz! pszsz! pszsz! przeciągle, na Sablika patrząc.

— Poznała wereda! — szepnął Sablik, sięgając ku guni. — Nie dał się zmamić.

Cap w szalonych skokach, strącając kamienie, począł się wznosić wyżej i wkrótce zaczerniał tylko na śniegu, gdzie znów stanął tyłem do Sablika, ale głowę zwrócił poza się z rogami wystawionemi i patrzył nań.

— Ciekawa bestyja, co to... Casu se nie sata, bo go ma...

Cap patrzył długą chwilę, a potem w prostopadłą zda się ścianę nad sobą wspinać się zaczął

„jak mys“; piął się szparą w skale zwisłym wdół żlebkiem, biorąc strom przedniemi nogami i znikł w niwidnych zdala załomach urwiska, w dziwny sposób niebyłego.

Lecz znów od lewej ręki ujrzał Sablik kozice, wysoko w górze nad sobą.

Wyteżył oczy. Kierdel, siedm sztuk, pędziło po półce skalnej na prawo ku szczytom.

— Darzy sie mi — mruknął, jako miał zwyczaj sam do siebie Sablik — jus tak cujem, ze mi Bóg nagodzi.

W przepaście niesposób było za niemi iść. Sablik się zejść kozice spodziewał ponad Hinczowym Stawem, w cieplejszej, bujniejszej dolinie od Południa, wśród olbrzymich turni i kotlin.

Tymczasem spostrzegł, iż z grani i z turni jakoby białe potoki mąki poczęły się suć lub zakwitały nad niemi jakby białe ogony pawie z pyłu świecącego na powietrzu: to śnieg się obypywał i wzmiatał. Wiatr poczynał duć.

— Niegze ta! — szepnął Sablik i piął się dalej po herbikach i zachodzikach, po spasztach, żlebach, zawiesach, półkach i krzesanicach, po upłazkach i dolinkach, aż nad przepaścią koło ściany się sunąc ku przełęczu się dobił i na świat na drugą stronę Tatr spojrział.

Aliści dolina nad Hinczowym Stawem zawałona była mgłą. Nisko, w dole leżało jakby mo-

rze mgły, grubej, gęstej, nieruchomej, siwo-ciemnej. Dookoła ponad nią sterczały góry ponure i nieubłagane, okrutne, przerażające, wysokie do zaćmienia oczu, potworny kociel pomłoką zapelniony.

Cała kraina liptowska zasłana była chmurami biało-sinemi, nieprzejrzanemi.

Wiatr dał od południowego Wschodu.

Tego się Sablik nie spodziewał.

I zawahał się: spuścić się wdół ku Liptowu, czy wrócić i nie kusić czarta.

Kurniawa czaiła się w kłębach.

— Dyj ja tu bez to nie zginem — pomyślał. — To nie piekło. Ino sie kozy unizom i ja sie mussem unizyc.

Wtem wicher uderzył nagle, tak silny, iż Sablik się zachwiał. Szum lunął. Mgła nad doliną, wzruszyła się i przedarła.

Naówczas przed oczyma Sablika otwarła się pod dachem chmur czarna otchłań, głąb straszna, przepaść, wśród której pod podgiętym jakoby potwornym baldachimem pojawił się Hinczowy Staw i złomy i zręby turni nad nim stojących.

Sablik patrzył i wahał się. Nie chciało mu się wracać, wszystkiego był zwyczajny. Mógł wiatr i przegnać mgły. I tak bywało. On zaś z szalonym pędem otwierał widok nad doliną Liptowa. Dźwigał chmury i ukazywał coraz szersze, coraz

dalsze widnokregi, miasta i wsie w bezmierzu, pod baldachimem w mgławicy.

Wtem ciemny obłok podniósł się od Wysokiej; z za turni, gdzieś z pod Gierlachu, wicher zawył i chlusnął śniegiem, zaćmiewając świat.

Sablik spojrział ku Polsce.

Tam jasno było i Rybie Jezioro błyszczało wyraźnie w słońcu, jakoby góry przecinały na dwie połowy ziemię, szafirowe złoto od burzy.

Lecz to nie miało trwać długo. Gwałtownisko piętrzyło się, a wiatr sypał weń poprostu bałwanami powietrza. Sablik utrzymywał się pod skałą, ale nagle zwyrtnął się i począł zstępować. Przeszył go chłód ostry i przenikliwy.

Lecz chmura ścigała go, dopadła i ogarnęła, wałąc śniegiem i słońcem mu przestrzeń przed oczyma czarnym prawie całunem.

Gdzieś, w przestrzeni, przebłyskiwało mu poza kurniawą słońce, ukazywały się plamy wielkie bladego, a rażącego światła, lecz znikły.

— Ogarneno świat... Bóg się podniós... Sa-  
leje...

Sablik go znał. Siompawice, lejby, naremnice, burze, fujawice, dujawy, kurniawy, pomłoki, gmy, wszystko. Tysiące razy przetrzymywał i przebywał, więcej niż pół wieku w Tatrach Boga spotykał. Nie lękał się. Cłowiek przetrzynie, ino po rozumie.

Śnieg sypał się płatami, zalepiając oczy i usta,



gnany wichrem wyjącem pośród ścian czarnych od pomroczy. Sablik schodził w noc.

Nie do wypowiedzenia groźna ciemność zaszła przestworza. Zda się jakby śniegwały zatoczyły sobą ziemię aż po krańce, jakby gruby jakiś, obcy żywioł, zapanował nad ziemią. Wszelka nadzieja się w nim traci, wszelkie spodziewanie.

Na ramiona wali się ciężar i głowę przygniata, oczy zaś czując prawo wzroku wyteżają się gniewne, strwożone i bezsilne, jak jaskółki zaskoczone burzą, gdy ciągną nad morzem.

— Kieby ja oreł biał — myślał Sablik — wyniós byk się obwysno nad śnieg...

Wtem ujrzał pod stopami skrzesaną ścianę.

Tędy nie szedł.

Zwrócił się na lewo i ujrzał przepaść; na prawo też samo.

— Ki djasi aj djasi, kajek wlaz? — mruknał. — W beztok?

Cofnął się, lecz naokół były skrzesane ściany.

— Pomyliło mnie wej plugastwo — mrucał. — W złem miejscu.

Stanął i próbował sobie wyzbacować drogę, ale snąć już chwilę szedł błędnie.

— Powrót zanadto zły...

Nie miałbyk matury tu ostać...

Drzewo ścięte ka bądź źlebem wyprościs, ale cłeka nie...

Godnie śniegiem przypiérhło — — ślizgo — —  
coby nie zjechać...

Niepokój go przejmował.

Ujrzał wąski zachodzik — chwyciwszy się rękami granitu nad sobą i ledwo krawędź stóp nad urwiskiem na granicie mieszcząc, przesunął się i dostał pod zawieszoną skałę, z pod której go wiatr chciał oderwać i strącić.

Naówczas Sablik zgrzytnął zębami, skupił się w sobie, ściągnął w siebie, napiął mięśnie, wtulił kark w ramiona, wystawił nieco czoło naprzód i oczy mimo śniegu rozwarł szeroko i rozpoczął walkę z wichrem.

— Pojdz podź! — szeptał, miażdżąc wargami mokry śnieg. — Podź! Myślisz, że ja stary? Zróciłbyś mnie?

Wiatr odpychał go od turni, odrywał, ciągnął w dół, bił w niego piersią wzdętą.

Sablik zwrócił się w bok, objął wyzrąb skalny nad swoją głową rękami, dźwignął się i zawisł w powietrzu.

Wiatr kołysał nim, przegibał go na prawo i lewo, on zaś z zaciśniętymi zębami dźwigał się na rękach nad przepaścią i na wyzrąb wy dostał.

Piął się znów ku górze, ku przełęczy Pod Chłopkiem, na siodło. Tam naremnicę, leżąc na skale, przeczekać, lub po łagodnym zboczu od strony południowej w dolinę się spełznąć.

Na brzuchu czołgał się w górę, piersiami, udami, kolanami, brodą przywierając do skały. Przewijał się jak wąż popod wiszące wpół w powietrzu gzymsy skalne, zwieszony wystającą połową ciała we mgle pełzał po zrębach turnic, po ledwo znacznych półkach; palce w szpary wbiwszy, cały na rękach, prześlizgiwał się po chyłych płytach rozpekłych, nogami w wietrze pływając nad straszną otchłanią. Walczył.

Nie walczył o życie i o istnienie z bojaźni. Wielki strzelec nie znał trwogi. Wicher, moc nadprzyrodzona, naprzeciw niego stanął, zastąpił mu, ze śniegiem, z mgłą, z nocą, ze swoją mocą piekielną. Wicher rzucił się nań, jak orzeł na skalnego capa. Ów, ufny w swoją siłę, rogi pod piersi orła nadstawia. Sablik na złą moc wichru odpowiedział tęgością natury, na jego zaciętość odwagą. Nie uląkł się. On z tym Olbrzymem Tatr walczył często, nigdy mu nie ustąpił, nigdy się przed nim nie cofnął, zawsze go zwyciężył i patrzył za nim z wierchów, jak na tumanach chmur niósł się het na doliny, gdzie lasy łamał i domy wywracał. Sablik polować szedł i nie znał trwogi. Wicher, czy niedźwiedź jednako mu się przez więcej niż pół wieku słały pod kierpce. Sablik rzucał się na niedźwiedzia jak dzik, na wiatr jak łosoś, który progi skalne przesadza.

W suche, zawiedłe ciało myśliwca wichrzyca biła jakby je znicestwić pragnąc, ale twarde, za-

krzepłe mięśnie i kości opierały mu się wytrwale i nieugięte.

Tatry całe wyły, huczały i świszczwały. Huraganem nappełnił się, wezbrał, przeppełnił ich świat. Wichur jakoby się nie miał gdzie w nich podziać, szumiał po skałach, wypływał w górę i wdół spływał, jak fala wody, któraby głazy z hukiem staczała. Lecz Sablik w tem piekle śnieżnem nie drżał. Walczył.

I wydobył się na przełęcz.

— Wis, beskurcyja — rzekł do wichru. — Nie dalek sie. Ja jesce nie twój.

Wiatr od Południa był słabszy, droga łatwa: Sablik zestępował wdół w zawiei śnieżnej. Dobił się kosodrzewiny, ale dziwnie czuł się słaby.

Cysto pięknie sie zamordował, widziało sie, co sie hnet i zubami trza bedzie turnie hytać...

Legł na konarach; był bez sił, bez władzy w cieie.

. . . . .

Spał.

Był już drugi dzień, gdy ujrzał nad sobą jasne, czyste, śliczne, promienne, błękitne niebo i słońce wysoko. Nieopodal poniżej błyszczał wielki zielony Hinczowy Staw, wysoko szczyty stały pogodne i spokojne.

Dookoła był śnieg.

Śnieg miękki, puszysty, błyszczący, ogromny, tak wielki, iż turnie, kosodrzewina, drzewa w nim ginęły, które byłby zasypał Sablika, gdyby krzak kosodrzewiny, gdzie legł, nie rósł na wyniosłym złomie skały, skąd go wiatr omiatał.

Dookoła stały góry spokojne, milczące, wyraźne, świecące się jak srebrne.

Odmieć śniegowa wyiskrzyła lody.

Szafir mroźnych granitów rzeźbił świat.

Tatry...

Sablik leżał nawznak i patrzył na nie.

Sąż to one, te same?

Sąż to te góry, które przebiegał wzdłuż i wszerz, które nie miały dla niego tajemnic, ani granic dla jego siły?

Którym dumną stopą przystępował grzbiety, ramiona i głowy wyniosłe?

Sąż to te góry, w których miał izby swoje olbrzymie po dolinach, ściany z krzesanic, które mu były jako dom jego życia?

Sąż to te góry, które żywiły go, poddawały się jego woli, zdawały się go rozumieć i myśl jego zgadywać, które służyły mu?

Sąż to trwałe świadki jego triumfów, jego zysku, jego radości i sławy?

Które napelniał swoim imieniem od pół wieku, w których zdawały się na wieczność zakute echa jego strzałów, świsty strzał i uderzenia straszego topora?

Które widziały jego czyny, znały jego sprawy, jakich nie znał nikt?

Z którymi jakoby zaprzysiężenie było, jakoby przymierze zawarte, których on się czuł jakoby duchem, władcą i dzieckiem?

Sąż to te góry, te Tatry jego rodne, które on miłował więcej niż dobytek swój, rodzinę, ojcowiznę i ludzi dookoła siebie?

Które były jego myślą i jego duszą?

W których on żył, jak nigdy nikt, jak nigdy nie żył nikt i nikt nie będzie, choć wieki przemina?

W które się czuł zaklęty?

Jestże to ten dom jego potężny, ten gród jego wolności i chwały gród i dom, w którym przemieszkał lata całe, długie i światła pełne?

Albowiem Sablik wiedział, że dlań niema ratunku, że więcej z Tatr nie wyjdzie...

Pierwszy raz nic mu nie dawały: ani wesela, ani zysku, ani upojenia, ani sławy — — nic...

Pierwszy raz obaczył ich grozę i martwość.

Pierwszy raz patrzyły one nań zupełnie milcząc i zupełnie kamienne.

Pierwszy raz zdały mu się czemś obcem, niezżytem...

Groza — głusza — milczenie — i światło olśniewające...

Sablik wiedział, że gdy wstanie z kosodrze-

winy, z głową w śnieg zapadnie, w śnieg miękkiej, głęboki i przepastny, którego nikt nie przejdzie.

Góry grzebały go w sobie.

Skrzesane, lite, niezmiernej wysokości błyszczące skały otaczały go jak sępy spokojne postrzelonego jelenia, czekając, aż dokończy życia.

Z kątów doliny wyzierały ze srebrnego skrzętego się śniegu dusze pobitych strzelców liptowskich i pobitych niedźwiedzi...

I dusze strzelców polskich zasypanych lawinami, odpadłych z turni, zabitych kulą liptowską.

Wesela pełne polany, kędy grał...

Kędy grawał juhasom, dziewczkom cudnym i starym surowym bacom o groźnej dłoni...

Kwietne łączki nad potokami wiosennymi, gdzie wodę pił wśród leluji żółtych i rdzawego szczawiu.

Samotny, jak motyl w niesłychanej głuszy ustroni górskich...

Ciche, ustronne miejsca spoczynku na upłazkach, gdzie pod nogami przepaść była, a nad głową, nad miękką trawą skały cień dające...

Kolęby myśliwskie kamienne, gdzie w mroku przedły się jego dziwne złożone powieści...

Gęśl gra...

Gra to jego gęśl własna. Wyczarowały się ze skał wszystkie dźwięki, jakie przez pół wieku w nie webrzmiały...

## Gęśl gra.

Ej dyna! — dyna dyna — dyna! dyna dyna —  
dyna! — dyna dyna — dyl na — dyna — dyna...

## Sablik słucha.

Ej Sablik se zaśpiewał — ej Krzywań mu odpedział,  
bo o jego sprawie nik inny nie wiedział...

Góry zwracają mu śpiew.

Co wegrał w nie, dzwoni koło niego.

Jakoby wszystko światło na śniegu rozdzwo-  
niło się w okrąg, po krzesanicach...

Sablik słucha.

Leży na łożu śmierci, na kosodrzewinowym  
krzaku.

Bez sił, zmożony walką z wichrem, osuty śnie-  
giem nie do przebycia, zabójczym, leży na łożu  
śmierci.

Nie trwoży go nic, nie przeraża.

Od początku swego życia wiedział, że musi  
umrzeć, że musi przyjść taki dzień, kiedy umrze.

Umiera honorną śmiercią, godną życia.

Nie próbuje się ratować — wie, że to próżne.

Zna góry, zna ik dowody i końce.

Zasulo go. Bywa. Bywało...

Miło mu, że gęśl gra — — het, dookoła, w po-  
wietrzu...

Zna tę nutę, Sablikową nutę, która z wieków  
poszła i przetrwa wieki.



Przez dolinę śniegiem i słońcem zalaną, przez  
Dolinę Mięszowiecką, rozległą nad Hinczowym  
Stawem, pełnym niewypowiedzianej piękności,  
idzie Śmierć.

Biała... Wysoka...

Przez śniegi białe, pomiędzy krzewy koso-  
drzewu, między głązy...

Idzie wolno i słucha Sablikowej nuty —  
Sablik patrzy na nią bez mrugnięcia powieki.  
Tak musi być. S Pane Jezuse nie bees w kar-  
ty grał. U śmierci nic nie upłaces.

Świat je jest taki, tak ułożony.

Nad kazdem trza poméśléc.

Wiérhowiec zycia krufki.

Ze dy kie umreć, to umreć.



## ADNOTACJA.

„Legenda Tatr“, podobnie jak „Na Skalnem Podhalu“, do którego ściśle należy, nie jest oparta na żadnej ludowej tradycji. Historyczną figurą jest Napierski, ale opracowanie jego historii jest tu poza najogólniejszymi konturami zupełnie dowolne. Drugą autentyczną postacią jest Nędza Litmanowski, czy Litmanowski Nędza. Zapisek o nim, że się na szlachcie za nieludzkie karanie chłopów po buncie Napierskiego mścił, potem przeciw Szwedom powstał. Więcej nic. Dałem mu imię Janosika, chcąc polskiego *Janosika* stworzyć, albowiem rzeczywiście był Słowakiem.

Oryginalnych śpiewek góralskich od moich na ich temat warjantów zbyt trudno byłoby mi oddzielić. Łatwiej odróżnić podania i opowieści autentyczne. Opowiastka o Morskiem Oku i piwie jest w pierwszej połowie oryginalna góralska, dalej o Perłowicu, djable-żrebięciu, Matce Boskiej na Suchych Horach, o furmanie i mleku; z książki profesora Stopki o Sabale wyjąłem opowiadania o stworzeniu kobiety; djable, chłopie i jarcu; śmierci i świni. W mitologję góralską wplotłem szczegóły mitologii słowiańskiej, budując także cały gmach własnej. Toporowie, Łamiskała i Walilas, Pętorzek i Wódpusc, poczwary w „Krakowie“ w Kościeliskach, kara zbójcka za zdradę, historia o kościele i djable są przeze mnie ułożone. Pochód w hale, wzorowany na opisie ś. p. ks. Sutora, z czasów dla mnie już niedostępnych.

Epoką „Legendy Tatr“ jest wiek XVII. Język góralski jest, co się da stwierdzić, w znacznej części ogólną staropolszczyzną.

---

**Miejska Biblioteka Publiczna  
w Nowym Targu**

XIII/3



000-020282-00-0